● „Raz w roku w Skiroławkach" — fragment nowej powieści obyczajowej Zbigniewa Nienackiego ● Ile jeszcze tej równi pochyłej? ● Pan Moniuszko może spać spokojnie ● Ulice mego dzieciństwa ● Home, sweet home...

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 43 (1334) ROK XXVI 22 PAŹDZIERNIKA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Foto: M. Zajdler

Z listów żołnierzy

WITOLD LEWANDOWSKI

Czterdzieści lat minęło...

Wszyscy lubimy wojskowe parady, eleganckie zielone mundury, w których każdemu mężczyźnie jest ponoć do twarzy. Na co dzień jednak żołnierz nie chodzi w tak pięknym mundurze. Chodzi w ubraniu polowym „moro" i szkoli się w koszarach i na poligonach. Jest to ciężka harówa, wymagająca nie byle jakiej kondycji fizycznej, a także odporności psychicznej. Już sam przeskok z „cywila" do wojska jest dla większości niemałym szokiem.

A co sądzą o swojej służbie sami żołnierze? Skorzystałem z uprzejmości kilku byłych żołnierzy, którzy udostępnili mi swoje listy pisane do znajomych i rodziny z wojska. Chciałbym przedstawić fragmenty tych listów, które pozwalają w jakimś stopniu poznać codzienne życie żołnierzy, ich myśli i przeżycia, smutki i radości.

PRZED PRZYSIĘGĄ

Pierwsze dni w wojsku są zawsze najtrudniejsze. Wszystko nowe i inne niż w „cywilu". Dyscyplina, ćwiczenia, mało czasu dla siebie. Powoli biegną dni, aż nadchodzi niedziela...

„Niedziela jest chyba najsmutniejszym dniem w wojsku. Nie ma żadnych zajęć, czas jest wolny, ale wyjść nie można. Wówczas dopiero każdy odczuwa jak daleko jest od swoich bliskich. Już chyba lepiej jak człowieka gonią od rana do wieczora. Wtedy choć przez pewien czas można zapomnieć o rozłące. Jedyne co mnie zaskoczyło tutaj to jedzenie, które jest znacznie lepsze niż myślałem. Reszta jest taka jak się spodziewałem. Gonią nas kadeci ze Szkoły Chorążych. Niektórzy z nich są nawet przyjemni, ale niektórzy normalnie się wyżywają. Wczoraj kopaliśmy okopy na poligonie w pełnym umundurowaniu, tak że dzisiaj boli trochę rączka...".

Wiadomo, że w wojsku musi być porządek. Codzienne ekstra sprzątanie, to także jedna z licznych „przyjemności" w życiu młodego żołnierza, który jednak nie traci humoru:

„...ale co się nasprzątaliśmy. Zaraz w cywilu, jak tylko wrócę, wyrzucę odkurzacz i froterkę, a kupię se szczotkę, dwie szczotki — jedną do zamiatania, drugą ryżową do szorowania i trochę szmat. I tym będę sprzątał. Tak mi się to podoba.

Wojsko też mi się podoba a raczej podobałoby mi się, gdyby zmodyfikować je nieco. Dotyczy to kilku nieistotnych szczegółów: żeby nie trzeba było wstawać o 6.00, żeby nie było zaprawy porannej, żeby na posiłki nie chodzić całym plutonem — czwórkami, żeby nie było apeli, żeby nie trzeba się było uczyć, żeby po obiedzie dali odpocząć, żeby nie było sprzątania rejonów, żeby nie było alarmów, żeby nie ganiać po polu, żeby nie chodzić spać o 22.00, żeby można było nosić brodę i włosy, żeby nie ubierać się jednakowo, tylko np. w dżinsy — jeden, w skórę — drugi itp. To chyba już wszystkie moje zastrzeżenia do wojska. Aha; jeszcze, żeby nie trzeba tu było siedzieć, tylko sobie jeździć gdzie się chce i kiedy się chce. Poza tym wojsko mi się podoba..."

Nie brak żołnierzom humoru, ale nie brak też i romantyzmu. Zwłaszcza, gdy pisze się list do dziewczyny:

„Dzisiaj był chyba najcięższy dzień. Byliśmy na poligonie. Świeciło słońce. Bardzo ładny krajobraz. Lasy, wysoka trawa i śliczne stokrotki, które musimy niestety deptać tymi ciężkimi, wojskowymi buciorami. Ale czołgając się można przynajmniej choć na chwilę zanurzyć twarz w kwiatach i trawie zroszonej rosą i potem. Tak chciałby się człowiek położyć w tej trawie, zamknąć oczy i leżeć, leżeć, nie myśląc o tym całym wojsku. Jaki byłby to piękny teren na spędzenie urlopu, a tu tymczasem poligon. Strzelanina, kopanie, czołganie, bieganie itd..."

W pierwszym okresie służby, młodego człowieka trzeba nauczyć wielu rzeczy, z którymi nigdy przedtem raczej się nie zetknął:

„... najwięcej kłopotu sprawiało mi ścielenie łóżka i składanie „mora" na noc. Ale już trochę się nauczyłem..."

Każdego ranka hartuje się ciało żołnierza na tak zw. zaprawach czyli półgodzinnej intensywnej gimnastyce, niewiele mającej wspólnego z tą, z którą stykamy się każdego dnia za pośrednictwem radioodbiorników. Pogoda też nie ma w wojsku wielkiego znaczenia. W upale czy w deszczu ćwiczenia muszą się odbyć:

„U nas padą dzień w dzień, chociaż prawdę mówiąc, to tutaj nie odczuwa się czy jest ładnie, czy brzydko, czy jest lato, czy jesień. I tak bez względu na pogodę robi się to samo... Byliśmy na poligonie. Mieliśmy zajęcie z taktyki. Deszcz lał niemiłosiernie. Czołgaliśmy się, pokonywaliśmy przeszkody z drutu kolczastego oraz tor

5

Potrzeba czy przekleństwo

JERZY KWIECIŃSKI

Wbrew temu co się na ogół sądzi, określenie „wyścig pracy" nie jest wymysłem pierwszych lat Polski Ludowej. Z przedwojennego państwowego gimnazjum zapamiętałem na zawsze hasło, pięknie wydrukowane i oprawione w ramkę, zawieszone na ścianie w każdej klasie, którego tekst głosił: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi"

Nie mam pojęcia, czy we wszystkich polskich szkołach można było zapoznać się z tym zdaniem czy też upodobał je sobie mój dyrektor — trochę endek, trochę pozytywista, który, być może, asekurował się w ten sposób przed podejrzeniami władz o polityczną nieprawomyślność. Bo trzeba wiedzieć, że owo hasło było cytatem z jakiegoś przemówienia czy artykułu Józefa Piłsudskiego. Takie słowa mogły się zresztą wydawać zaskakujące w ustach człowieka, który ofiarę krwi zdawał się cenić najwyżej, a ponadto niezbyt interesował się rdzennie polskimi ziemiami jakże pracowitych wielkopolan, pomorzan, ślązaków, wyrywała się bowiem jego kresowa dusza do ziem litewskich, białoruskich, ukraińskich, z wszystkimi tego ujemnymi konsekwencjami, nieobojętnymi też dla społecznej struktury przedwojennej Polski i dla rangi pracy w społeczeństwie.

Ale hasło, stanowiące jakby wezwanie czy przestrogę, widniało w każdej szkolnej klasie i choć ogół uczniowski zapewne nie zagłębiał się przesadnie w sens cytowanego zdania, to jednak wrażało się ono w młodą pamięć. Nikt też spośród nas, ani naszych nauczycieli nie podważał idei wyrażonej w tych słowach (nie, tylko dlatego, że nie wolno było krytykować marszałka, którego imię znalazło się pod ochronną mocą ustawy sejmowej!), ale dlatego, że był to czas, kiedy praca, jakakolwiek — byle stała praca, stanowiła przedmiot życiowych marzeń bardzo licznej rzeszy, bywała też tematem uczniowskich rozmów o przyszłości, zaczynających się od słów: „Jak będę miał stałą pracę..." albo „Jeżeli uda mi się dostać pracę...". Nikt więc nie śmiał wypowiedzieć się o niej lekceważąco i nawet na myśl mu nie przychodziło, że można uzależniać swój stosunek do pracy od wysokości płacy.

Więc chociaż hasło brzmiało nieco utopijnie w ówczesnej Polsce — w znacznej części drewnianej i krytej strzechą, zaprzęgniętej do rzemiennego dyszla i niepiśmiennej, oszczędzającej na soli, cukrze i na mydle, na kinie i tramwaju, na gazecie i nafcie do lampy, w tej Polsce, która pomimo zbudowania Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego nie włączyła się jeszcze na dobre do „wyścigu żelaza", to jednak z cytowanego tu zdania jeszcze nikt nie kpił, ponieważ jeszcze człowiek szukał wtedy pracy, a nie praca człowieka.

Ale to wcale nie znaczy, że ceniono wtedy w Polsce pracę jako wartość samą dla siebie, lecz — poza może ziemiami byłego zaboru pruskiego — traktowano ją często jako zło konieczne, jako dopust Boży i przekleństwo rodzaju ludzkiego za grzech pierwszych rodziców — jak na to zwrócił uwagę wybitny przedwojenny socjolog

3

Monolog Nowakowej

EDWARD BRYL

— Podłoga czarna, lepka od smarów. Maszyny walą tak, że własnego głosu się nie słyszy. Na ulicę człowiek wychodzi jak ogłupiały. W domu radia nawet nie włącza — spragniony jest ciszy. Słuchawki ochronne na uszy ciężkie, skórę odparzają. Żadna nie nosi.

Tkalnia czółenkowa, gdzie pracuje Nowakowa, jest ogromna. Ciasno, wąskie przejścia między krosnami, 110 decybeli, światła jarzeniowe. Kobiety w różnym wieku, głowy w chustkach. Twarze blade, zmęczone. Niewyspane oczy. Koreczki z waty dźwiękochłonnej niewiele pomagają. Po kilku latach prawie wszystkie mają kłopoty ze słuchem. Z żylakami, z oskrzelami też.

Do niedawna w ZPB im. J. Marchlewskiego w Łodzi załoga liczyła dziewięć tysięcy ludzi. Dzisiaj pracuje zaledwie ponad pięć. Sporo odeszło na wcześniejsze emerytury, chętnych na ich miejsce nie ma. Nowi szybko rezygnują, najczęściej nie wytrzymują okresu próbnego. W ubiegłym roku przyjęto dwunastu uczniów na tkalnię, szesnastu na przędzalnię.

Jeszcze rok temu cała przędzalnia szła na trzy zmiany, obecnie na dwie pracuje 90 proc. załogi. W systemie trzyzmianowym pozostała między innymi wykończalnia.

— Cieszyłam się ze zniesienia trzeciej zmiany. Myślałam, że uda mi się więcej czasu poświęcić dla domu. Gdzież tam, kolejki zżerają każdą wolną chwilę. Dzieciaki opuszczone jak nigdy. Wolne soboty to wielka sprawa dla matek. Chyba żadna nie chciałaby z nich zrezygnować. Jest świadomość dwóch wolnych dni. Niestety, dziś one nie oznaczają wypoczynku — pranie, sprzątanie, reperacje, dzieciaki, którym trzeba zajrzeć do zeszytów. Nam nie żyje się łatwo. Na pierwszą zmianę wstaję prawie o godzinie czwartej. Rzadko udaje mi się coś

6

Język nadziei i wątpliwości

Z WŁODZIMIERZEM WESOŁOWSKIM — prezesem Oddziału Wojewódzkiego w Łodzi Polskiego Związku Esperantystów rozmawia PAWEŁ TOMASZEWSKI.

— Czym jest dla pana esperanto?

— Przede wszystkim autentycznym ruchem, który już [illegible] ułatwia kontakty między ludźmi wszystkich narodowości, a w przyszłości może sprawić, że będą one jeszcze łatwiejsze. W obecnym świecie, gdy odległości bardzo się zmniejszyły, a wyjazdy zagraniczne nie są już tak wielkimi wyprawami jak kilkaset, czy nawet jeszcze kilkadziesiąt lat temu, potrzebny jest wspólny język, którego można by się łatwo nauczyć i którym można się łatwo porozumiewać. I właśnie nasz ruch może temu zadaniu sprostać.

— Wyczuwam w tym deklarację działacza ruchu esperanckiego. Mnie natomiast interesuje, czym jest prywatnie dla pana esperanto?

— Trudno te rzeczy rozdzielić. Bo jeżeli jestem działaczem tego ruchu i poświęciłem mu sporo lat życia,

7

Przegląd prasy

Pisałem niedawno, że jakakolwiek próba dyskusji o społecznej — a nierzadko o politycznej — roli Kościoła katolickiego w Polsce spotkać się musi nie tyle ze zrozumieniem i próbą polemiki, co z niezrozumieniem i najdziwniejszymi domysłami. I właśnie oto w „POLITYCE" (nr 42 z 15 października 1983 r.) można znaleźć artykuł Zenona Rudnego pod znamiennym tytułem: *„Nie na klęczkach"*. Jest to jakby podsumowanie opinii i domysłów po opublikowanym w 36 numerze „Polityki" artykule tego autora pod tytułem: *„Cesarzowi — co cesarskie, Bogu — co boskie"*. Ten pierwszy artykuł — jak przyznaje sam Zenon Rudny — powstał w wyniku lektury artykułu Jana Szczepańskiego *„Wizyta"*, opublikowanego w 30 numerze tejże „Polityki". Teraz

ZENON RUDNY ODPOWIADA

na różne domysły i wyjaśnia nieporozumienia. Przedstawia też swoje stanowisko w sprawie stosunków między państwem a kościołami.

Przede wszystkim — jak sam to pisze — nie jest jednym z czołowych doradców rządowych, za jakiego mają go niektóre agencje zachodnie. Nie jest nawet profesjonalistą w publicystyce. Ot, po prostu napisał list do „Polityki", redakcja potraktowała ten list jak artykuł i zaraz się zaczęło.

„We wszystkich niemal enuncjacjach — pisze Zenon Rudny — *używa się ulubionego przez propagandę zachodnią słowa ATAK, a więc nowy atak, ostry atak, łagodny atak, istotny atak, prasowy atak...*

Generalnie nie dziwi mnie demonizowanie przez Zachód tego co dzieje się w Polsce. To jest przyjęta konwencja propagandy. Trudno jednak przejść obojętnie obok tak jawnie kłamliwych insynuacji jak ta, że autor grozi konfrontacją i namawia do konfliktów. Przecież cały mój wywód zmierzał do tego, że strony powinny zrozumieć źródła swych animozji, że religia jest wieczna (stanowisko wyraźnie niemarksistowskie), a więc potrzebny jest consensus w długiej perspektywie historycznej, że bolą mnie wszelkie dogmatyczne postawy ze strony niektórych przedstawicieli partii; spowodować mogą bowiem brak zaufania kościołów do obecnej otwartej polityki wyznaniowej państwa".

Te intencje autora nie zostały wszakże właściwie odczytane. A co dziwniejsze — zwraca zresztą na to uwagę Zenon Rudny — w tym mniej więcej czasie w „Rzeczywistości" w numerze 39 ukazał się artykuł Wł. Lebiedzińskiego pt. *„Partia i państwo, a religia i Kościół"*, który zupełnie uszedł uwadze zachodnich korespondentów. Tymczasem:

„Tak ciężka artyleria dogmatyzmu i ortodoksji — pisze Zenon Rudny — *jaką zaprezentowała „Rzeczywistość" przyćmiewa wszystko co w ostatnich latach było z tych pozycji napisane. Nie wiem czy więcej w tym artykule złudzeń, czy twardogłowej pryncypialności. Pragnę wierzyć, że Kościoły potraktują ten casus incydentalnie".*

Jak to się dzieje — wypada w tym miejscu zapytać — że próba racjonalnego, obiektywnego spojrzenia na jakąkolwiek sprzeczność, konflikt, animozję wywołuje ostre reakcje podyktowane wprawdzie emocjami a nie przemyśleniami, nie rozumem, natomiast inne, skrajnie prezentowane stanowiska uchodzą zazwyczaj uwadze? Być może bierze się to stąd, że w skrajnych stanowiskach na ogół dają znać o sobie wszelkie mity, którym tak chętnie ulegamy i którymi często bezwiednie się posługujemy.

„W społeczeństwie naszym — pisze Z. Rudny — *istnieje dużo mitów, m.in. mit „tradycyjnej tolerancji" eksponowany nawet przez oficjalną propagandę. Ktoś ustalił, że nietolerancja to stosy. Stosując to kryterium istotnie stosów mieliśmy mniej niż w Hiszpanii. Był nawet okres, kiedy i Żydów, i Braci Czeskich, i innych exulantów przyjmowaliśmy. Druga połowa XVII i XVIII wiek skutecznie opinię tolerancyjnego narodu przekreśliły, a bestialskie pogromy ludności protestanckiej w Krakowie i Wilnie dokonały się nawet w „złotym wieku tolerancji". Późniejsze czasy również nie były przychylne dla ludzi wyznających nie to co większość".*

Zenon Rudny przyznaje jednak, że z jednym zarzutem się zgadza: *„zależy mi na tym* — pisze — *aby o sprawach kościelnych nie pisać na klęczkach"*. Chodzi bowiem o to, aby dialog odbywał się na zasadach równorzędności, a tak przecież nie jest. *„Krytyka władzy — tak, Kościoła — nie"*. Nie jest to zasada, na której można opierać partnerski dialog. Poza tym jeszcze warto pamiętać, że partnerstwo zakłada również odpowiedzialność, choćby nierównomierną, choćby częściową, choćby minimalną. Partnerstwo zakłada też krytykę wzajemną, ale i tolerancję. Jest to bowiem szukanie tego wszystkiego, co łączy, a nie co dzieli.

„Tolerancja — pisze Z. Rudny — *to wróg współczesności i naszej cywilizacji, rozumiany i realizowany gorzej lub lepiej również przez papieży, poczynając od Jana XXIII. Należy tylko żałować, że nie dotarło to, jak mówią (...) badania, do 8 proc. wiernych. Poglądy zawarte w artykule „Cesarzowi — co cesarskie, Bogu — co boskie" nie są atakiem na Kościół — jak chcą tego zagraniczne środki przekazu — lecz wołaniem o wzajemną tolerancję, o której zapominają zbyt łatwo siły poddawane krytyce. Dotyczy to zarówno Kościoła, jak i partii".*

Tylko, czy wszyscy wśród tych, do których adresuje swoje wyjaśnienia Zenon Rudny zechcą to zrozumieć i pojąć, bo niektórzy z nich przecież i tak wszystko wiedzą lepiej.

Obchodziliśmy niedawno 40 rocznicę powstania LWP i mamy ślad tego w tygodnikach. „ŻYCIE LITERACKIE" (nr 2 z 16 października 1983 r.) przynosi obszerny

SZKIC O MARSZAŁKU

Michale Żymierskim. Oparty jest on na materiałach opracowanych w Wojskowym Instytucie Historycznym. Materiały te ukażą się niebawem w książce *„Marszałek Polski Michał Żymierski"*, którą przygotował MON. Będzie to pierwsza książka prezentująca życie i działalność Michała Żymierskiego. Szkic w „Życiu Literackim" przedstawia Michała Żymierskiego w Legionach, w Wojsku Polskim przed 1926 rokiem, później w więzieniu i na emigracji. Dalej prezentowane są materiały mówiące o latach okupacji i rozmowach w Moskwie, między innymi z Józefem Stalinem.

„Na początku lutego 1940 r. — czytamy w „ŻL" — *zebrał się konspiracyjnie w Warszawie Sąd Obywatelski w celu rozpatrzenia wniesionej przez Michała Żymierskiego rewizji procesu wytoczonego mu przez władze sanacyjne w 1926 r."*

Tu warto wyjaśnić, że w Legionach Michał Żymierski był w obozie przeciwnym Józefowi Piłsudskiemu i po 1926 roku został aresztowany między innymi razem z gen. Tadeuszem Rozwadowskim i gen. Włodzimierzem Zagórskim. Wtedy to Józef Piłsudski zażądał „spisu spraw, czy karnych, czy honorowych" dotyczących gen. Władysława Sikorskiego, gen. Michała Żymierskiego, gen. Włodzimierza Zagórskiego, gen. Tadeusza Rozwadowskiego gen. Bolesława Jaźwińskiego i gen. Juliusza Malczewskiego. Nie na wszystkich udało się zebrać materiały obciążające, choć o ich prawdopodobieństwo dbano raczej mało.

„Po rozpatrzeniu sprawy — czytamy dalej w „ŻL" — *sąd orzekł zgodnie i jednomyślnie, że wytoczony gen. bryg. Michałowi Żymierskiemu w 1926 r proces był, wbrew sztucznie stworzonym przez jego inspiratorów i organizatorów pozorom, procesem wyłącznie politycznym oraz, że gen. Michał Żymierski w niczym nie uchybił godności, czci i honorowi oficera polskiego".*

Będąc latem 1944 roku w Moskwie gen. Michał Żymierski miał okazję odbyć dwugodzinną rozmowę z Józefem Stalinem. Wówczas to zwrócił się z upoważnienia kierownictwa PPR z prośbą, aby Józef Stalin na przyszłej konferencji pokojowej bronił naszych praw do granicy na Odrze i Nysie.

„Wysunięta propozycja wyraźnie zaskoczyła Stalina. Zachmarł się i głosem zdradzającym zdenerwowanie powiedział, że rząd Sikorskiego nie wysuwał tak daleko idących postulatów. Podkreślił także z naciskiem, że musi się liczyć z układem sojuszniczym, z osiągniętymi już porozumieniami. Po chwili milczenia Stalin kilkakrotnie powtórzył, że trzeba mieć argumenty, motywy uzasadniające ten postulat w rozmowach z zachodnimi sojusznikami.

— Mamy argumenty — powiedział gen. Żymierski..."

Myślę, że po opublikowaniu w „Życiu Literackim" fragmentów z przygotowywanej przez MON książki o marszałku Michale Żymierskim warto będzie zainteresować się samą książką. Pytanie tylko, czy będzie ją można spotkać na księgarskiej ladzie?

Wróćmy jeszcze do „POLITYKI", w której w cyklu rozmów z robotnikami i rolnikami członkami KC opublikowana została rozmowa Barbary Moroz z mistrzem w szwalni „Feminy" — Jadwigą Nowakowską. Oto,

CO BOLI JADWIGĘ NOWAKOWSKĄ

— „Boli mnie to, że z zakładów pracy w przemyśle lekkim odchodzą pracownicy. Odchodzą do firm polonijnych, prywatnych przedsiębiorstw, do butików. Najpierw zwalniały się szwaczki młode stażem i wiekiem. W zakładzie nie osiągały normy, a w prywatnych firmach zarabiają dwa razy tyle. Teraz zaczęły odchodzić pracownice z 20-letnim stażem. Bywa, że po prostu porzucają robotę. I te, co odeszły, śmieją się z tych, które zostały. Ludzie pracują u nas ciężko. Szwaczka przez osiem godzin wyciągnie do 10 tysięcy. Nie chodzi o to tylko, że ten zarobek jest mały, ale o to, że gdzie indziej w sektorze prywatnym można wyciągnąć dwa razy tyle. Nikt nie ma nic przeciwko firmom polonijnym, ale praca musi być traktowana jednakowo, czy w sektorze państwowym, czy prywatnym".

Trudno odmówić Jadwidze Nowakowskiej racji. Od dawna domagano się, aby człowiek wykonujący określoną pracę, na przykład kierowca, albo ślusarz, albo stolarz, czy drukarz miał płacone za pracę, a nie wedle tego, gdzie pracuje, czyli od miejsca pracy. Ale posłuchajmy, co jeszcze powiedziała Jadwiga Nowakowska:

— „Teraz wytworzyła się u nas taka sytuacja prawie bez wyjścia. Obowiązuje zasada, że jednoprocentowy wzrost wydajności może pociągnąć za sobą półprocentowy wzrost płac. A ja pytam, jak to osiągnąć, skoro od nas ludzie pouciekali. Dla przykładu mamy powiedziane, że jak wyprodukujemy dodatkowo na rynek za 17 milionów to będziemy mogli 10 milionów rozdzielić wśród załogi. No dobrze, ale my mamy ludzi za mało. Kto będzie robił tę dodatkową produkcję"

Problem ludzi do pracy czeka na rozwiązanie. Nie bez winy są tu wcześniejsze emerytury, wszelkie inne socjalne zdobycze wraz z wolnymi sobotami, które już mamy, a na które nie było nas stać. Stały się jednak faktem i teraz trzeba szukać nowych rozwiązań.

W „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 42)

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI ZASTANAWIA SIĘ NAD MODELEM

tygodnika wojewódzkiego w artykule pt. *„Mowa do „chińskiego muru"*. Artykuł jest dyskusyjny. Jerzy Kisson-Jaszczyński ma spore doświadczenia w tej dziedzinie. Wiadomo, że niegdyś redagował „Gazetę Ziemi Piotrkowskiej", że nadal pracuje w „Tygodniku Piotrkowskim". I choć nie wymienia pisma, o którym pisze, to przecież nietrudno się domyślić, że chodzi o „Tygodnik Piotrkowski". Ale można przecież i trzeba podyskutować nad uwagami i refleksjami, jak też i spostrzeżeniami Jerzego Kissona-Jaszczyńskiego.

Na przykład autor przytacza taką opinię:

— „Panie, po co w miejscowej gazecie materiały z całego świata?!"

Albo taką:

— „Wypisujecie kryminały dotyczące drugiego końca Polski, a mnie interesują kryminały lokalne".

Można się spierać, czy prasa lokalna nie ma prawa zajmować się niczym tylko sprawami, które w jej zasięgu rozchodzenia się dzieją? A może warto byłoby po prostu zapytać o to czytelników. Zbadać, ilu z nich czyta tylko pismo lokalne, ilu sięga do innych tygodników, czego od nich oczekują. Być może dla niektórych jest to jedyne pismo, które czytają i dlatego nie można ich pozbawiać szerszej problematyki. Inne pytanie, jaka to jest problematyka i jak jest ujmowana?

Są to wszystko sprawy do dyskusji, jak i krytyczne uwagi Jerzego Kissona-Jaszczyńskiego na temat środowiska dziennikarskiego Piotrkowa Trybunalskiego, na temat układów i powiązań tego środowiska, jak i uwagi o potrzebie doceniania w piśmie informacji. Jeśli podejdzie się do jego uwag serio, poważnie, a nie na zasadzie emocji i oburzenia, że kala własne gniazdo, to może coś wyjść z tego pożytecznego dla czytelników „Tygodnika Piotrkowskiego", czego im serdecznie życzę!

Pisałem już kilka razy, że nasze tygodniki, jakby je nie nazywać, muszą udoskonalić swoją formułę i że można to osiągnąć różnymi sposobami. Im na rynku będzie więcej różnych pism, tym chyba będzie lepiej dla czytelnika. „TYGODNIK KULTURALNY" (nr 42 z 16 października 1983 r.) na przykład drukuje artykuł, w którym

MICHALINA WISŁOCKA POUCZA

jak pieścić kobietom piersi i choć jest to już 10 odcinek z cyklu *„Kultura miłości"*, wcale mnie to nie oburza i nie mam zamiaru wypominać — jak to czynią niektórzy — że jest to pismo kulturalne. Co ma bowiem piernik do wiatraka? Kultura nie jest przecież pojęciem tak wąskim, żeby nie mieściła się w niej wiedza na temat stosunku człowieka do człowieka nie tylko na zebraniu, ale również w łóżku, nie tylko w pracy, ale również na randce, nawet rozbieranej.

LUCJAN BOGUSZ

W najbliższych numerach:

- KATOLICYZM A ROZWÓJ POLSKI
- LITERACKI NOBEL'83
- O SZPITALU — POMNIKU CENTRUM ZDROWIA MATKI
- WSPOMNIENIA KORESPONDENTA WOJENNEGO
- RELACJI Z FESTIWALU MONIUSZKOWSKIEGO W KUDOWIE CIĄG DALSZY
- REPORTAŻ Z HELU PRZED NOWYM SEZONEM SZTORMÓW
- O FIRMACH POLONIJNYCH DOBRZE I ŹLE
- I OCZYWIŚCIE CIĄG DALSZY — NOWEJ POWIEŚCI OBYCZAJOWEJ ZBIGNIEWA NIENACKIEGO „RAZ W ROKU W SKIROŁAWKACH"!

Minął tydzień

UROCZYŚCIE

obchodzono 40 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego. Odbyły się akademie, spotkania żołnierzy ze społeczeństwem, złożono wieńce pod pomnikami walki narodu polskiego z okupantem hitlerowskim. Nadano nominacje na wyższe stopnie wojskowe. Na stopień generała brygady mianowano m.in. pułkownika Władysława Tkaczewskiego — rektora Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, a na stopień generała brygady MO pułkownika Bronisława Moczkowskiego — szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi. Gratulujemy!

NAUCZYCIELOM

z okazji ich święta złożono serdeczne życzenia dalszej owocnej pracy nad wychowywaniem i edukacją młodego pokolenia Polaków. Do życzeń tych i my się dołączamy!

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH

został zarejestrowany w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy, przez co uzyskał osobowość prawną i od tej chwili może rozpocząć działalność w całym kraju. Czekamy na powstanie łódzkiego oddziału ZLP.

30 LAT TEMU W ZIELONEJ GÓRZE

rozpoczęła swoją działalność jako ekspozytura radiofonii przewodowej Rozgłośnia Polskiego Radia, a od stycznia 1957 roku emitowała swoje audycje na falach średnich. Obecnie audycji zielonogórskiej Rozgłośni PR można słuchać na falach UKF. Jej program dzienny wynosi 3 godziny. W ciągu roku zielonogórska Rozgłośnia PR nadaje 60 godzin programu na falach ogólnopolskich.

DOKUMENTY Z NAJNOWSZEJ HISTORII WĘGIER

przynosi książka wydana nakładem „Książki i Wiedzy" pt. „Węgry 1956—1957". Jest to zbiór dokumentów wydanych w 1981 roku w Budapeszcie pt. *„Juliustól juniusig"*. Redaktorami polskiego wydania są Irmina Stępowicz i Janina Zaucha-Dziabałowa. Dokumenty poprzedzono wstępem. Są to uchwały, odezwy, przemówienia.

Oto fragment z komunikatu o posiedzeniu Rady Ministrów z 7 listopada 1956 roku:

„W naszym kraju żaden chyba rząd nie przystępował do pełnienia swych obowiązków w tak trudnych warunkach. Komunikacja w stolicy i jej okolicach jest sparaliżowana, fabryki stoją, a transport do wielu miejsc jest bardzo utrudniony wskutek działalności uzbrojonych grup anarchistycznych. Poważne kłopoty sprawia zaopatrzenie piekarzy w mąkę i sklepów mięsnych w mięso, mimo że w hurtowniach, młynach i rzeźniach mąki i mięsa jest pod dostatkiem".

Lektura książki jest bez wątpienia godna polecenia. Wzbudzi ta książka szerokie zainteresowanie, o czym zresztą najlepiej świadczy fakt, że nie ma jej w księgarniach. Ale też i nakład prawie znikomy: 6,5 tysiąca. Pewnie będzie dodruk. Czy nie można było od razu dać większego nakładu?

DZIENNIKARZ PAP

Ireneusz Lukasik opracował i opublikował dane dotyczące rozwoju wymiany handlowej RFN z krajami socjalistycznymi w latach 1981—1982. I tak w czasie tym wzrosły obroty między RFN a Albanią (plus 34,7 proc.), ZSRR (plus 23,2 proc.) i Bułgarią (plus 6 proc.). Spadły natomiast obroty między RFN a Węgrami (minus 3,8 proc.), CSRS (minus 1,8 proc.) i Polską (minus 0,2 proc.).

Jeśli chodzi o wymianę handlową RFN z Polską, to import towarów polskich do RFN (czyli eksport z Polski) wzrósł w 1982 roku w porównaniu z 1981 rokiem o 0,4 proc., a eksport z RFN do Polski spadł o 0,8 procent.

Najwyższe wskaźniki wzrostu wymiany towarowej z RFN osiągnęła Albania: wzrost importu z Albanii do RFN o 17,1 procent i wzrost eksportu z RFN do Albanii o 45 procent.

ZIEMNIAKI NA ZIMĘ

— jak się okazuje — trzeba bilansować. Zakłady pracy sprowadzają sobie ziemniaki na własną rękę, nikogo o tym nie informując. Z tego to powodu Wydział Handlu Urzędu Miasta Łodzi zwrócił się z apelem do wszystkich zamawiających ziemniaki dla załóg o złożenie odpowiedniej informacji. Bez tej informacji nie będą wydawane karty zaopatrzeniowe na listopad.

Kłopoty z ziemniakami ma nie tylko Wydział Handlu, ale również dostawcy, którzy przywożą je do nowej przechowalni ziemniaków, z której mieliśmy być dumni, i muszą czekać godzinami na ich odbiór. Okazało się bowiem, że zaprojektowane nowoczesne urządzenia do transportu ziemniaków z samochodów do przechowalni pracują tylko w połowie. Praktyka pierwszych dni pracy przechowalni wykazuje też inne poważne błędy i braki. Postanowiono ostro zabrać się za projektantów i wykonawców i z odpowiedniemi wnioskami wystąpić do prokuratora. Oby ten zamiar nie rozpłynął się w obiektywnych trudnościach, jakimi zasłonią się projektanci i wykonawcy.

BAŻANTY Z POZNAŃSKIEGO ZOO

nie powróciły do Poznania. Nadal trwa śledztwo w tej sprawie. Poznańska milicja analizuje sygnały nadchodzące w tej sprawie z całego kraju.

Natomiast w ZOO założono w klatkach sygnalizację alarmową z oddzielnym zasilaniem, kupiono psy obronne oraz zastosowano inne środki ochrony i zabezpieczenia.

Okazuje się, że i poznaniak bywa mądry po szkodzie!

CO SIĘ DZIEJE W TYM LUBLINIE

W ubiegłym tygodniu pisaliśmy o strażakach, którzy w wozie bojowym wywieźli olej napędowy i sprzedali go amatorom motoryzacji i okolicznym chłopom, a już teraz możemy donieść o dramatycznym pościgu, jaki lubelska milicja urządziła dwom zbiegom z więzienia w Grudziądzu. Jechali oni „polonezem" nie przestrzegając przepisów. Milicja ruszyła w pogoń. Kierowca „poloneza" zorientowawszy się, że jest ścigany zaczął uciekać w kierunku Kraśnika. Milicjanci oddali strzały ostrzegawcze, a gdy to nie pomogło strzałami przedziurawili opony. Wóz wpadł w poślizg i wylądował w rowie. Z samochodu zaczęło uciekać trzech mężczyzn. Szybko ich ujęto. Trzecim okazał się jeden z mieszkańców Grudziądza. Cała trójka udawała się „na robotę" do Lublina.

A. B. SEKATOR

Dokończenie ze strony 1

Florian Znaniecki. Toteż wielu, chyba bardzo wielu, pielęgnowało w duszy ciche marzenie o raju na ziemi, gdzie każdy, jak nie przymierzając dziedzic ze dworu, będzie mógł pojeść do syta, nosić się schludnie przez okrągłą dobę, a się nie natyrać. Owszem, powszechne było pragnienie zdobycia pracy, występowała też stale obawa przed jej utratą, ale nie traktowano jej jako czynnika rozwoju osobowości człowieka i jakby moralnej powinności wobec społeczeństwa i państwa. Bo mimo wszystko nie był dość rozpowszechniony w naszym społeczeństwie etos pracy. Może dlatego, że bywała ona wtedy niewyobrażalnie ciężka?

No i praca nie była owiana żadnym tam romantycznym nimbem, jak walka zbrojna, jak martyrologia narodu, nie stanowiła więc, jak u innych nacji, pobudzającej wyobraźnię

polskiego mieszczaństwa, zrujnowanego przez szlachtę?). Tak czy inaczej, wiele grzechów obarcza szlachtę, o czym niezwykle namiętnie wypowiedziała się w „Rozdrożu" Maria Dąbrowska.

Byli wreszcie tacy, co korzeni lenistwa i sobiepaństwa doszukiwali się w piłsudczykowskiej Polsce sanacyjnej, której nadawała ton próżniacza i niedouczona — jak twierdzili endecy — „pomajowa inteligencja". Ach, oczywiście, nie powinno zabraknąć w tej wyliczance również wrogiej nam dzisiaj opinii, która głosi, iż dopiero niegospodarność i organizacyjny niedowład w funkcjonowaniu Polski Ludowej oduczył ludzi właściwego przedtem stosunku do pracy. Ba, i sam fakt likwidacji przez socjalizm bezrobocia, obwiniany jest przez te same opozycyjne koła za osłabienie poczucia wartości pracy, gdyż każdy, bez względu na to jak pracuje, ma pewność, iż państwo nie wyrzuci go na bruk i nie pozwoli mu zemrzeć z głodu.

Sądzę jednak, iż zwolennicy stwarzania zachęt do pracy

nie utożsamia się z pewną formą kradzieży, traktowanej przecież jako grzech w Dekalogu. Ale i kradzież (jeśli nie popełniona na osobie prywatnej) jak w ogóle wiele innych czynów, zdawałoby się — haniebnych, nie spotyka się z publicznym potępieniem, i chyba wyjątkowo rzadkie są przypadki koleżeńskiego czy towarzyskiego bojkotu osób postępujących nikczemnie, a już przy dużej wódce gotowiśmy obcmokiwać się i świadczyć sobie wzajemną przyjaźń z byle lumpem.

Czy taka wyrozumiałość mieści się w pojęciu tolerancji? Czy nie jest to wyrozumiałość wobec postępków, dla których samemu chciałoby się uzyskać rozgrzeszenie społeczne. Bo co to znaczy w opinii części społeczeństwa „być człowiekiem"? Nie występować zbyt gorliwie przeciwko złu, a zwłaszcza wobec ludzi czyniących zło!...

Ale co w naszej dzisiejszej, kryzysowej sytuacji może najbardziej niepokoić? Że w pracy wydajnej i solidnej, wynagradzanej jedynie na miarę o-

Potrzeba czy przekleństwo

przygody, która łączyła się czy to z zagospodarowywaniem — z coltem za pasem — amerykańskiego „dzikiego zachodu", czy wznoszeniem, o głodzie i chłodzie, wielkich budowli komunizmu, gdzieś daleko od Moskwy. Pobrzmiewa to w gorzkiej tyradzie Cezarego Baryki wygłoszonej w „Przedwiośniu" wobec mieszkańców Nawłoci.

W każdym razie jest coś ogromnie niepokojącego w tym, (i musi mieć głębokie przyczyny), że nasz polski stosunek do pracy od dawna odbiega od — jeśli można tak określić — międzynarodowej normy. Wystarczyłoby bowiem zwierzyć się pierwszemu lepszemu cudzoziemcowi z cywilizowanego kraju (niezależnie od ustroju społeczno-politycznego), że wielu naszym rodakom żadna praca, jeśli tylko płatna poniżej aspiracji (nie zaś kwalifikacji) lub wymagająca wysiłku nadmiernego w stosunku do oczekiwań, nie zasługuje na szacunek i traktowana jest jako wyjątkowo nieprzyjazne zrządzenie losu, a ów cudzoziemiec — słysząc taką rewelację — z pewnością zdziwiłby się niepomiernie. A już z zupełnym niedowierzaniem przyjąłby informację o tym, że wielu ludziom, nawet z wyższym wykształceniem, sprawia ogromną trudność i zdaje się przekraczać ich intelektualne możliwości, zrozumienie elementarnych związków pomiędzy wydajnością i jakością pracy ogółu obywateli a przeciętnym poziomem życia społeczeństwa. A przecież -- zdawałoby się — nie trzeba wcale być ekonomistą, żeby zrozumieć, iż tak modna w Polsce postawa: „Najpierw zapłaćcie ludziom tyle, ile potrzebują, a potem dopiero wymagajcie od nich porządnej pracy", opiera się na argumentacji niestety idiotycznej, ponieważ, jak wiadomo, najpierw trzeba wypracować zwiększoną ilość dóbr do podziału, zanim zacznie się przydzielać zwiększone środki na ich zakup. I gdybym w tej chwili pisał felieton, nie zaś sążnisty artykuł, zamierzony okrutnie serio, to wystąpiłbym (oczywiście, zaznaczając co kilka zdań, że to tylko żart) z wnioskiem o unieważnienie matur i dyplomów wydanych w Polsce Ludowej, skoro nie dają one żadnej rękojmi, iż ich posiadaczy stać na wysiłek niezbędny do zrozumienia tego, iż dostatku nie zapewni nam obfitość wydrukowanych banknotów, lecz obfitość towarów, solidnie i oszczędnie wyprodukowanych.

Nie uważam, rzecz jasna, żeby Polacy rodzili się mniej pojętni od innych i z urodzenia byli mniej wrażliwi na moralną stronę zagadnień (taki pogląd byłby przejawem dość przewrotnej postaci rasizmu). Uważam raczej, że w dawniejszych i nowszych dziejach narodu należy szukać przyczyn tego skrzywienia postaw, jakie dziś obserwujemy. Ale jak daleko należałoby sięgnąć wstecz?

Nie mnie rozstrzygać o tym, którzy z przedwojennych i powojennych publicystów bliżsi są prawdy: czy ci, co początki umysłowego i moralnego upadku dostrzegają w zwycięstwie siedemnastowiecznej jezuickiej kontrreformacji, czy inni, którzy szukają przyczyn dopiero w szlacheckiej anarchii epoki saskiej (i w ogóle w szlacheckich tradycjach pogardy dla zarobkowej pracy fizycznej i umysłowej oraz niedorozwoju

przez potrząsanie straszakiem bezrobocia, czyli przez stworzenie rezerwowej armii niezatrudnionych, zdają się zapominać, iż prawdziwe bezrobocie — strukturalne bezrobocie kapitalizmu — godzi również w tych, co chcieliby i potrafią uczciwie pracować. Pod wpływem obecnego bezrobocia w krajach kapitalistycznych prysnął bowiem mit, że nie znajdują pracy jedynie niezdatni lub leniwi. I drugi mit, w Polsce dość rozpowszechniony, że bezrobotni w zachodnich krajach dzięki zapomogom i zasiłkom mają się lepiej niż u nas pracujący, a więc, że lepiej opłaca się nie pracować tam, niż pracować tutaj. Ale funkcjonowanie u nas tego mitu, tego mirażu świadczy pośrednio o tym, że samej pracy nie traktujemy na ogół jako potrzeby wewnętrznej, lecz niemal wyłącznie jako zło konieczne.

O niewłaściwym stosunku części naszego społeczeństwa do pracy zdaje się też świadczyć niezwykła wyrozumiałość, z jaką w naszej obyczajowości traktuje się lenistwo. O tym, że dziecko jest mało zdolne mówi Polak ze wstydem, nawet jeśli jest ono pracowite. O tym natomiast, że jest „zdolne", ale leniwe, opowiada z pewną chełpliwością, jakby to właśnie uzdolnienia, a nie pracowitość były zasługami człowieka. Zwłaszcza chyba wśród inteligencji zalety wrodzone, rozmaitego rodzaju talenty, ceni się na ogół wyżej od osiągnięć wypracowanych, i ma to chyba coś wspólnego z romantycznym kultem jednostek niezwykłych.

Mało kto też uważa lenistwo za pewną postać utrzymywania się cudzym kosztem, czyli pośredniego okradania społeczeństwa. To raczej w kręgu kultury protestanckiej osobista dzielność w pomnażaniu dostatku materialnego przez uczciwą pracę uchodziła zawsze za cnotę, lenistwo natomiast było traktowane jako niemiłe Bogu. Inna tam więc atmosfera moralna wobec pracy niż w krajach o tradycji katolickiej czerpiącej wskazania moralne raczej z nowego testamentu, pełnej pogodnych, nieraz sielankowych przypowieści o tych „co nie orzą ani sieją, a ich królestwo niebieskie" (co na ziemi, to przecież mniej ważne). U nas też, podobnie jak w kręgu prawosławia, w wysokiej cenie jest kontemplacja, poszukiwanie duchowej prawdy („Bogoiskatielstwo"), ufne zdawanie się na miłosierdzie Boże, które żadnemu robaczkowi nie da marnie zginąć, nabożny lęk i podziw wobec różnego rodzaju „nawiedzonych", wobec pątników, pustelników i pielgrzymów. Szczerze mówiąc, nie są to wzorce nacechowane szczególnie wysokim poszanowaniem pracy.

Znamienne też, iż wśród siedmiu Grzechów Głównych, grzech lenistwa wymieniany jest jednym tchem z „nieumiarkowaniem w jedzeniu i piciu", (a cóż to szkodzi drugiemu — w potocznym odczuciu — że ktoś sobie setnie podje i tęgo popije, jak ma na to), a także m.in. z pychą. Pamiętam, że mój szkolny prefekt za odrażający przykład pychy podawał brak pokory wobec kapłana.

Wszystko to podsumowując, nikłe jest u nas potępienie społeczne dla lenistwa, którego

bieżnych skromnych możliwości, a nie na poczet zadań nie wykonanych, nie dostrzega się dość powszechnie jedynej szansy na poprawę warunków bytu społecznego. I jest to objaw ślepoty równającej się zbiorowemu samobójstwu.

Przypuszczam, że wielu ludzi wyczuwa to „podskórnie" i swoje uchylanie się od pracy czy jej niedbałe wykonywanie lub zwłaszcza uprawianie mniej czy bardziej czystych „geszeftów" usiłuje pogodzić z „zachowaniem twarzy", rozwijając w tym celu dość perfidną argumentację: „Byłem kiedyś gorliwie oddany pracy dla dobra ogółu, ale zawiodłem się na władzy i teraz już w nikogo i w nic nie wierzę". Brzmi to niewiarygodnie zwłaszcza w ustach tych osób, które lubią popisywać się dogłębną znajomością arkanów polityki państwowej i mają na podorędziu gotowe propozycje rozstrzygnięć w globalnej skali, tak nagle przeistaczają się w zagubionego, infantylnego prostaczka, którego władza tak zbałamuciła i zdemoralizowała, że już nawet przestał rozumieć podstawowe interesy społeczeństwa i państwa oraz swoje wobec nich obowiązki.

Być może zbyt często uciekam od głównego tematu i kluczę na peryferiach sprawy, której na imię praca (albo jej zaprzeczenia), ale przecież u nas nieposzanowanie pracy przybiera tyle form i masek, zwłaszcza dzisiaj, kiedy przeciwnikom państwa polskiego, w obecnym jego ustrojowym kształcie, zależy wyraźnie na tym, żeby przeszkodzić w poprawie warunków życia w Polsce, podważyć pozycję systemu politycznego. Oczywiście starają się unikać nazywania rzeczy wprost, posługują się metodą siania niewiary w skuteczność zbiorowego wysiłku pracy dopóty, dopóki nie zostaną spełnione ich polityczne warunki, całkowicie zresztą zbieżne z celami strategii kół zimnowojennych.

Zaślepienie niektórych osób posuwa się tak daleko, że nie dlatego zwalczają naszą politykę, iż nie jest ona w stanie poprawić, ich zdaniem, warunków życia w Polsce, lecz właśnie dlatego, że obawiają się, iż poprawa jest nieunikniona, jeśli nie stanie się coś nadzwyczajnego, jakieś gwałtowne działania z zewnątrz, wywierające presję na polskie ośrodki decyzyjne.

A my tu ciągle liczymy na to, że powszechny zryw w postaci „wyścigu pracy" pozwoli wydźwignąć kraj w niezbyt odległym terminie. Ale jak przekonać ludzi, że pracując dla społeczności pracują dla siebie i swoich dzieci? Bo niezależnie od ekonomicznego mechanizmu reformy gospodarczej funkcja świadomości jest ogromnie ważna. Świadomość niezbędności wysiłku pracy może wydatnie przyspieszyć wychodzenie z kryzysowego dołka, z czego po obu stronach politycznej barykady zdajemy sobie sprawę, więc nie ma sensu tego przemilczać.

Liczenie na to, że udałoby się przez złą pracę „dokuczyć" władzom państwowym nie szkodząc warunkom bytowym współobywateli, jest jawnie niepoczytalne. Komu rozum nie dopisuje, a kto szkodzi świadomie? Niełatwo to nieraz rozsądzić...

JERZY KWIECIŃSKI

Na bieżąco

Odpowiedź, pytanie i nadzieja

Pisałem nie tak dawno o pytaniach, które nurtują człowieka myślącego o polityce. I oto otrzymaliśmy odpowiedzi na niektóre z nich. Oczywiście, nie znam jeszcze całości materiałów XIII plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR, a przede wszystkim przebiegu dyskusji, ale już na podstawie referatu Józefa Czyrka i wystąpienia Mariana Orzechowskiego można dojść do pewnych istotnych dla myślenia politycznego wniosków i konkluzji.

I. W referacie spróbowano dać odpowiedź na pytanie, na jakim obecnie znajdujemy się etapie? Czy zbudowaliśmy już podstawy socjalizmu, czy też ciągle znajdujemy się w okresie przejściowym?

Szukając odpowiedzi na to pytanie, trzeba pamiętać, że rzeczywistość jest znacznie bogatsza od wszelkich założeń teoretycznych i nigdy i nigdzie nie spełnia się formuła ustrojowa w „klinicznie czystej postaci". Kapitalizm w Polsce też nie występował w czystej postaci, skażony był — jeśli tak można się wyrazić — specyfiką naszego rozwoju historycznego. Odbiło to się również na rozwoju socjalizmu w Polsce. Trudno więc się nie zgodzić, że *„prosta formuła* — jak to ujmuje referat na XIII Plenum KC PZPR — *nie może wyczerpać oceny złożonej rzeczywistości naszego kraju"*.

Jak się tę rzeczywistość charakteryzuje?

A więc:

— po pierwsze — *„zrealizowaliśmy w Polsce większość zadań okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu"*, co oznacza, że w życiu społeczno-politycznym i gospodarczym mamy trwały układ socjalistyczny;

— po drugie — *„w wielu dziedzinach wprowadzone zostały rozwiązania socjalne, które można byłoby zaliczyć do fazy socjalizmu wysoko rozwiniętego"*, co znów oznacza, że w tych dziedzinach zastosowaliśmy rozwiązania większe od naszych możliwości;

— po trzecie — *„są również obszary przemian nie zaawansowanych, opóźnionych..., istnieją pozostałości antagonistycznych sprzeczności klasowych"*.

Ale referat na XIII Plenum KC PZPR zwraca też uwagę na bardzo istotny moment:

„Przy próbie określenia osiągniętego stadium przeobrażeń socjalistycznych często zapomina się iż jednym z najważniejszych kryteriów dojrzałości socjalizmu jest wysoka społeczna wydajność pracy i racjonalnie zorganizowana gospodarka... Bez tego nawet w warunkach dominacji uspołecznionego systemu gospodarczego nie sposób zbudować wysoko rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Takie postawienie sprawy wskazuje, co przede wszystkim należy czynić, aby w budowie socjalizmu osiągać w przyszłości postępy realne i odczuwalne przez ludzi pracy".

Z tego widać wyraźnie, że dyskusja o etapie naszego rozwoju była nie tylko teoretyczna, ale miała doprowadzić do wyciągnięcia praktycznych wniosków. I takie wnioski zostały wyciągnięte. W swojej pracy muszą się nimi przede wszystkim kierować instancje i organizacje partyjne. Jeśli bowiem zakładamy, że nasze kryzysy brały się z nieprzestrzegania podstawowych założeń rozwoju socjalistycznego społeczeństwa, to przywracanie tych założeń musi prowadzić do stałego wzrostu wysokiej społecznej wydajności pracy. Innej drogi nie ma i warto, aby tę prawdę zrozumiało i uznało jak najwięcej ludzi.

II. Referat przygotowany na plenarne posiedzenie KC nie musi — bo nie ma tego w założeniu — odpowiadać na wszystkie pytania, jakie nurtują ludzi myślących o polityce. A jedno z nich dotyczy sojuszu robotniczo-chłopskiego. W referacie stwierdza się:

„W walce o Polskę sprawiedliwości społecznej, w procesie budowy socjalizmu w naszym kraju kluczową rolę odegrał sojusz robotniczo-chłopski. Jego trwałą podstawę w Polsce Ludowej stworzyła reforma rolna".

W swoim wystąpieniu na XIII Plenum KC PZPR Marian Orzechowski powiedział:

„Ze zbieżności podstawowych interesów społeczno-ekonomicznych i politycznych klasy robotniczej i pracującego chłopstwa wyrastał sojusz robotniczo-chłopski. Umacniał się w zmaganiach przeciwko kapitalistom, w akcjach solidarnościowych, we wspólnej obronie zagrożonej niepodległości przeciwko okupantom, we współpracy chłopskiej i robotniczej lewicy".

Sformułowania te odnoszą się do przeszłości, kiedy obie klasy miały wspólny cel — walkę o swoje polityczne i społeczne wyzwolenie. A jak jest dzisiaj? Przecież ani klasa robotnicza, ani tym bardziej chłopstwo nie są monolitami. Przeciwnie, obie klasy są znacznie zróżnicowane i to zarówno pod względem sytuacji materialnej, warunków życia, jak i świadomości. W czym więc dziś wyraża się sojusz robotniczo-chłopski?

Próbował dać odpowiedź na te pytania Jerzy Grzybczak w artykule *„Sojusz robotniczo-chłopski w działaniu"* publikowanym w nr 7 „Nowych Dróg" z 1983 roku. Pisze on tam między innymi:

„Szczególnym wyrazem troski o przywrócenie harmonii w stosunkach pomiędzy miastem a wsią, pomiędzy robotnikami a chłopami było wspólne plenum KC PZPR i NK ZSL ze stycznia 1983 r. Obie partie uznają, że warunkiem umocnienia sojuszu jest zapewnienie podmiotowej roli obu podstawowych klas społecznych, rozwój samorządności robotniczej i chłopskiej, respektowanie ich interesów i potrzeb. Interesy robotników i chłopów w krótkich okresach mogą nie być zbieżne. Odnosi się to zwłaszcza do polityki dochodów, cen i nakładów inwestycyjnych".

Można powiedzieć, że właśnie jesteśmy w takim okresie, kiedy interesy te nie są zbieżne. Stąd być może i trudność w określeniu istoty sojuszu robotniczo-chłopskiego w obecnym okresie. Poza tym przy rozwarstwieniu obu klas, przy ich zróżnicowaniu niezbędne jest określenie kto, z kim i w jaki sposób wchodzi w sojusz klasowy.

„Waga kwestii żywnościowej — pisze dalej Jerzy Grzybczak — *tworzy nową przesłankę sojuszu robotniczo-chłopskiego. Tak jak mieszkańcy miast nie mogą się obyć bez żywności wytworzonej na wsi, tak rolnicy nie rozwiążą żadnego produkcyjnego czy społecznego problemu bez udziału klasy robotniczej i inteligencji. Te klasy są sobie i pozostaną nawzajem potrzebne"*.

Problem pozostał jednak otwarty. Sądzę, że w szczegółowych rozważaniach na ten temat nie należy zapominać o przestarzałej strukturze naszego rolnictwa, która to struktura skutecznie hamuje postęp w rolnictwie. Podejmując działania w ramach sojuszu obie klasy muszą mieć wspólny cel. Tym celem obecnie jest bez wątpienia unowocześnienie rolnictwa, gdyż jego niedorozwój musi rodzić sprzeczności między różnymi działami gospodarki narodowej. Na niedorozwój rolnictwa wpływa również poziom kultury i oświaty wśród sporej jeszcze części mieszkańców wsi.

III. Ponownie muszę powtórzyć, że nie są to tylko problemy teoretyczne. Mają one znaczenie dla aktualnej polityki społecznej partii, mają też znaczenie dla właściwego dokonania oceny minionych 40 lat Polski Ludowej. W ostatnich latach narosło sporo mitów na temat naszej najnowszej historii, sporo było lansowanych różnych haseł i tez. A to, że „narzucona rewolucja", „niepolski socjalizm", że „nic w minionych latach nie osiągnęliśmy" i tak dalej. Odrodziły się też koncepcje z lamusa historii — chadeckie, endeckie, socjaldemokratyczne. Próbowano reformować i rewidować socjalizm w Polsce z różnych punktów widzenia.

Podstawowe zasady socjalizmu są jedne i niezmienne, natomiast realizowane i urzeczywistniane są one w konkretnych warunkach politycznych, społecznych i historycznych. Nie bez znaczenia dla ich realizacji jest układ sił na arenie międzynarodowej, aktualna kondycja imperializmu: to czy jest on w natarciu, czy też cofa się. Ale, żeby można było wprowadzać socjalizm w jakimkolwiek kraju muszą dojrzeć do tego wewnętrzne warunki. Komuniści od dawna utrzymują, że „import rewolucji" jest wymysłem antykomunistów.

W Polsce przemiany społeczne były prostą konsekwencją całego rozwoju historycznego naszego narodu. *„Kształtowanie się antykapitalistycznych i antyobszarniczych postaw mas pracujących Polski* — mówił Marian Orzechowski na XIII Plenum KC PZPR — *sprzyjających strukturalnym przeobrażeniom społeczno-ekonomicznym i politycznym, było długie i skomplikowane. Trwało ono przez cały okres międzywojenny"*. Klęska w wojnie obronnej 1939 roku poderwała zaufanie do rządów sanacji i stworzyła dogodne warunki dla poszukiwania nowych, opartych na demokratycznych zasadach, rozwiązań ustrojowych. Jedną z koncepcji takich rozwiązań przedstawiła PPR, szukając równocześnie sojuszników dla jej realizacji wśród mas pracujących i wśród tych sił politycznych, dla których nie do przyjęcia był powrót sanacji. Sojusz tych sił stworzył warunki dla powołania Krajowej Rady Narodowej.

„Polsce konieczna jest — mówił Marian Orzechowski — *własna droga rozwojowa, utrwalająca postęp społeczny i demokrację uwzględniającą doświadczenia mas pracujących w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne, oraz tendencje rozwojowe powojennego świata"*.

Odnosi się to zarówno do przyszłości, jak i teraźniejszości. Czterdziestolecie Polski Ludowej — związany z tym program obchodów — powinno stać się okazją do szerokiej i głębokiej oceny przebytej drogi. Nie chodzi przecież o to, aby odbyło się wiele jubileuszowych akademii — co zresztą bardzo lubimy — ale, aby móc spojrzeć z perspektywy minionych 40 lat na przebytą drogę. Zastanowić się nad tym, z jakich pozycji startowaliśmy i do czego doszliśmy. Nie możemy bowiem porównywać się do najbardziej rozwiniętych krajów Europy czy świata, zapominając, że swój poziom materialny tworzyły one przez długie lata, wyzyskując przy tym inne kraje i narody. Nie powinniśmy więc stawiać sobie jako cel „doganianie Zachodu", ale taki rozwój gospodarki, aby systematycznie poprawiały się warunki życia i aby rósł przy tym jej potencjał, aby dokonywał się postęp techniczny, rozwijała się nauka i kultura. Jest to bez wątpienia trudny i skomplikowany program, ale chyba jedynie realny w naszych warunkach, przy naszych możliwościach, kiedy najpierw trzeba wyjść z kryzysu i odrobić straty, jakie ten kryzys spowodował.

„Zaduma nad przeszłością — mówił Marian Orzechowski — *powinna stać się podnietą dla najskuteczniejszego pomnażania materialnego i duchowego dorobku narodu"*.

IV. XIII Plenum KC PZPR — po długich latach przerwy — zajęło się problematyką ideologiczną. Materiały tego Plenum — przynajmniej te, którymi już dysponujemy — zawierają sporo propozycji wartych nie tylko przemyśleń, ale i szerokiej, wnikliwej dyskusji. Trzeba uczyć się z przeszłości wyciągać takie wnioski, aby służyły nie tylko teraźniejszości ale pomagały właściwie kształtować najbliższą i dalszą przyszłość.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

EUGENIUSZ IWANICKI

Ile jeszcze tej równi pochyłej?

Do niedawna sprawa była prosta: społeczeństwo dzieliło się na robotników, chłopów i inteligencję pracującą. Teraz okazuje się, że mamy nową klasę społeczną: rolników. Nazwa chłop jakoś wstydliwie zaczyna być pomijana nie tylko w oficjalnych wystąpieniach, ale sami gospodarze wykazują niezadowolenie, gdy nazywa się ich chłopami. Osobiście nie mam nic przeciwko temu określeniu, tylko jeśli zamiast chłop, mówię rolnik, to już ten sam fakt zmienia mój stosunek do producenta płodów rolnych. Chłop kojarzy mi się z odległą przeszłością, z zabiedzonym konikiem ciągnącym pług, z dzieleniem zapałki na czworo, z chałupami krytymi słomą itd. Chłop — to relikt przeszłości, która definitywnie odeszła w niepamięć. Teraz na polskiej wsi prosperuje rolnik, właściciel murowanego domu, obory pod eternitem, traktora, siewnika, roztrząsacza. Rolnik to hodowca iluś tam setek krów lub świń albo też plantator mający pod rzepakiem czy burakami 10 lub 15 ha gruntów. Taki obraz został mi przekazany w minionym dziesięcioleciu, kiedy to rozpętano propagandę tworzenia gospodarstw specjalistycznych. Choroba gigantomanii, jak każda epidemia, miała to do siebie, że oślepiła, nie pozwalając widzieć, iż obok obór pełnych mlecznych krów, wypełnionych dorodnymi świniakami chlewni, wśród rozległych połaci kapusty i dziesiątków hektarów urodzajnej pszenicy przycupnęły małe gospodarstwa, chłopskie karzełki 2, 3 lub pięciohektarowe, że na miedzach i rowach pasą się wychudłe krowy, że na drobnej szachownicy poletek ledwo zieleni się anemiczne żyto. Ale był to czas tworzenia rzeczy wielkich, choć tak naprawdę, to nadal przeważały drobne, ledwo wiążące koniec z końcem indywidualne gospodarstwa chłopskie.

I oto krajem wstrząsnął kryzys. W ciągu niewielu miesięcy okazało się, że rolnictwo wcale nie jest taką potęgą, że w jego wizerunku było więcej propagandowych kolorów niźli rzeczywistych barw dostatecznej zamożności.

Dzisiaj na polską wieś spogląda się innym okiem, bowiem od tego, co ta wieś wyprodukuje, będzie zależeć obfitość lub niedostatek naszego stołu. Dla rolnictwa zapalono zielone światło. Ale gigantyczny pojazd jakoś się nie rusza, nie może oderwać się o własnych siłach, uczynić tego pierwszego, wcale nie milowego kroku. Ale kroku o własnych siłach.

Te, jak i końcowe refleksje nad stanem polskiego rolnictwa nasunęły mi się w czasie plenarnego posiedzenia Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR i Prezydium Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL w Łasku poświęconego analizie stanu gospodarki rolnej.

Z materiałów dostarczonych na plenarne obrady zarysował się niezbyt optymistyczny obraz polskiej wsi, choć sprawa dotyczyła wyłącznie gminy Łask.

Byłoby niesprawiedliwością mówić, że w dziejach Polski Ludowej wieś nasza nie uległa przeobrażeniom. Jednakże okres po sierpniu 1980 r. przekonał nas, że polityka rolna nie szła w parze z głoszoną propagandą sukcesu. Dziś te zaniedbania trzeba odrobić i to bardzo szybko. Sprawa wyżywienia narodu znalazła się w centrum uwagi najwyższych władz (przypomnę wspólne IX plenum KC PZPR i NK ZSL na ten temat oraz rządowy program rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej przyjęty na jednej z sesji Sejmu PRL). Wydano już kilka aktów normatywnych regulujących sprawy dotąd nie mające ochrony prawnej.

Jest zielone światło. Tymczasem w gminie Łask w czasie ostatniego spisu okazało się, że równia pochyła wcale się nie wyrównuje, a wręcz przeciwnie. Zanotowano dalszy spadek ilości bydła i trzody chlewnej. W stosunku do roku ubiegłego pogłowie trzody chlewnej zmniejszyło się o 1.500 sztuk, a loch o 200 sztuk. Oczywiście, ma to swoje przyczyny w jakości gleby, która jest kwaśna i trzeba ją obficie nawieźć wapnem. Potrzeby gminy w tym względzie wynoszą 4.300 ton, a w roku bieżącym wysiano wapna zaledwie 1.250 ton. Skąd więc czerpać zasoby roślinne do produkcji pasz? Dlatego też średnie plony z czterech podstawowych zbóż sięgają zaledwie 23 q, a ziemniaków 170 q.

Pasze determinują hodowlę. Skoro jej nie ma rolnicy wyzbywają się krów i świń. Stąd, mimo podwyżki cen skupu mleka, mleka jest coraz mniej. Chlewnie są puste — do wykonania planu skupu żywca wieprzowego brakuje w tym roku 600 sztuk.

Rolnictwo — to wielki łańcuch różnych czynników, które muszą funkcjonować jak najbardziej precyzyjny mechanizm. Nie ma bowiem hodowli bez pasz, pasz bez nawozów i melioracji, nie ma produkcji bez naszyn i narzędzi. Wreszcie nie ma rolnictwa bez ludzi.

W gminie Łask sprawa melioracji i konserwacji urządzeń melioracyjnych przedstawia się wręcz tragicznie. Na zmeliorowanie oczekuje 6 tys. ha. A jednocześnie wsie pozostają bez wody. Wodociągi są sprawą być albo nie być dla niektórych wiosek. Są to inwestycje kosztowne i pracochłonne. Plany więc są skromne, ale przecież są. Do 1985 r. władze gminne obiecują wybudować 7-kilometrową linię wodociągową we wsi Bałucz, do 1987 r. takąż linię długości 3,6 km w Ostrowie, do roku 1986 wodociąg otrzyma Gorczyn. Czy to dużo? Może i nie, ale są to pierwsze jaskółki reformy, pierwsze kroki na drodze do unowocześnienia wsi. Nie jestem hurraoptymistą, nie przekonują mnie wielkie zamierzenia, szczególnie tam, gdzie trzeba zaczynać od rzeczy małych, ale istotnych. Dlatego bardzo chcę wierzyć, że przyjęta na plenarnym wspólnym posiedzeniu uchwała będzie realizowana po gospodarsku, rozsądnie i konsekwentnie. Dlatego wierzę, że wioski w gminie Łask będą miały nie tylko wodociągi, że grunty orne zostaną zmeliorowane, że ziemia otrzyma potrzebne jej nawozy, że każde gospodarstwo zostanie wyposażone w odpowiednie narzędzia rolnicze — ale wierzę także i w to, że na punktach skupu będą ustawiać się kolejki chłopskich wozów z bydłem, trzodą chlewną, zbożem i ziemniakami. I bardzo wierzę, że nastąpi to już niedługo.

Tymczasem w czasie obrad plenarnych w Łasku zabierający głos rolnicy nie podzielali mojego optymizmu. Z ich relacji wynikało jedno: polska wieś jest nadal w impasie. Prawie każdy z dyskutantów mówi o maszynach rolniczych i sprzęcie pomocniczym. Owszem, maszyny nawet czasami są, tylko nie dla każdego. Już raczej dla milionerów, bo przeciętny rolnik ich nie kupi, bo go nie stać. Albo weźmy sprzęt: dostarczają takie klamoty, że producent winien się wstydzić za ich jakość, a jeśli już produkuje, to niech rozdaje za darmo, gdyż na nich nie można pracować. Już pierwszego dnia się rozsypują i nic nadają się do naprawy. Dlaczego mamy płacić miliony złotych, za coś, co niczemu nie służy?

Przez te wszystkie lata Polski Ludowej uczelnie wyższe, średnie i szkoły zasadnicze kształcą ludzi dla rolnictwa. I co z tego wynika? Rolnictwo jak było oparte na pracy starego chłopa, tak i pozostało. Młodzi wolą zostać w mieście, zasiadać przy biurku, by po pracy paradować w modnym krawacie. Polska wieś się starzeje. W tempie zastraszającym. Jeszcze trochę, a rolnictwo indywidualne przestanie istnieć. Starzy poumierają, następców nie widać.

Panuje powszechne przekonanie, że wieś leży na pieniądzach. Ten mit jest tak zakorzeniony, że nie mogą go zmienić żadne tłumaczenia. Tylko nikt nie bierze pod uwagę, że na roli nie ma godzin pracy, nie ma niedziel i świąt. Ziemia wymaga nieustannej obecności i zabiegów. Nie można krowie wytłumaczyć, że nie dostanie pić, bo gospodarz siedzi w kawiarni albo wyjechał do miasta do teatru. A mimo to chłopom się zazdrości, bo bamber na wsi nic nie robi tylko zbija majątek.

Wszyscy żądają od rolników, by odstawiali więcej mięsa i zboża. Zgoda, tak powinno być. Chłop dla siebie nie będzie trzymać dziesięciu świń. Jak ma jednak hodować, skoro nie ma pasz? Żeby były pasze, musi być dostępny dla rolnika sprzęt i to nie za miliony, tylko w rozsądnych granicach cenowych. Wtedy możemy mówić o hodowli, odstawach, kontraktacji. Za co ma chłop kupić siewnik, skoro nie ma pieniędzy, bo nie ma co państwu sprzedać?

Okolice Łasku to zagłębie truskawkowe. Istniejąca w Gorczynie przetwórnia owocowo-warzywna skupuje zaledwie nieznaczną część tych owoców. Reszta wędruje do punktów skupu, a stamtąd jedzie do przetwórni rozrzuconych po całym kraju. Wiadomo, surowiec się w ten sposób marnuje i koszty są wielkie. Dlaczego tak się dzieje? Z prostego faktu: w Gorczynie nie ma odpowiedniej zamrażalni ani chłodni na przechowywanie owoców. Zresztą historia tej przetwórni to osobny rozdział. Od 1975 r., kiedy to Łask znalazł się w województwie sieradzkim, przetwórnia także została podporządkowana Przedsiębiorstwu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Sieradzu. Przez całe siedem lat Gorczyn pozostawał w cieniu własnej dyrekcji, choć, jak wspomniałem, przetwórnia przyniosła zyski. W końcu załoga postawiła veto. Dziś zakład jest samodzielny. Ma pieniądze. Tylko, jak za dawnych czasów nie wolno wprowadzać modernizacji, nie wolno niczego budować. Gdzie więc jest ta gospodarność, o której tyle się mówi? Czy nadal mają się marnować truskawki, a jabłkami chłopi będą w dalszym ciągu skarmiać bydło?

Gospodarkę niszczy brak koordynacji. Kto ma to robić? Wiadomo, państwo. A kto to jest to państwo? Czy tylko rząd? Państwo to wszyscy: dyrektorzy, kierownicy, naczelnicy itp. Jeśli na tych szczeblach nie będzie koordynacji, to żadne ustawy sejmowe nie pomogą w dźwignięciu się gospodarki. Przykłady? Proszę bardzo. Kiedyś cała Polska mówiła o sznurku do snopowiązałek, teraz mówi się o lemieszach do pługów. Lubimy niekończące się dyskusje i płaczliwe lamenty. A czy by nie znalazł się ktoś, kto by obliczył ile sznurka potrzeba na 1 ha, ile lemieszy? Przecież to proste, zwykłe działanie matematyczne dostępne każdemu, kto uczęszczał do szkoły podstawowej. Nie trzeba by było wówczas głowić się ile lemieszy i nieszczęsnego sznurka potrzeba dla gminy Łask, a ile dla gminy Bałucz.

Mówi się o maszynach, o tym, że rolnik nie może ich dostać. Prawda, są drogie, i to bardzo. Ale jeśli ktoś ma pieniądze, to i tak tej maszyny nie otrzyma, choć stoi ona na placu kilka miesięcy. Maszyna jest, tylko nie ma papierków. Nie ma cennika. Mijają miesiące, rdza wgryza się na dobre w delikatne tryby, na polach chłopi machają kosami. Podobnie jest często z częściami zamiennymi. A może ministrowie odpowiednich resortów wzięli na przeczekanie? Chłop ponarzeka, ponarzeka i przestanie, a ziemia jak rodziła tak będzie rodzić.

Ceny — to jeden z mocniejszych hamulców. Rosną z dnia na dzień. Rolnik, jeśli czegoś nie kupił dziś, bo akurat nie miał tyle pieniędzy, to jutro już nie kupi na pewno, bo rzecz ulegnie przecenie in plus.

Kiedyś, kiedy powoływano Koła Rolnicze miały one zabezpieczyć grunty chłopskie w sprzęt. Zgromadzono sprzęt, ludzi. Można szybko i sprawnie przeprowadzić zbiór zboża czy orkę. Tylko dla kogo dziś te Koła Rolnicze czy SKR? Dla tych drobnych dwu-, trzy- i czterohektarowych gospodarstw, bo takie przeważają w gminie Łask? Przecież obsługa w czasie wykopków ziemniaków trwa zaledwie miesiąc, a przy żniwach dwa tygodnie. A co robić ze zgromadzonym, o milionowych wartościach, sprzętem przez resztę roku? Tak więc rodzi się pytanie, czy w reformie gospodarczej Koła Rolnicze mają rację bytu? Czy wytrzymają?

Nieodłącznym pomocnikiem i doradcą rolnika bywała służba rolna. Kto ją dziś jeszcze pamięta? A przecież ilość urzędników wcale się nie zmniejszyła, tylko jakoś nie widać ich na wsiach, w kontaktach z producentem płodów rolnych. Podobnie rzecz się ma z weterynarią: jeśli zachoruje krowa i rolnik posiada własny środek lokomocji, to krowę uratuje.

Wieś została przywalona podatkami, to prawda. Jednakże nie one zniszczą chłopa. Ugnie się on pod skaczącymi z dnia na dzień cenami. Ot, choćby taki przykład: Kółka Rolnicze spłacają poważne zadłużenia z lat ubiegłych, doszedł do tego Fundusz Aktywizacji Zawodowej, wynoszący w gminie Łask 6 mln zł. Co więc zrobi dyrektor Kółka Rolniczego, by nie pójść z torbami? Ściągnie od rolników podnosząc ceny za świadczone przez Kółko Rolnicze usługi. Sami wyniszczymy się do cna i z kretesem, jeśli w porę nie zaczniemy myśleć w kategoriach społecznej ekonomii.

Z jednej strony słychać narzekania, że żywności ciągle jest za mało, z drugiej jednak rolnicy marnujemy jej spore ilości. Oto mleczarnie stoją przed problemem: co zrobić z białkiem pozyskiwanym z mleka? W całym kraju magazyny są wypełnione kazeiną. Dobra, a przecież to pasza, wysokowartościowa i cenna pasza. Podobnie rzecz ma się z serwatką, którą zwyczajnie wypuszcza się do kanałów. Biedni jesteśmy czy bogaci? A może zwyczajnie niegospodarni?

Ziemia się kurczy, grunty giną bezpowrotnie. Za niecałe dwadzieścia lat będzie nas na Ziemi 6,5 mld. Jak tych ludzi wyżywić? Nie jest prawdą, że w dzisiejszym świecie może istnieć kraj samowystarczalny. Dziś wszyscy zależą od wszystkich. Trzeba wobec tego dążyć do takiej sytuacji, by produkować więcej, lepiej, ale oszczędniej. By za każdą realizacją stało głębokie przemyślenie, by wpierw była myśl, a potem czyn.

Dyskusja trwała długo. Zabierali głos rolnicy, przedstawiciele służb pracujących na rzecz rolnictwa, przedstawiciele władz wojewódzkich partii i ZSL. I wszystko, o czym tam mówiono było prawdą, miało swoje odniesienie do rzeczywistości. A mnie, słuchającemu tych głosów, nasunęły się takie oto refleksje:

Polski rolnik nigdy nie miał łatwego życia: zmieniające się przepisy i zarządzenia powodowały, że czasem tracił zaufanie do władzy. Przecież wszystko było ruchome: obciążenia podatkowe, skup i sprzedaż, zasady kontraktacji i budownictwo wiejskie. Władza mówi, że wszystko zależy od producenta żywności, a jednocześnie rosną podatki, brakuje pasz, maszyn i narzędzi rolniczych. Jeśli podnosi ceny skupu mleka i bydła rzeźnego, to jednocześnie w punktach skupu albo wcale tego bydła nie chcą, albo zaniżają jego klasę. Są gospodarstwa giganty, specjalistyczne, wyposażone w traktory, roztrząsacze, siewniki i kombajny, a tuż obok egzystują dogorywające, zaniedbane karzełki, liliputy, gdzie nie stać nawet na konia. Kontrasty, paradoksy, anomalie.

Rolnik chce stabilizacji. Chce czuć mocny grunt pod stopami. Mówi mu się, że od niego zależy wyżywienie kraju, a jednocześnie śrubuje się ceny na narzędzia i maszyny, na części zamienne i na usługi świadczone przez służby obsługujące rolnictwo. Krążą mity o bogactwie. A ilu tych krezusów jest na wsi? Dwóch, trzech w jednej wiosce. A reszta? Przeważnie dwoje staruszków dogorywa wraz z karłowaciejącym gospodarstwem, którego żaden młody od nich nie chce kupić.

Rolnik chce mieć narzędzia. Owszem, są. Lemiesze, które są miękkie jak naleśniki, widły wyginające się jakby były ze stearyny, kosy ułożone odwrotnie czyli dla mańkutów, gwoździe miękkie jak wosk, młotki, które zamiast klepać kosy, rozpłaszczają się jak wałkowane ciasto...

Rolnik chce ziemi. Ale tej najlepszej, nie tej V i VI klasy. Co prawda Państwowy Fundusz Ziemi posiada jej spore ilości, tylko co urośnie na tej ziemi bez nawozów i maszyn?

Tak więc nie tylko od rolnika zależy czy będziemy mieli pod dostatkiem chleba i mleka, czy mięso będziemy otrzymywać na kartki przez rok, czy przez całe millenium. Dlatego dobrze się dzieje, że sprawom wyżywienia poświęca się nie tylko plenarne posiedzenia najwyższych władz partyjnych i ZSL, ale że na tych szczeblach najniższych ludzie zastanawiają się nad metodami uzdrowienia naszego rolnictwa. Osobiście bardzo bym pragnął wziąć udział w przyszłości w takiej naradzie, na której mówiłoby się jedynie o tym, co zrobić z nadmiarem wyprodukowanej żywności i o tym, jak i gdzie ma rolnik odpoczywać po wyczerpującej pracy.

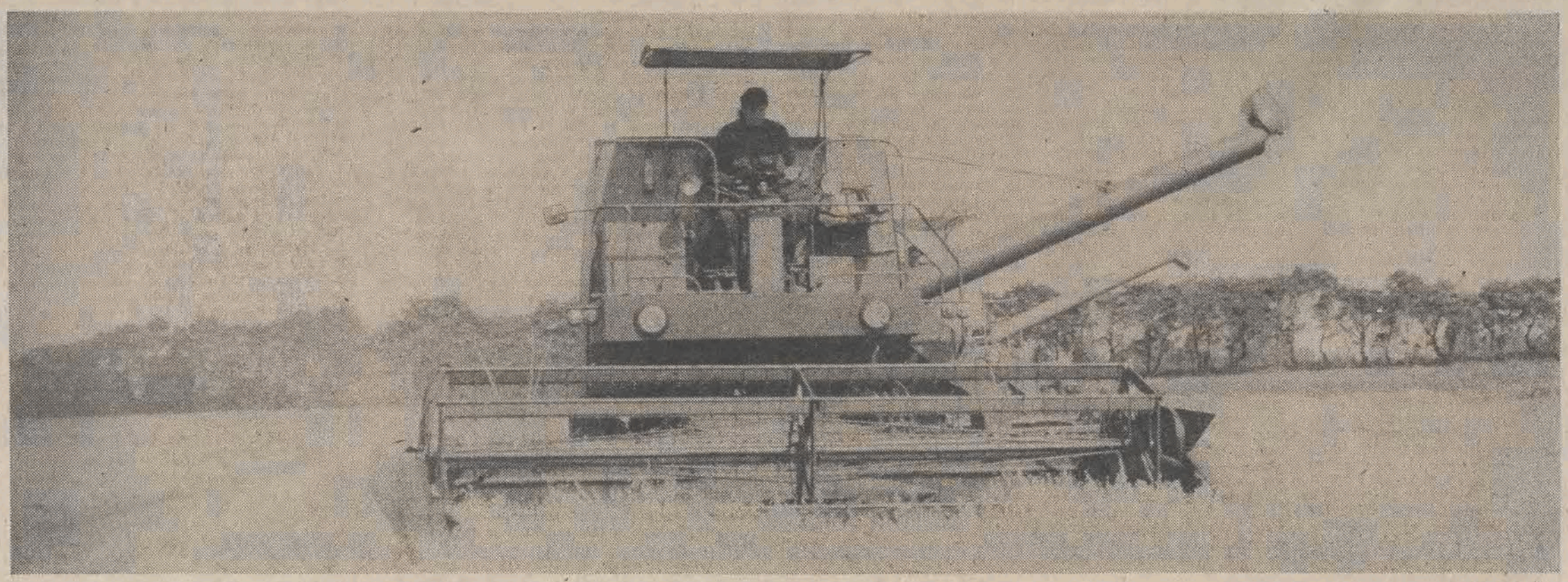

Foto: Mirosław Zajdler

Z listów żołnierzy

Dokończenie ze strony 1

przeszkód czyli „małpi gaj". Przemokliśmy do suchej nitki. Po południu byliśmy na akademii z okazji 22 Lipca. Dzięki temu mogliśmy się przebrać w stroje wyjściowe. A tamte, cóż, do jutra chyba nie wyschną. Ale może zaświeci słońce i wyschną na nas..."

Po ciężkim dniu nadchodzi noc. Zasłużony odpoczynek. Ale nie zawsze żołnierz może się wyspać. Wróg może zaatakować o każdej porze dnia i nocy. Trzeba być przygotowanym na wszystko. Dlatego robi się w wojsku co jakiś czas próbne alarmy:

„...mieliśmy już jeden nocny alarm. A będzie więcej. Straszny jest wtedy bałagan. Każdy chwyta co widzi i leci przed siebie, nie patrząc, czy ktoś stoi mu na drodze czy nie. Można się nawzajem zatratować".

Ćwiczenia, alarmy i przede wszystkim musztra wypełniają dni żołnierza przed przysięgą. W dniu przysięgi wszystko musi grać na medal:

„W tym tygodniu będę codziennie bardzo zmęczony, bo jest dużo musztry w związku z przysięgą, ćwiczeń na poligonie i sprawdzianów. A więc zmęczenie fizyczne i umysłowe. Ale dzięki temu szybciej minie ten tydzień..."

PO PRZYSIĘDZE

„A po przysiędze jest tak samo jak przed przysięgą, z tym, że skończył się nam tak zwany okres unitarny — szkolenie podstawowe, a zaczęliśmy szkolenie specjalistyczne na przyrządach. Nie wymaga się już od nas podstawowych spraw. Weszliśmy na wyższy stopień wtajemniczenia chemicznego. Mieliśmy strzelanie no i z setki (na 100 m. — przyp. W. L.): wypukałem na 50 możliwych 39 pkt...".

„Teraz po przysiędze zaczną się warty, służby i diabli jeszcze wiedzą co. Ale najważniejsze, że zaczęły się przepustki".

Tak, żołnierz wiele przecierpi, ażeby tylko wyjść na tę ukochaną przepustkę. Nie za często ją jednak dostaje. Trwa intensywne szkolenie. Żołnierze pełnią różnego rodzaju służby...

„Jesteśmy dzisiaj pododdziałem alarmowym, tak, że szykuje się niespokojna noc. Ponadto wyjątkowo dużo nauki w tym tygodniu. Siedzę sobie więc teraz w świetlicy i uczę się o minach, zabiegach specjalnych i sanitarnych oraz o obronie własnej przed nieprzyjacielem...

„... zrobili nam dzień intensywnego szkolenia w terenie. Najpierw były dwie godziny zakładania masek i OP-1 (płaszcz gumowy chroniący przed skażeniami — przyp. W. L.) na czas, potem godzinka wykańczającego WF-u, a następnie cztery godziny pracy bojowej przy armatach. Od armat biegiem na baterię, na apel, potem na obiad, po obiedzie spotkanie w kuchni czyli obieranie ziemniaków do kolacji... Pierwszego papierosa wypaliłem ok. godz. 14.00..."

Żołnierz musi umieć wszystko, ale przede wszystkim musi dobrze i celnie strzelać:

„Jutro jedziemy na strzelnicę.. Za strzelanie można dostać urlop, ale trzeba mieć 48 do 50 pkt na 50 możliwych. Chyba nie wystrzelam tyle nigdy...".

Wszystkie swoje umiejętności sprawdzą żołnierze później na poligonie. Ale żołnierz nie tylko się szkoli. Także pracuje na rzecz całego społeczeństwa, i to czasami ciężko, nawet w niedzielę:

„Tymczasem jest bardzo zimno. Dzisiaj było —6°C, tak że poranne zaprawy w tej temperaturze nie należą do przyjemności. Niedzielę natomiast spędziliśmy na wykopkach. Byliśmy tam od 9.00 do 18.00. Szanowne kierownictwo PGR rękami żołnierzy zrobiło kawał dobrej roboty, ale niestety nie potrafiło zabezpieczyć nawet dla wszystkich zupy, a 10 butelek polo-coli dla przeszło 100 żołnierzy to już czyste kpiny. Poza tym przenikliwe zimno spowodowało, że byliśmy wściekli".

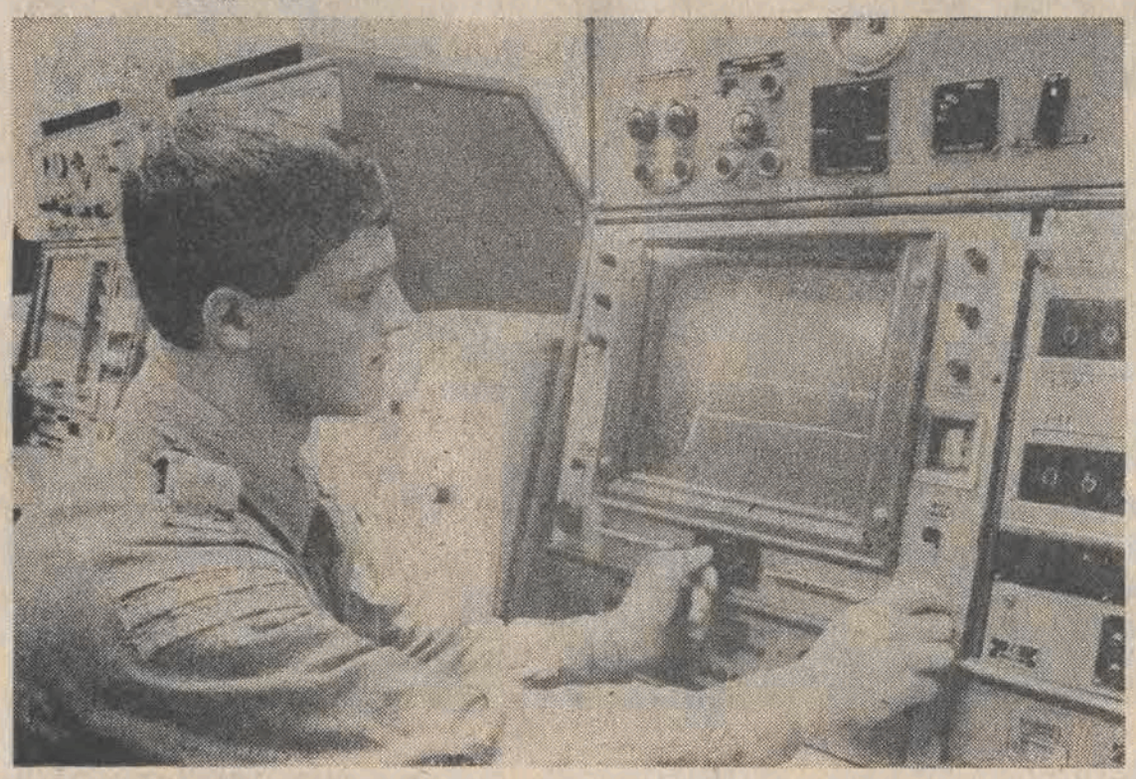

POLIGON

Poligon jest największym sprawdzianem umiejętności żołnierza, nabytych podczas dotychczasowego szkolenia. Sprawdzianem ciężkim, w warunkach pozorujących prawdziwe pole walki. Szczególnie ciężko jest zimą, ze względu na mrozy, śnieg i lód. Przewóz sprzętu i wojska na poligon odbywa się specjalnym pociągiem zwanym eszelonem. W wagonie dla żołnierzy są tylko prycze piętrowe do spania oraz piecyk pośrodku:

„Na poligonie będę prawdopodobnie do 13.XII. Jechaliśmy wyjątkowo krótko, bo tylko 14 godzin. W wagonach takich jak w pociągu towarowym. Jak na razie czuję się jeszcze dobrze, choć lekko przeziębiony jest z nas każdy... Mamy cały dzień zajęcia, tylko pół godziny przerwy od 16.30 do 17.00. Nie mamy światła w namiotach. Dzisiaj dali nam lampę naftową i właśnie przy niej piszę, choć prawdę mówiąc niewiele ona daje. Pada deszcz, jest zimno i w ogóle dopiero tutaj jest naprawdę ciężko. Codziennie mamy dyżury przy piecu, tak że wyglądamy jak pomocnicy palaczy w kotłowni. Cali czarni, ciągle brudni. A jeszcze jak piec zacznie dymić, wówczas rezygnujemy z palenia i śpimy w zimnie. Ciepłej wody nie ma. Prasa nie dochodzi. Żyjemy jak w dżungli, nie wiedząc, co się dzieje w świecie. Listy też dopiero od wczoraj można wysyłać i też nie wiadomo jak długo będą szły. Tutaj adresu nie ma, tak że trzeba pisać na tamten adres... Wyspać to się tutaj nie można. Pobudka o 5.30, a te ciągłe dyżury przy piecu i inne służby powodują, że czasem śpi się tylko dwie godziny na dobę. Cały obóz przypomina swoim wyglądem obóz harcerski. Położony jest w brzozowym lesie. Ładny teren, ale pora roku nieodpowiednia na przebywanie pod namiotem..."

Pełnienie służby wartowniczej na poligonie też jest trudniejsze niż w normalnych koszarowych warunkach:

„... Dzisiaj mam właśnie wartę. Stoję sobie łącznie 8 godzin (2 godziny stania i 4 godziny przerwy i tak na zmianę 4 razy). W nocy towarzyszą mi dziki i lisy, które podchodzą pod sam obóz nic sobie nie robiąc z tego, że ja stoję z bronią w ręku. Dzięki Bogu, że nie są agresywne. Pogoda mimo deszczów, trzeba przyznać, że jednak nam sprzyja. Bo nie wiem, co by było, gdyby temperatura spadła poniżej zera. Dzisiaj nawet była, krótka burza, co jak na grudzień jest zjawiskiem nietypowym... Jutro mamy bardzo niebezpieczne zajęcia, bo będziemy atakować z ostrą amunicją. Wszyscy muszą być bardzo ostrożni, żeby nie postrzelić kolegi. A na koniec tego poligonu mamy mieć zajęcia 48-godzinne non stop ze spaniem pod błękitną chmurką. Bardzo „romantyczne" jest to wojsko."

Czas płynie na poligonie szybko, choć żołnierze chcieliby z pewnością, żeby płynął jeszcze szybciej. Ale wszystko się kiedyś wreszcie kończy. A na koniec super ciężkie ćwiczenia:

„... zrobiono nam ćwiczenia dwudobowe. Wyglądały one w sposób następujący: Wyruszyliśmy o 5 rano. Po przejściu 35 km mieliśmy przygotować się do natarcia, czyli kopać okopy, spędzić w nich noc i rano atakować. Tak jak przez cały czas mieliśmy właściwie szczęście do pogody (bo było ciepło, tylko padało), tak podczas tych ćwiczeń mało ona nas nie wykończyła. Przez cały marsz lał deszcz. Po przyjściu na miejsce zaczął sypać śnieg i temperatura zaczęła się gwałtownie obniżać. Wyobraź sobie jak było nam zimno. Cali mokrzy i przepoceni a tu śnieg. Ale ten niespodziewany atak zimy spowodował, że przesunięto termin natarcia na godziny wieczorne. W nocy było już —19°C. Tęskniliśmy za namiotem i ciepłym piecem. Wróciliśmy w stanie skrajnego wyczerpania. O stanie nóg nie warto wspominać. Mimo to aż dziw bierze, że nikt się poważniej nie przeziębił. Długo nie odpoczywaliśmy, bo już następnego dnia czekał nas wyjazd. I znów 8 km z tym cholernym plecakiem na plecach do stacji... Po całodniowej podróży zameldowaliśmy się w koszarach. Żeby było przyjemniej to wlepili mi jeszcze służbę. Marzę czasem, żeby się wyspać..."

Sen to częste marzenie żołnierzy. Niestety nie ma zbyt wielu okazji do spełnienia tych marzeń. Powoli biegną dni służby. Pierwszy urlop w domu. Nie chce się wtedy wracać, ale trzeba. Cóż, taka jest dola żołnierza. Czasem służba wypadnie w Sylwestra lub w święta i do tego musi żołnierz również przywyknąć. Potem przychodzą awanse i następny poligon:

„Znowu niestety jestem na poligonie. Podróż miałem okropną. Wyjechaliśmy o 13 transporterami. Ja jako dowódca jednego z wozów musiałem jechać w odkrytym włazie z hełmofonem na głowie. Jazda taka zwłaszcza w zimie nie należy do najprzyjemniejszych. A co gorsze padał jeszcze śnieg. Czułem go na twarzy jak grad. I tak przez cztery godziny. Twarz miałem czerwoną jak burak. Wprawdzie ładnie to wygląda jak taki 14-tonowy SKOT (średni kołowy transporter opancerzony — przyp. W.L.) wjeżdża do miasta, a w nim stoi dowódca. Można się poczuć niczym jakiś zdobywca. Jedyne przyjemne momenty tej eskapady to dzieci przyjaźnie machające rękami do przejeżdżających wozów. Ale w sumie to przemarzłem troszeczkę... W dodatku gdy przyjechaliśmy — nic nie było przygotowane, a miało być. Panujące ciemności nie pozwoliły wiele zrobić tak, że w końcu spaliśmy w zimnym namiocie we wszystkim na sobie i pod 5 kocami. Światła też oczywiście nie było i dopiero wczoraj wieczorem założyli. Tak, że warunki podobne do tych co na poprzednim poligonie, tyle, że zimniej".

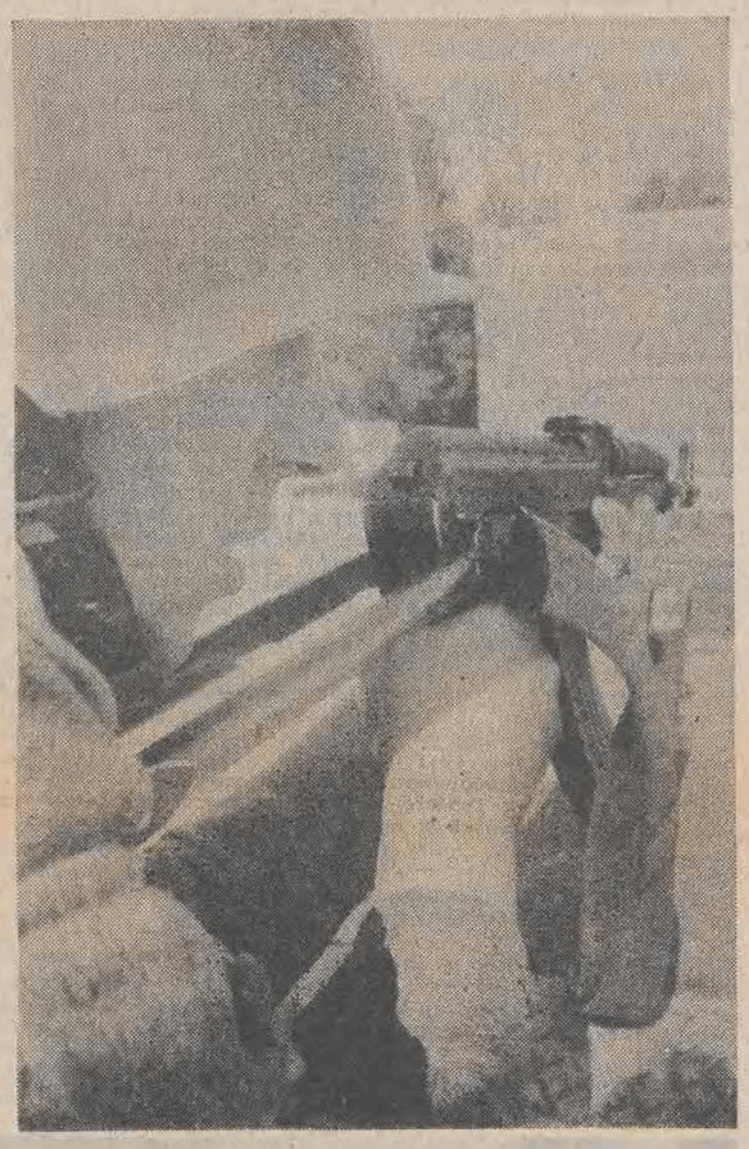

Mija następny poligon, mijają kolejne służby, mijają dni i tygodnie. Służba zbliża się powoli ku końcowi. Wreszcie po dwóch latach ciężkiej, twardej szkoły życia wrócą młodzi ludzie do cywila, o którym tak marzyli w wojsku. Niejednokrotnie będą jednak wspominać okres służby, ciężkiej służby, którą powinien odbyć każdy mężczyzna.

WITOLD LEWANDOWSKI

Zdjęcia: Mirosław Zajdler

Monolog Nowakowej

Dokończenie ze str. 1

zjeść. Szykuję śniadanie dla dzieci, męża, kanapki. Potem wyczekiwanie na tramwaj. Zimą to wystarczy dwadzieścia minut w cienkich pantofelkach, aby nogi przemarzły. Kozaki mi się rozleciały. Nowych w tym roku nie miałam. A do pracy, wiadomo, trzeba jechać w każdą pogodę. Komunikacja zrobiła się gorsza. Jedziemy dłużej i w większym tłoku! Człowiek ma mieć zdrowie? Już na nerki zapadłam. Przemysłowa służba zdrowia wcale się nami nie zajmuje. Lekarz mnie widział jak szłam na produkcję. Żadnych badań kontrolnych nie ma. Kogo obchodzą choroby zawodowe? Sanatorium dostać, to zupełnie jak trafić milion w Totolotku. Lekarz w zakładzie sobie, a my sobie. Kto dziś śmie mówić o racjonalnym odżywianiu? Jak ugotuję, to raz na dwa dni. Jemy odgrzewane, nie mam siły inaczej. Z nóg lecę.

Myślimy tylko o przyszłości dzieci. Bożenka ma jedenaście. Błażej dopiero sześć lat. Moi rodzice, też robotnicy „Marchlewskiego", harowali ciężko na trzy zmiany, wszystko dla nas, dla dzieci, żebyśmy szkoły pokończyli. Marzyli, abym została inżynierem w ich fabryce. W domu się nie przelewało. W szkole zazdrościłam koleżankom ciuchów, bułki z wędliną na drugie śniadanie. Ja, najczęściej ukradkiem w kącie, zjadałam chleb ze smalcem. Uczyłam się dobrze, jakże chciałam mieć nowe buty, bluzkę, a nie podzierać po starszym rodzeństwie. Pewnie gdyby nie śmierć matki, później ciężka choroba ojca, ukończyłabym studia. Dziś jestem tkaczką, tak samo jak oni, choć wykształcenie mam średnie. Przez wiele lat pracowałam w biurze, od sześciu lat na produkcji, po prostu więcej zarabiam.

Mąż też technik włókiennik, cały czas pracuje jako umysłowy. Ma kłopoty z oskrzelami. Co roku powinien przynajmniej miesiąc posiedzieć w sanatorium, ale cieszymy się, jak uda mu się wyjechać raz na trzy, cztery lata. Ostatnio chorował na wirusowe zapalenie wątroby. Ile to pochłonęło pieniędzy. O zagraniczne leki musiałam się starać sama. Szpital nie miał. Potem przyszła dieta. Skąd zdobyć odpowiednie produkty, pieniądze? Ile się nagłówkowałam, zapożyczyłam. Dobrze, że teściowie trochę pomogli. Jakoś z długów wyleźliśmy. Na książeczkach nie mamy żadnych zapasów gotówki.

Przez lata pracy dorobiliśmy się raptem dwupokojowego mieszkania w blokach Naczekaliśmy się niemało. W tej izbie przy ul. Ogrodowej, co przeszła na mnie po rodzicach, z ubikacją w podwórzu i wodą na korytarzu, trudno było wytrzymać. Nowe mieszkanie dostaliśmy jak chodziłam w ciąży z Błażejem. W spółdzielni powiedzieli, jak dopłacimy, otrzymamy M-4. Nie było z czego. Meble braliśmy na raty. Teraz żałuję, mogliśmy się zapożyczyć jeszcze bardziej i. byłby pokój dla Bożenki, z niej prawie dorosła panna. Planowaliśmy, że za kilka lat dokonamy zamiany. Niestety, wszystko wzięło w łeb. Z trudem wiążemy koniec z końcem. Z mężem podzieramy stare rzeczy. Ceruję, sztukuję. Jakoś się chodzi, ale co będzie za rok, dwa?

Mieszkanie państwa Nowaków na Dąbrowie, niewielkie, 38 metrów kwadratowych, bez balkonu, skromnie urządzone. W większym pokoju: stół na wysoki połysk, przykryty serwetą robioną na szydełku. Kryształowy wazon z kwiatami, cztery krzesła w pokrowcach, wersalka, niski kredens, oszklona szafka, w niej jakiś serwis, drobiazgi. Na stoliku w rogu telewizor, radio, w kącie lampa z pulpitem. W drugim pokoju segment i wersalka, więcej się nie zmieści. Podłogi przykryte sznurkowymi dywanami. W niewielkiej kuchence jedna osoba porusza się z trudem. Standardowe wyposażenie. Łazienka też bez kafelków, zwyczajna. Stoi w niej stara pralka, chyba jeszcze „Frania".

— Jak to było z podwyżką czynszu? Miano podnieść tylko za ciepłą wodę i centralne. Ale nasza spółdzielnia „Zarzew" podniosła najpierw czynsz, a od lutego 1982 dodatkowo za ciepłą wodę i centralne ogrzewanie. Widać rządzi się własnymi prawami. Płacimy 630 złotych miesięcznie. Pisałam do prezesa, ale nikt nie odpowiedział. Teraz szykuje się nowa, trzyetapowa podwyżka czynszu, która ma zakończyć się dopiero w 1985 roku.

Zarabiamy z mężem około osiemnastu tysięcy, razem z rekompensatami. Ani myślę wyliczać na co wydaję. Tyle razy robili takie rachunki w telewizji. Zeszytu wydatków też nie prowadzę, bzdura. Wymyślili jakieś koszyki. Ja wiem jedno — mój zawsze jest pusty.

Mówi się, że za dużo dyskutujemy w pracy. U nas w zakładzie płacą nie tylko od ilości, ale i jakości. Nie ma czasu na objianie. Muszę zarobić! Pracuję uczciwie, właściwie od pokoleń, babka, dziadek, rodzice — czterdzieści lat, tu, w tym zakładzie!

Nie ma co się dziwić, że młodzi do pracy się nie garną. Widzieli jak rodzice harują, męczą się. Sami ich nauczyliśmy, że nasz trud na wiele się nie opłacił. Dużo poszło na marne. Oni chcą inaczej, łatwiej, może mądrzej?

Pani Nowakowa stawia na stolę herbatę.

Z łazienki dochodzą odgłosy stukania. Nowakowa wyjaśnia:

— To mój mąż robi półkę do kuchni. Tak ciasno, że muszę z potrzebnymi drobiazgami już na ściany wchodzić.

Bożenka przyprowadziła Błażeja z przedszkola. Malec opowiada:

— Krzysiek mnie podrapał, ale potem stał w kącie. Na obiad była marchewka, kotlet mielony. Na podwieczorek bułka z szynką.

— Chwała Bogu — **mówi pani Nowakowa** — że choć tam dziecko zje jak powinno. Ja w jego wieku szynkę jadałam tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Dobrze, że zniesiono reglamentację na tłuszcze, to chleba z masłem nie zabraknie i ziemniaki będą zawsze kraszone. Lodówka nam się zepsuła, naprawić jej nie można, kupić nowej też, co robić? Przecież jest niezbędna, jak w każdej rodzinie. To wcale nie przedmiot zbytku, luksusu, tak samo jak pralka. Gdzieżbym dziś miała czas i siłę stanąć przy balii. Powiem panu prawdę, nie dojadam, miesięcznie sprzedaję jedną kartkę mięsną. Pieniędzy nie starcza na realizację. Pewnie, że są tacy co mają dość, ale w moim środowisku wielu gospodarzy się podobnie jak ja. Staruszka z dołu również sprzedaje kartki na mięso. Sąsiadka obok, nauczycielka zawodówki, ciągnie półtora etatu, mąż — mistrz w zakładzie produkcyjnym, dwoje dorosłych dzieciaków uczy się. Wczoraj mówiła mi, że musi wziąć dodatkowe szycie, bo z pieniędzmi u niej krucho. Koleżanki z pracy również kombinują. Najszczęśliwsze te, co rodzinę mają na wsi, zwłaszcza blisko. Moja przyjaciółka co tydzień odwiedza teściową. Jaj, śmietany, warzyw przywiezie. Byłam z nią zeszłej soboty. To ludzie niebogaci. Ziemi mają mało, ale pięć świń hodują, krowę, trochę drobiu, królików. Chałupa prawie się wali. Meble tylko te najpotrzebniejsze, cara Mikołaja pewnie pamiętają.

Z ciężkiej, uczciwej pracy nie wierzę, że można się dorobić willi, samochodu. Dlaczego ja na to nie zapracowałam, ani moje koleżanki, ani miliony podobnych nam ludzi? Są i byli tacy, co ich kieszenie wypychają nasze pieniądze. A choćby spekulanci, których się namnożyło ostatnimi czasy, wszystkie towary wykupują.

Pod fabryczną bramą znowu dołączam do Nowakowej. Dziś pracowała na pierwszą zmianę. Razem z koleżanką pędzą do kolejki. Do przystanku dochodzimy razem z innymi. Ale kiedy się dowiedziały, że jestem z prasy, odsunęły się. Koleżanka Nowakowej — Krystyna — jednak została.

Ma 36 lat, szesnastoletniego syna wychowuje sama. Mieszka daleko, na Retkini. Aby zdążyć do pracy na 5.30, wstaje przed czwartą. Z trudem wiąże koniec z końcem. Dawniej brała pożyczkę, aby kupić meble, dywan. Teraz wzięła też, musi ubrać syna i jeżeli starczy, kupi coś dla siebie. Z pensji nie ma mowy. Po zapłaceniu czynszu, światła, reszta idzie na życie.

— Pod koniec każdej zmiany kilometry mamy w nogach, to się czuje — mówi. — A mimo to „łapiemy" nadróbki w wolne soboty. Dniówka jest dwa i pół raza większa, niż w zwykły dzień. Ponad tysiąc złotych piechotą nie chodzi. Chociaż uważam, że tutaj warunki pracy są tak ciężkie, że powinnyśmy na życie zarabiać bez „nadróbek". A przede wszystkim chcemy spokoju. Niepewność jest bardziej dokuczliwa, niż troski dnia codziennego. Ale nie spokój za wszelką cenę. Chcemy mieć gwarancję, że nasze dzieci żyć będą dostatniej.

Ale o czym tu mówić! Zniekształci pan moje słowa, po waszemu. Koleżanki będą mnie palcami wytykały!

W NSZZ przy ZPB im. J. Marchlewskiego powiedzieli mi:

— Mimo, że w nowych związkach mamy już jedną trzecią załogi, ludzie nadal są nieufni. Aby ich przekonać, trzeba wielkiej rzetelności — wiemy o tym. A przecież przyszli do nas ci sami, co byli w „Solidarności". Teraz w nowych związkach jest znacznie mniej — głównie robotnicy, bardzo mało kierownictwa, dozoru technicznego.

Przewodniczący Ryszard Chudzik był robotnikiem, ma za sobą jedenaście lat pracy, zaczynał zwyczajnie od transportu. Wiceprzewodniczący — Karol Lisiński — brygadzista, od trzydziestu lat jest w zakładzie. Funkcje w związkach pełni społecznie. Sekretarz, Jadwiga Wołoszyńska, pracownik umysłowy z wydziału tkalni, kiedyś była mężem zaufania, na stanowisko w związkach została wybrana prawie jednogłośnie. Znają dobrze problemy załogi. Niczego nie starają się ukryć.

— Dlaczego nic się nie robi, aby zabezpieczyć ludzi przed hałasem? Na hali produkcyjnej stoi np. 500 krosien. Kilka startujących odrzutowców nie robi większego hałasu od nich. Kiedyś górnicy zwiedzali tkalnię. Wyszli ogłuszeni kompletnie, stwierdzili, że już wolą pracować pod ziemią...

Opieka lekarska jest gorzej niż zła. Kobieca załoga, a jest jej blisko 90 procent, nie ma ginekologa! W oddziale pracy chronionej, gdzie zatrudniane są ciężarne, nie było żadnego personelu medycznego. Dopiero niedawno zwerbowaliśmy pielęgniarkę, i to my, związek, nie ZOZ Przemysłowy ani Wydział Zdrowia, który pozostał do końca głuchy na nasze prośby.

Zarobki w zakładzie, mimo trudnych warunków pracy, też nie są najlepsze. Prawdą jest, że włókniarzom, tak samo jak pracownikom wielu innych zawodów, brakuje pieniędzy. Nic też dziwnego, że dobrowolnie garną się do „nadróbek". Na niektórych oddziałach „Marchlewskiego" robione są grafiki, etc... A jaka jest wydajność w wolne soboty! Bardzo wysoka! Aż dziwne, że tak można pracować! Przecież nic się nie zmienia, ani surowiec, ani maszyny... Wniosek jest jeden: za dobrą zapłatę dobra robota!

— Wiemy, że jesteśmy po to, aby ludziom służyć — **powiedział wiceprzewodniczący, Karol Lisiński.** — Dlatego też, gdy przychodzi do nas pracownik, nie pytamy, czy jest to członek związku — ważna jest jego sprawa.

Nie ma fałszu w tym, że na miejsca w sanatoriach nasi ludzie czekają długo, bywa — po kilka lat. O skierowaniach decyduje komisja socjalna z udziałem lekarza. Jasne, że dla wszystkich nie starcza. Ale do sanatorium nikt nie chce jeździć w styczniu, lutym, marcu — wszyscy latem!

Wczasy zapewniamy dla 80 procent załogi, każdy chce tylko do Ustki, nad morze i to jedynie w środku lata. Do Spały, gdzie mamy ładny ośrodek, trzeba wręcz błagać, aby ktoś zgodził się jechać. Las, wspaniałe powietrze, dobre warunki zakwaterowania nie są żadną zachętą.

EDWARD BRYL

OD REDAKCJI: Niełatwo żyje się ludziom pracy. Widać to w zaprezentowanym powyżej monologu Nowakowej w relacji Edwarda Bryla. Nowakowa jest postacią autentyczną, pracuje w ZPB im. J. Marchlewskiego. Przedstawione przez nią sprawy nie są wydumane, z podobnymi kłopotami boryka się w Polsce wielu ludzi.

Nie można jednak poprzestać na rejestracji faktów, na wylaniu żalów. Ze stwierdzenia, że żyje się nam trudno nic nie wynika poza potwierdzeniem i tak znanego faktu. Trzeba zatem dążyć do zmiany tego stanu rzeczy. Leży to wyłącznie w naszej mocy. Nikt za nas tego nie zrobi. Nikt nam nie da na dobre życie, jeśli sami na nie nie zarobimy. Nie indywidualnie, ale zbiorowo, nie tylko Nowakowa, ale wszyscy Nowakowie, Kowalscy, Malinowscy i cała reszta. Poprawa warunków naszego życia jest w naszych rękach i nie jest to żaden frazes.

Foto: Mirosław Zajdler

Język nadziei i wątpliwości

Dokończenie ze str. 1

to po prostu uznaję doniosłość sprawy i uważam, że naprawdę warto wiele jej poświęcić. Poza tym daje mi to dużo przyjemności. Właśnie dzięki esperanto mogłem odwiedzić wiele krajów, nawiązać szereg interesujących kontaktów i znajomości z ludźmi, których prawdopodobnie nigdy bym nie poznał, gdyby nie esperanto. Więc: możliwość szerszego, pełniejszego spojrzenia na świat.

— A jak się to dla pana zaczęło?

— To był przypadek. W czasie moich studiów na Politechnice Wrocławskiej zauważyłem kiedyś afisz, że organizowany jest kurs tego języka, a ponieważ interesowałem się różnymi nowinkami — bo wtedy, w 1955 roku nie tylko dla mnie była to nowinka — zapisałem się na ten kurs.

— Z jakim nastawieniem?

— Potraktowałem to jako ciekawostkę. Dopiero na kursie dowiedziałem się, czym jest ruch esperancki, jakie ma cele i zadania. No, a potem powoli wciągałem się w to wszystko. Ponieważ działałem też w harcerstwie, próbowałem nawet przeszczepić esperanto na ten grunt. Z czasem koleżanki i koledzy powierzyli mi jedną, drugą, trzecią funkcję... Można chyba powiedzieć, że był to typowy rozwój działacza każdej organizacji.

— Uczył się pan też na pewno innych języków obcych. Czy pana emocjonalny stosunek do nich różnił się od stosunku do esperanto. Na czym też różnice polegały?

— Przede wszystkim na tym, że opanowanie innych języków narodowych wymaga wielokrotnie większej pracy niż nauczenie się esperanto. I na początku to było dla mnie najważniejsze. Pamiętam, że już po trzech miesiącach nauki próbowałem — co prawda z dużymi obawami — dyskutować w esperanto z kolegami. Dało mi to wielką satysfakcję, zwłaszcza, iż zdawałem sobie sprawę, że w przypadku żadnego innego języka obcego nie byłoby to możliwe. Później poznałem też inne zalety.

— Powiedział pan na początku, że ruch esperancki może znacznie ułatwić bezpośrednie kontakty między ludźmi różnych narodowości. Dodajmy, że im lepiej będziemy się znać, tym większą mamy szansę na wzajemne zrozumienie, a co za tym idzie — już w obrębie większych zbiorowości — na wypracowanie lepszych niż dotychczas form współistnienia na naszym globie. To piękna i głęboko humanistyczna idea. Ale jak w takim razie wytłumaczyć fakt, że choć ruch esperancki powstał już prawie sto lat temu i niemal od razu dotarł do tak wielu krajów, skupia dziś stosunkowo mało ludzi? Skąd ta dysproporcja między pięknem idei a jej oddziaływaniem w życiu codziennym?

— Mówiąc o tym, trzeba wziąć pod uwagę, że w czasie tych prawie stu lat było kilka okresów bardzo nie sprzyjających rozwojowi naszego ruchu, kiedy to doszło nawet do zduszenia wielu jego ognisk. Tak było na przykład w czasie pierwszej i — w jeszcze większym stopniu — w czasie drugiej wojny światowej. Idea esperanta była zasadniczo sprzeczna z ideologią wszystkich państw totalitarnych. Wiadomo przecież, że reżim hitlerowski, czy inne reżimy faszystowskie fizycznie niszczyły zwolenników esperanta. I to właśnie doprowadziło do zahamowania, a nawet — cofnięcia się w rozwoju całego ruchu.

Po wojnie, w okresie tzw. kultu jednostki w ZSRR esperanto też nie było mile widziane — u nas i w innych krajach socjalistycznych. Rozwiązano wówczas niektóre oddziały związku, zaś pozostałe trwały w stanie szczątkowym aż do momentu, kiedy znów można było swobodnie działać. Biorąc to wszystko pod uwagę — nie jest chyba aż tak źle.

Oczywiście nawiązujemy do wcześniejszych tradycji, ale jeżeli chodzi o kraje Europy Wschodniej, to w latach 50 musieliśmy ruch esperancki budować niemal od samych podstaw. Mimo to, efekty mamy chyba niezłe. Obecnie mamy w Polsce zarejestrowanych ponad 8 tysięcy członków, a wiadomo, że oprócz tego jest bardzo dużo esperantystów nie zrzeszonych.

Na Węgrzech na przykład ruch esperancki jest bardzo prężny i popierany przez władze. Jest to wynikiem nie tylko pewnej specyfiki tego kraju, ale i tradycji. Otóż okazuje się, że powstanie Węgierskiej Republiki Rad w 1918 roku związane było w pewnym stopniu z ruchem esperanckim. Przykładem wagi, jaką władze węgierskie przywiązują do rozwoju ruchu może być chociażby fakt, że biuro do spraw wydawniczych Światowego Związku Esperantystów powstało właśnie w Budapeszcie. W wielu węgierskich szkołach młodzież uczy się tego języka, a na uniwersytecie budapeszteńskim istnieje nawet katedra esperanta. Żaden z pozostałych krajów socjalistycznych nie może poszczycić się takim dorobkiem.

Poza tym warto też zwrócić uwagę na popularność, jaką zdobywa sobie esperanto w krajach Trzeciego Świata. Zaskoczeniem była na przykład eksplozja tego języka w Iranie na parę lat przed obaleniem szacha. Coraz większe zainteresowanie esperantem notujemy w Afryce, a od niedawna — także w Chinach, gdzie podobno ruch esperancki staje się masowy.

— Jak więc określiłby pan ostatnie lata?

— Jako okres znacznego rozwoju naszego ruchu i to na całym świecie. Atmosfera ku temu jest wyraźnie sprzyjająca. Należy też dodać, że mniej więcej 10 lat temu sformułowana została jakby nowa strategia ruchu esperanckiego i dokonał się wyraźny przełom w metodach działania. Wiąże się to z wpływem, jaki we władzach światowej organizacji esperantystów uzyskała prężna grupa intelektualistów z amerykańskim naukowcem, profesorem Humphreyem Tonkinem na czele. Otóż grupa ta postawiła na bardziej utylitarne znaczenie esperanta, niż czyniono to wcześniej. Po prostu wskazano, że język ten musi na co dzień służyć ludziom w różnych życiowych sytuacjach. Zaowocowało to między innymi nawiązaniem bliższych kontaktów z UNESCO i całą ONZ, a także — różnymi międzynarodowymi organizacjami technicznymi, naukowymi, turystycznymi, itd. Podjęto przy tym pewne działania, zmierzające w przyszłości do praktycznego wykorzystania esperanta w bieżącej działalności tych organizacji.

— Skoro wymienił już pan ONZ, to warto przypomnieć, że postulat wprowadzenia esperanta jako języka obrad na forum Narodów Zjednoczonych jest już bardzo stary. Argumentuje się go między innymi tym, że znaczną część funduszy, jakimi dysponuje ONZ, przeznaczać trzeba na tłumaczenie. I rzeczywiście, są to olbrzymie sumy.

— Chyba 5 lat temu ambasador Australii przy ONZ zgłosił oficjalnie konkretny już projekt etapowego wprowadzenia esperanta jako języka obrad. Niestety, jak do tej pory nie słyszałem, by projekt ten poddany został otwartej dyskusji.

— Sporo mówiono również o potrzebie wykorzystania jakiegoś języka międzynarodowego w światowym obiegu informacji naukowej...

— Tak, i w tej dziedzinie są już pewne próby. Widziałem na przykład streszczenia w esperanto wielu rozpraw naukowych.

— No tak, tylko że wyjście tu poza etap prób musiałoby wiązać się z wprowadzeniem całego systemu nauczania tego języka — i to w szkołach, na wyższych uczelniach, a nie na okazjonalnie organizowanych kursach, jak to się dzieje obecnie w większości przypadków.

— Usiłujemy do tego doprowadzić, chociaż nasze możliwości nie są na razie zbyt wielkie. Jeżeli chodzi o nasz kraj, to dużą przeszkodą dla nas jest po prostu brak nauczycieli. W Łodzi mamy kilkanaście osób uprawnionych do nauczania esperanta. Na potrzeby naszych kursów jest to wystarczająco dużo, ale gdyby chcieć wprowadzić esperanto do szkół — stanowczo za mało.

— A jakie stanowisko zajmują w tej sprawie władze oświatowe?

— Jednoznacznie pozytywne. Został już wydany program nauczania esperanta w szkołach i wszędzie oficjalnie esperanto może być nauczane jako dodatkowy, nadobowiązkowy przedmiot.

— Esperanto ma chyba tylu zwolenników, co przeciwników....

— ...to raczej normalne...

— ...i nie jest ani pierwszą, ani — tym bardziej ostatnią próbą stworzenia języka międzynarodowego.

— Ale jest, powiedziałbym, najbardziej udaną.

— Interesuje mnie pana stosunek właśnie do tych innych prób. Co pan na przykład sądzi o propozycji doktora Ryszarda Danki z Uniwersytetu Łódzkiego, by funkcję języka międzynarodowego pełnił prajęzyk indoeuropejski?

— Cóż, prób takich było już około 400. Oczywiście pierwsze były zupełnie nieudane, ale już chciażby volapük zyskał przecież trochę zwolenników. Nie zdał jednak egzaminu, gdyż słabo opracowany był przede wszystkim fonetycznie. Zamenhof, który też poznał volapük, starał się uniknąć takich potknięć i stworzył język, który jest już bardziej podobny do języków naturalnych. Wtedy wielu dawnych volapükistów natychmiast przeszło na esperanto.

Później były próby udoskonalenia esperanto w postaci języka ido. W pewnym zakresie funkcjonuje też interlingwa i okcidental, ale żaden z nich nie ma tej siły nośnej, jaką ma esperanto. Jeżeli chodzi o prajęzyk indoeuropejski, o którym pan wspomniał, to moim zdaniem sprawa jest nie do przyjęcia ze względu na to, iż jest zbyt skomplikowany. Ale jeżeli kiedyś powstałby język jeszcze łatwiejszy, a przy tym bardziej naturalny, to chyba stałbym się jego zwolennikiem.

— A zatem główną zaletę języka międzynarodowego widzi pan w jego łatwości?

— Tak, gdyż musi to być język dostępny jak największej ilości ludzi. Esperanta przeciętnie zdolny człowiek może nauczyć się całkiem dobrze w ciągu roku.

— Wierzę. Tylko, że prostota i łatwość nauczenia się języka to chyba jeszcze nie wszystko. Pozostaje na przykład problem twórczości literackiej. Sądzę, że języki naturalne, mimo iż są z reguły bardziej skomplikowane od esperanta, mają jednak pewien dodatkowy walor, którego temu brak. Kryje się za tym między innymi ich historia, fakt, że rozwijane były przez konkretną społeczność w takich, a nie innych warunkach...

— Myślę, że to sprawa dyskusyjną. Często zresztą spotykamy się z opinią, że w esperancie nie można tworzyć pięknych i wartościowych dzieł literackich. A to chyba nie jest prawdą, ponieważ stale ukazują się oryginalne dzieła esperanckie. Oczywiście jedne są gorsze, drugie — lepsze, ale są też i takie, które zyskały bardzo wysokie oceny u wielu językoznawców.

— Powiedzmy sobie jednak szczerze: nie ma dotychczas ani jednego oryginalnego utworu literackiego w języku esperanto, który zyskałby światowy rozgłos.

— Rzeczywiście. Ale wynika to chyba po części z tego, że tłumaczy się na ogół z języków narodowych na esperanto, a nie odwrotnie. Tymczasem znamy, powiedzmy, interesujące poezje Angielki Marjory Boulton, Islandczyka Baldura Ragnarssona, czy Węgrów: Kalmana Kalocsaya, Endre Ady'ego i wielu innych twórców, których utwory należą już do klasyki esperanckiej. I warto by się zająć wreszcie przyswojeniem tych dzieł językowi polskiemu.

— Nie są one jednak, zdaje się, zbyt liczne...

— Biorąc pod uwagę liczbę ludzi posługujących się danym językiem do ilości powstających w tym języku dzieł literackich, esperanto nie jest wcale gorsze od innych języków.

— Należałoby więc sobie życzyć, by polski czytelnik mógł otrzymać choćby skromną próbkę oryginalnej twórczości esperanckiej. Może nastąpi to przy okazji setnej rocznicy powstania esperanta, która przypada za 4 lata. Tymczasem w tym roku obchodzimy 75-lecie ruchu esperanckiego w Łodzi. Jak w tym jubileuszowym roku wygląda sytuacja na naszym łódzkim podwórku?

— Zdaje mi się, że robimy dużo, ale przez cały czas czuję, że robimy za mało. Ostatnio staramy się z naszą działalnością wychodzić wprost do społeczeństwa — między innymi poprzez organizowanie ludziom wyjazdów zagranicznych, w czasie których uczymy się języka, oraz poprzez umożliwienie im kontaktów z esperantystami z innych krajów. I z tego, co widzimy, daje to pewne efekty. Nie chcemy zamykać się tylko w naszym środowisku. Jako wojewódzki oddział PZE chcemy przede wszystkim pomagać ludziom, bo takie jest nasze zadanie. Na ile nam się to udaje, niech ocenią to inni.

— Myślę, że okazją do takiej oceny będzie zbliżający się właśnie XXI Kongres PZE, który odbędzie się w Łodzi. Jak przedstawia się jego program?

— Tegoroczny ogólnopolski kongres esperantystów będzie raczej skromny. Chcemy na nim pokazać przede wszystkim to, że esperanto jest dorobkiem kultury polskiej. W czasie trzech dni jego trwania przewidujemy między innymi otwarcie dużej wystawy w Muzeum Historii Miasta Łodzi, na której chcemy pokazać trochę działalności światowego ruchu esperanckiego oraz najważniejsze wydarzenia z 75-letniej historii esperanta w Łodzi. Oczywiście zapraszamy do jej obejrzenia wszystkich zainteresowanych.

Następnym punktem programu będzie wznowienie po 20 latach sztuki „Kataki — znaczy wróg" w języku esperanto w Teatrze Powszechnym, gdzie odbędzie się również uroczyste otwarcie kongresu. Ciekawą imprezą będzie też Ogólnopolski Przegląd Esperanckiego Ruchu Artystycznego — czwarty już z kolei, na którym chcemy pokazać wszystko to, co dzieje się w krajowym esperanckim ruchu artystycznym. Oprócz tego odbędą się normalne spotkania robocze. Złożymy również kwiaty na grobach zmarłych łódzkich pionierów ruchu esperanckiego. Szczegółowy program przedstawiamy w plakatach, które już pokazały się w mieście.

— Z tego co wiem, przewidywano również odsłonięcie tablicy pamiątkowej poświęconej Ludwikowi Zamenhofowi, zdjętej parę lat temu z nie istniejącego już budynku przy skrzyżowaniu ulic Piotrkowskiej i właśnie Zamenhofa...

— Tak, z tym, że mamy tu duży kłopot. Jak wszyscy łodzianie zapewne dobrze wiedzą, na miejscu wyburzonych domków przy ulicy Zamenhofa budowany jest duży blok, którego parter przeznaczony ma być na sklepy i pomieszczenia dla punktów usługowych. Od ponad pół roku zabiegamy o umieszczenie na tym właśnie bloku historycznych tablic esperanckich: jednej z 1930, a drugiej z 1964, oraz trzeciej — z okazji 75-lecia esperanta w naszym mieście.

Początkowo wydawało się, że sprawa będzie prosta, potem jednak zaczęto przedstawiać różne koncepcje. Ostatnio mówi się, by cały narożnik bloku przeznaczyć na płaskorzeźbę, czy jakiś inny element plastyczny związany z esperantem i osobą Zamenhofa. Oczywiście cieszy nas ta propozycja, ale na tablice nie będzie tam już miejsca. Podobno nie pasują one w tym miejscu projektantowi budynku. Powstała więc koncepcja, by tablice znalazły się wewnątrz jednego z pomieszczeń na parterze. I to właśnie niepokoi wielu naszych członków.

Przecież tablice te na trwałe związane są już z naszym miastem, czego najlepszym dowodem fakt, iż o pierwszej z nich wspomina już encyklopedia esperancka z 1933 roku. Dlatego też mamy nadzieję, że sprawa ta zostanie rozwiązana ku zadowoleniu wszystkich. Oczywiście nie jest już możliwe odsłonięcie tablic w czasie trwania kongresu, co początkowo planowaliśmy, chociażby z powodu opóźnienia prac budowlanych.

— A może o tym, gdzie mają znaleźć się esperanckie tablice pamiątkowe, wypowiedzą się mieszkańcy Łodzi? Nie można przecież lekceważyć i ich opinii.

— Naturalnie.

— Dziękuję bardzo za rozmowę.

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Julian Tuwim

Lokomotywa

Stoi na stacji lokomotywa,
Ciężka, ogromna i pot z niej spływa:
Tłusta oliwa.
Stoi i sapie, dyszy i dmucha
Żar z rozgrzanego jej brzucha bucha:
Buch jak gorąco!
Uch jak gorąco!
Puff jak gorąco!
Uff jak gorąco!
Już ledwo sapie, już ledwo zipie,
A jeszcze palacz węgiel w nią sypie.
Wagony do niej podoczepiali
Wielkie i ciężkie, z żelaza, stali,
I pełno ludzi w każdym wagonie,
A w jednym krowy, a w drugim konie,
A w trzecim siedzą same grubasy,
Siedzą i jedzą tłuste kiełbasy,
A czwarty wagon pełen bananów,
A w piątym stoi sześć fortepianów,
W szóstym armata — o! jaka wielka!
Pod każdym kołem żelazna belka!
W siódmym dębowe stoły i szafy
W ósmym słoń, niedźwiedź i dwie żyrafy,
W dziewiątym — same tuczone świnie,
W dziesiątym — kufry, paki i skrzynie,
A tych wagonów jest ze czterdzieści,
Sam nie wiem, co się w nich jeszcze mieści.
Lecz choćby przyszło tysiąc atletów
I każdy zjadłby tysiąc kotletów,
I każdy nie wiem jak się wytężał,
To nie udźwigną, taki to ciężar.
Nagle — gwizd!
Nagle — świst!
Para — buch!
Koła — w ruch!
Najpierw powoli, jak żółw ociężale
Ruszyła maszyna po szynach ospale,
Szarpnęła wagony i ciągnie z mozołem,
I kręci się, kręci się koło za kołem,
I biegu przyspiesza, i gna coraz prędzej,
I dudni, i stuka, łomoce, i pędzi.
A dokąd? A dokąd? A dokąd? Na wprost!
Po torze, po torze, po torze przez most
przez góry, przez tunel, przez pola, przez las
I spieszy się, spieszy, by zdążyć na czas,
Do taktu turkoce i puka, i stuka to:
Tak to to, tak to to, tak to to, tak to to.
Gładko tak, lekko tak, toczy się w dal,
Jak gdyby to była piłeczka, nie stal,
Nie ciężka maszyna, zziajana, zdyszana,
Lecz fraszka, igraszka, zabawka blaszana.
A skądże to, jakże to, czemu tak gna?
A co to to, co to to, kto to tak pcha,
Że pędzi, że wali, że bucha buch, buch?
To para gorąca wprawiła to w ruch
To para, co z kotła rurami do tłoków,
A tłoki kołami ruszają z dwóch boków
I gnają, i pchają, i pociąg się toczy,
Bo para te tłoki wciąż tłoczy i tłoczy,
I koła turkocą, i puka, i stuka to:
Tak to to, tak to to, tak to to, tak to to!...

Lokomotivo

Staras sur reloj lokomotivo,
Fluas la svito sur la deklivo
Grasa olivo.
Spiras kaj ronkas, staras senmova,
Ardon de l'granda ventro disblovas:
Oh, la varmego!
Uh, la varmego!
Ah, la varmego!
Uf, la varmego!
Almenau vivas, almenau spiras,
Sed ciam novan karbon entiras.
Gin sekvas vagonoj el la metalo
Grandaj kaj pezaj, el fero, stalo,
En ci vagonbj bruo kaj movo,
Ceval en unu, en dua bovo,
En tria nure dikuloj sidas,
Mangas kolbasojn kaj gaje ridas.
En kvara estas multaj bananoj,
En kvina staras fortepianoj,
Ho, kiel granda, granda kanono!
Staras en tiu sesa vagono!
Sepa enhavas meblojn. En oka
Urs' elefanto, girafoj, foko.
En naua estas dikaj porketoj,
En deka kestoj, kofroj, paketoj,
Vagonojn kvardek masino ligas.
Demando — kion ili lokigas?
Sed kvankam venus ec mil atletoj
Kaj ciu mangus ec mil kotletojn
Kaj ciu multe tiri gin penus,
Ili tutcerte gin ne ektrenus.
Nun ja — Puf!
Nun ja — Bum!
Vapor' — Uf!
Radoj — Grum!
Kiel testudo la trajno sin movas.
Sur reloj dormeme veturi gi provas,
Movigas masino kaj tiras, kaj penas,
Ruligas la radojn, vagonojn gi trenas
Kaj kuras rapide kaj mugas, kaj fumas,
Kaj hurlas obtuze kaj frapas, kaj zumas,
Do kien? Do kien? Tra l'pont',
Sur reloj, sur reloj, sur reloj ce l'mont,
Laukampoj, arbaroj, malluma tunel',
Gi kuras rapide, al fora la cel',
Por veni gusttempe gi kuras, kaj fakte
Gi frapas kaj grincas lautakte, lautakte...
Mole, facile, ruligas gi for,
Ludpilkon similas masin' kaj vapor',
Ja peza, bruega ci monstro el stalo.
Similas al eta ludil' el metalo.
Per puso kaj skuo kauzigas ci port',
Cu pelas au tiras gin iu per fort'?
Gi grancas kaj frapas kaj kuras for, for!
Kaj spiras, kaj siblas, kaj fajfas vapor'!
Vaporo varmega masinon ci movas
Kaj radoj veturi ruligi sin povas
Kaj radoj turnigas kaj grincas kaj kuras,
Vapor' radoj pusas kaj trajno veturas.
Gi spiras kaj pelas gusttempe ekzakte,
Lautakte, lautakte, lautakte, lautakte...

Tłum.: ALEKSANDRA IWANOW

Aleksander Rymkiewicz (1913—1983)

Dla wielu poetów etykietka, formuła krytyczna, „przezwanie" jakie im przypisano, funkcjonują zarazem jako szczególne fatum oraz przekorne wyzwanie. Gotowi są oni zaakceptować krytycznoliteracką etykietkę, ponieważ często określa ona znaczące rejony kulturowe utrwalone w świadomości odbiorczej, ale jednocześnie chcą się z niej „wywalczyć", ponieważ poeta istnieje poprzez „niepodobieństwa" poza grupami, szkołami oraz ponadindywidualnymi stylistykami. Do poetów takich należał Aleksander Rymkiewicz. Zanim ukuto termin „Żagaryści" (od nazwy pisma grupującego poetów takich jak Miłosz, Zagórski, A. Rymkiewicz, T. Bujnicki, J. Putrament), „druga awangarda" oraz pojęcie „katastrofistów", określeniem funkcjonującym w krytyce lat 30-tych było pojęcie „poezji czystej" obejmujące swym zakresem obok lublinianina J. Czechowicza także wilnianina A. Rymkiewicza. Pojęcie owo wprowadził w literacki obieg znany krytyk L. Fryde. Ponieważ określenie to przechodziło znamienne ewolucje, dziś częściej się mówi o katastrofizmie lub neosymbolizmie.

Aleksander Rymkiewicz debiutował w 1933 r. w wileńskim „Słowie". Za właściwy debiut, tudzież, literackie wydarzenie tamtych lat uznano jednak powszechnie „Tropiciela". W tomie tym zawarte były w sposób skondensowany „punkty wspólne" poetyki awangardystów wileńskich: wątki eschatologiczne, niepokój nie tyle „jaskółczy", ile wypływający z wyraźnego rozpoznania nadciągającej katastrofy, nuty radykalizmu społecznego, ale także (przy całej obrazowo-symbolicznej materii poetyckiej) poświadczone konkretnie związki z naturą, „zanurzenie się w przyrodzie", jak pisał po latach Czesław Miłosz (por. *Punkt widzenia czyli o tzw. drugiej awangardzie*, Oficyna Poetów 1964 r. nr 4). Cytuję pełniej Miłosza, gdyż w równej mierze mówi dalej o całej grupie „Żagarów" oraz debiucie Aleksandra Rymkiewicza: „Przypuszczalnie, jeśli wolno oprzeć się na własnych doświadczeniach, ważyło tu i niespokojne dzieciństwo (wędrówki lat wojny 1914—1920) i zanurzenie się w przyrodzie ... Wszystko to w spotkaniu z gazetami i ekonomią polityczną, przy pominięciu mnóstwa ogniw pośrednich. Nawet tytuł poematu Rymkiewicza „Tropiciel" wskazuje na Coopera i utwór da się określić jako książki podróżnicze plus poezja romantyczna, plus śnieżne krajobrazy Wileńszczyzny widziane okiem zawołanego narciarza".

Owa formuła Miłosza jest nad wyraz trafna. Wyrażona po wielu latach, kiedy już poetycka młodość „Żagarystów" zamieniła się w owe dojrzałe „niepodobieństwa", pozwala przecież odnaleźć interpretacyjne klucze dla późniejszych tonów stylistycznych pojawiających się w twórczości Aleksandra Rymkiewicza. „Przymierze z ziemią" — jak to nazwał P. Kuncewicz — jest jedną z takich dominant poetyki Autora „Tropiciela". Wyraźna jest ona także w tomie następnym „Potoki" (1938 r.) rozwinięta zaś w twórczości powojennej („Krajobrazy i ludzie" 1956, „Polskie drzewa" 1972, „Dziki powój" 1968 r.)

Związek z Naturą warunkował też drugi motyw charakteryzujący poetycką twórczość A. Rymkiewicza — motyw heroicznego wyzwania rzuconego materialności świata oraz możliwościom fizycznej „kondycji ludzkiej". Obraz odkrywcy, alpinisty, sportowca wpisany jest w znacznej mierze w utwory takie jak „Himalajskie namioty" — 1958 r. czy wcześniejsze wiersze olimpijskie „Niezbrojni zwycięzcy" — 1952 r.. Nie były to jedynie ze strony poety przejawy „kulturowej gry", realizacji poetyckiego „pomysłu" — była to właściwiej literacka transpozycja jego temperamentu — miłośnika sportu i zapalonego myśliwego.

Na prawach swoistego dopełnienia ta aktywistyczna postawa współistnieje w twórczości A. Rymkiewicza z sentymentalnym, a trochę też ironicznym wyznaniem człowieka, który „zakorzeniwszy" się uprzednio w krajobrazach lat młodości nieswojo się czuje w betonowej pułapce współczesnych miast

Nie sposób w tym krótkim szkicu określić wszystkich wątków cechujących poezję A. Rymkiewicza. Pamiętajmy, że jest on autorem kilku świetnych tomów — wierszy adresowanych do najmłodszych czytelników, autorem dramatów historycznych, wieloletnim współpracownikiem Radia, tudzież redaktorem pisma „Radio i Świat" Przypomnijmy też iż Poeta otrzymał wiele nagród literackich i państwowych. M.in. nagrodę za cykl wierszy olimpijskich, nagrodę za twórczość dla dzieci i młodzieży w 1956 r., Nagrodę literacką im. W. Pietrzaka w 1960 r., za najlepszy tom roku uznano na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi w 1969 r. „Dziki powój", w roku bieżącym zaś został laureatem Nagrody Ministra Kultury i Sztuki za całokształt twórczości. Należał też Aleksander Rymkiewicz do najaktywniejszych uczestników Klubu Literackiego „Krąg", był od lat jurorem Ogólnopolskich Festiwalów Poezji w Łodzi oraz Łódzkiej Wiosny Poetyckiej organizowanej przez PAX.

Pamiętam owe Łódzkie Wiosny Poetyckie — posiedzenia Jury, w których i ja miałem zaszczyt kilka razy uczestniczyć. I pamiętam, że kiedy po analizach nadesłanych tekstów, burzliwych zawsze sporach dochodziliśmy już niemal do ustalenia końcowego werdyktu, Pan Aleksander nieoczekiwanie, z młodzieńczym temperamentem wyciągał z opasłych tek „materiałów poetyckich" tekst, na który zwróciliśmy mniejszą uwagę, bronił go skutecznie, a później okazywało się, że jego opinia sprawiała, iż często promocję literacką uzyskiwali początkujący autorzy, z których dziś wielu okazało się być poetami z prawdziwego zdarzenia.

HENRYK RUSZKOWSKI

Pandemonium samookreślenia

W krótce po opublikowaniu tomu prozy*) Artur Sandauer ogłosił w „Polityce" (1983 nr 36) artykuł pt.: „I nie wódź nas...", w którym opowiada dzieje trzykrotnego swego kuszenia przez macki instytucji zwanej Kongresem Walki o Wolność Kultury. Podczas kuszenia pierwszego podpisał był umowę z wydawnictwem „Table Ronde" na książkę pod roboczym tytułem „Byłem żołnierzem Czerwonej Armii". W zamiarze wydawcy tkwiły podteksty — miała to być rzecz w typie pamiętników byłego dyplomaty radzieckiego, Krawczenki, które ukazały się pod wymownym tytułem „Wybrałem wolność". Tytuł, jak wiadomo, zrobił oszałamiającą karierę i funkcjonuje anonimowo do dzisiaj.

Z tej to nie zrealizowanej umowy narodziły się fragmenty prozy, które otrzymały nazwę „Pamiętniki Mieczysława Rosenzweiga" i częściowo ujrzały światło dzienne w 1963 roku, w całości zaś obecnie, po uzupełnieniu przez smakowitą Konferencję nauczycielską".

Artur Sandauer znany jest przede wszystkim jako krytyk literacki i to krytyk kontrowersyjny, w mniejszym lub większym stopniu funkcjonujący w całym powojennym naszym życiu literackim. I jakkolwiek jego krytyczna osobowość i maniera wzbudza zarówno fascynację, jak i opór — to przecież Sandauer-krytyk bez reszty przytłumił Sandauera-tłumacza oraz Saudauera-prozaika, podczas, gdy oryginalna ta proza ze wszech miar zasługuje na uwagę. Można przypuścić, iż prozaikiem potrafił być autor „Śmierci liberała" tylko w określonych warunkach, wywołanych przeżyciem wojennym, okresem wojennej tułaczki i ukrywania się. Istotę metamorfozy w pisarzu oddaje metafora: „Być krytykiem i tłumaczem znaczy właśnie nie mieć domu, pasożytować na cudzym wnętrzu. Stosunek mój do zwykłego, nie przetworzonego przez sztukę życia był dotąd niecierpliwy i odrzucający; pisarz narodził się we mnie dopiero wtedy, kiedy ukryty w ciemności pożerałem wieczorne sceny pożegnalnym wzrokiem" Narodziny owe łączy Sandauer z okolicznościami dojrzewania:

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

„Pełnię dojrzewania osiągają bohaterowie mitów z chwilą zstąpienia do podziemi. Zstąpieniem do kanału rozpoczęła się i moja; dokonała się zaś — wstąpieniem na strych".

Kiedy zachodni wydawca zamawiał u Artura Sandauera książkę liczył — przypomina tenże — na odpowiednie naświetlenie dylematu: być komunistą czy być antykomunistą? Tymczasem, jak się to ciągle jeszcze okazuje, nie ta właśnie opozycja była dla Sandauera najistotniejsza. Problemem, który zdeterminował jego zainteresowania i postawę jest kwestia narodowego i kulturowego s a m o o k r e ś l e n i a, z podobną wyrazistością stawiana w „Pamiętnikach Mieczysława Rosenzweiga", co i w książce powstałej trzydzieści lat później — „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku (Rzecz, którą nie ja powinienem był napisać...)", sprowadzająca się zawsze do tego samego pytania: „Żyd zasymilowany i umieszczony na pograniczu dwu narodowości, którejże z nich ma być wierny?". O ile jednak w szkicach rzecz traktowana jest z całą powagą, o tyle w prozie sprowadza ją autor do absurdu, wzmożonego jeszcze okropnościami wojennych przeżyć.

Postać Mieczysława Rosenzweiga, jak łatwo się domyślić, jest tworem niejako ex nomine rozdwojonym, podejrzliwie się traktującym, przy czym jednak precyzyjnie i bez niedomówień swą sytuację określającym. Taki sposób istnienia powoduje, że Rosenzweig staje się (anty)bohaterem niekończącej się „komedii pogranicza", co w sposób nieunikniony wieść musi do karykatury. Tuszując i rozbudowując jednocześnie swe kompleksy, okazuje się on typowym, choć pokazywanym a rebours, bohaterem psychologii głębinowej.

Liberalnemu humaniście, zachowującemu wbrew okolicznościom wiarę w rozum, przeciwstawiona zostaje zglajchszaltowana masa, groźna, nieobliczalna. Każdy jej uczestnik musi się niejako przypisać, potwierdzić tożsamość, zniwelować cechy dystynktywne. A co ma czynić człowiek pogranicza? Zachować cichą nadzieję, iż prawo do odmienności kiedyś zatryumfuje. Tymczasem, uzależniony od cudzego spojrzenia, znajduje się w sytuacji dwuznacznej: „cokolwiek zrobi plebejusz wśród artystokratycznej socjety — czy podda się jej ceremoniałowi, czy będzie afiszować swą plebejskość — nie uniknie ironicznych pomrugiwań", jest to więc sytuacja w pełni groteskowa, stąd też podstawowym chwytem artystycznym w „Pamiętnikach Mieczysława Rosenzweiga" staje się deformacja. Monolityczność świata uległa rozbiciu. I to nawet nie na przeciwstawne problemy w rodzaju: autentyczność — nieautentyczność, tożsamość — odmienność, masa — jednostka, prześladowca — prześladowany etc. W prozie Artura Sandauera mamy do czynienia z totalnym rozbiciem świata przedstawionego. Prawem paradoksu scala go — też przecież rozbita! — osobowość narratora i bohatera zarazem. Stąd w tak dziwnie scalonym świecie wszystko pozostaje niejednoznaczne, od najbardziej osobistych przeżyć po wydarzenia historyczne, wszystko jest udziwnione, nadrealistyczne. Zasługa to również dwudzielnej kompozycji; autobiograficznym „Zapiskom z martwego miasta" towarzyszy parabiografia, jaką stanowią urywki „Pamiętników Mieczysława Rosenzweiga" — powstaje coś w rodzaju oboczności tego samego życiorysu, te same fakty podawane są w zróżnicowanych tonacjach i przyprawach; następuje wyraźne zgęszczenie opowieści służące jednemu w gruncie rzeczy celowi — natręctwu sprawy samookreślenia. Sprawa ta w twórczości pisarzy pochodzenia żydowskiego manifestuje się wyraźnie i bardzo specyficznie: żyjący od wieków w diasporze naród wybrany właśnie z utrzymywanej głównie nakazami i zakazami religijnymi r ó ż n i c y czerpał pożywkę do przetrwania. Dwa jakby skrzydła owej różnicy to syjonizm i antysemityzm. A pomiędzy nimi rozmaite szczeble asymilacji. Rozważania o sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku Artur Sandauer kończy słowami: „asymilacja okazała się niemożliwa", w prozie zaś nie jest tak zdecydowany: „samookreślenie — rzecz dla ogółu ludzi najprostsza — miało zawsze stanowić dla mnie trudność nie do przezwyciężenia. Wynik bogactwa czy ubóstwa? Permanentnie na rozdrożu, miałem pozostać kimś stale nie zrealizowanym. Moje późniejsze pisarstwo miało mi służyć po to, aby wychylać się poza siebie, eksperymentować na terenie własnej psychiki. Centralnym jego wyrazem miała stać się krytyka. Ona to pozwalała mi wdzierać się w coraz to inne dziedziny, podszywać się pod coraz to inne indywidualności. Głosy rozlegały się (...), afirmując każdy swą odrębną ideologię i swą tożsamość z sobą i nie przeczuwając nawet — co ja czułem już wyraźnie — że największym ograniczeniem dla człowieka jest — być tylko tym, czym jest...".

Artur Sandauer jest racjonalistą zarówno jako krytyk, jak i prozaik: ukształtowała go określona epoka, ukształtowały konkretne nawyki myślowe. I to zdaje się — trwale. Stąd bierze się zapewne z taką ostentacją manifestowana niezmienność, przeciwstawiana mniej lub bardziej istotnym przemianom innych ludzi pióra. Znane jest powiedzenie, że kiedy rozum śpi, budzą się upiory. Ale nawet gdy rozum nie śpi — jak właśnie u Sandauera — demony potrafią się obudzić i szaleć. Demonem jest ów dylemat pogranicza. Jak się okazuje nie do przezwyciężenia — bez względu na to, jak go traktować: poważnie czy groteskowo.

***) Artur Sandauer, „Proza", „Czytelnik", Warszawa 1983, [illegible] nakład 20 320 egz., cena zł 55,—**

Z półki recenzenta

DWA POWSTANIA

Autorka, Halina Krahelska, we wstępie pisze, że poprzez swoją książkę starała się usunąć bodaj niektóre białe plamy w historii ostatniej wojny. Jedną z takich białych plam był udział kobiet we wrześniu 1939 r. i w powstaniu warszawskim w 1944 r.

Książka została pomyślana jako relacje autentycznych uczestniczek owych tragicznych i bohaterskich zmagań. Miały w tamtych czasach niewiele ponad dwadzieścia lat i musiały sprostać niezwykłym i nieznanym przedtem zadaniom. Zatem książka jest nie tylko zapisem wspomnień, ale dokumentem, przyczynkiem do dziejów naszych zmagań z agresorem i okupantem.

Halina Krahelska: „Dwa powstania". KiW 1983 r. Str. 152. Cena 40 zł

DON GOYO

Książka ekwadorskiego pisarza Demetrio Aguilera Malta jest egzotyczną opowieścią o zmaganiach ludności kolorowej z przyrodą i ekspansją białego człowieka. Jest to także opowieść pełna liryzmu, erotyki, magii i folkloru; opowieść o ludziach prostych, szlachetnych i dziecięco naiwnych.

Polski czytelnik miał okazję zapoznać się z twórczością ekwadorskiego pisarza, bowiem Wydawnictwo Literackie wydało w 1975 r. jego książkę „Porwanie generała". Obecna minipowieść „Don Goyo" tę wiedzę uzupełnia.

Przekład: Elżbieta Komarnicka.

Demetrio Aguilera Malta: „Don Goyo". PIW 1983 r. Str. 158. Cena 80 zł.

DOM NAD WODĄ

Przedstawiamy niezwykle interesującą książkę brazylijskiego pisarza Antonia Olinty, w której, jak w barwnej ruchomej mozaice zostały przemieszane wierzenia, obrzędy rytualne, kulty i magie — nieodłączne atrybuty życia plemion afrykańskich. Bowiem powieść opowiada o małej Brazylijce Mariannie, która powraca do ziemi ojczystej, do Afryki, a kiedy dotknie jej stopą, stanie się kobietą i będzie „oczyszczona".

Barwny, gorący, poddany rytmowi muzyki świat Afryki i Brazylii wciąga nas w swą niezwykłość, sugestywną baśniowość i urokliwe piękno.

Antonio Olinto: „Dom nad wodą". Wyd. Lit. 1983 r. Str. 376. Cena 140 zł.

TAJNY FRONT

Ta książka z pewnością wzbudzi szeroki rezonans u odbiorców. Po raz pierwszy przedstawiono bowiem pracę polskiego i radzieckiego współdziałania wywiadowczego w czasie ostatniej wojny. Jest to tym cenniejszy przyczynek do dziejów wspólnych zmagań przeciwko najeźdźcy, że autorowi udało się dotrzeć do nieznanych dotąd źródeł: dokumentów, raportów, archiwów.

Książka jest rzeczowa, zawiera sporo fotografii uczestników tych zmagań, mapki sytuacyjne, fotokopie dokumentów, choć czasem chciałoby się, by autor odszedł od naukowego stylu na rzecz beletrystyki. Przydałoby to jeszcze większej atrakcyjności prezentowanej przez nas książce.

Ryszard Mazarewicz: „Razem na tajnym froncie". MON 1983 r. Str. 338. Cena 150 zł.

ZAPISKI NA KARTELUSZKACH

Rzadko się zdarza, by intymny pamiętnik był tak literacki. Jan Wyka, dziś siedemdziesięciojednoletni mężczyzna miał życie barwne i niezwykłe: działacz KPP, poeta, żołnierz Brygady im. J. Dąbrowskiego w Hiszpanii, uczestnik walk o Francję i Anglię.

„Zapiski na karteluszkach" — to relacja o losach ochotnika-Polaka, który, pragnąc walczyć o „wolność waszą i naszą" wstępuje do tworzących się na Zachodzie Polskich Sił Zbrojnych. Jednocześnie jest to opowieść o życiu emigranta, na którym ciąży piętno „komunisty", co z kolei przysparza mu wielu kłopotów i ustawia w sytuacjach konfliktowych wobec otoczenia takich jak on Polaków-emigrantów.

Jan Wyka: „Zapiski na karteluszkach". Czytelnik 1983. Str. 250. Cena 90 zł.

JAPOŃSKA NORYMBERGA

Otrzymaliśmy wielce ciekawą publikację. Jest to relacja-dokument z procesu toczącego się w Tokio przed Trybunałem dla Dalekiego Wschodu przeciwko japońskim zbrodniarzom wojennym. Przed sądem stanęli członkowie rządu, dowództwa armii i marynarki wojennej. O ile czytelnik dość dobrze orientuje się w sprawach ostatniej wojny toczącej się w Europie, o tyle działania na Dalekim Wschodzie pozostają niejako na drugim planie. Dlatego omawiana przez nas książka stanowi niezwykle interesujące uzupełnienie ogólnej wiedzy o samej wojnie i o zbrodniach popełnianych w czasie jej trwania.

Książka, mimo swojej specyfiki dokumentu, jest napisana żywo i zajmująco, a dobry przekład Teofila Leśko sprawia, że czyta się ją jak sensacyjny kryminał.

Lew Smirnow, Jewgienij Zajcew: „Przed tokijskim trybunałem". MON 1983 r. Str. 566. Cena 180 zł.

Ostatnio wydawcy książek obrali sobie Łódź, jako miejsce wystaw związanych z jubileuszami powstania swoich oficyn. Nie tak dawno rozbudziła apetyty czytelnicze „Nasza Księgarnia", a już w Muzeum Miasta Łodzi otwarto nową, poświęconą zasłużonemu wydawcy, jakim jest Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej.

Wydawnictwo MON powstało w 1947 r. i od tego czasu czytelnicy otrzymali 6.860 tytułów o łącznym nakładzie 196 mln egzemplarzy. Zakres i tematyka publikacji jest szeroka: od literatury dotyczącej drugiej wojny światowej, poprzez historię oręża polskiego, problematykę techniczno-wojskową, społeczno-polityczną i wiedzę encyklopedyczną i słownikową do publikacji czysto naukowych i literackich.

Każdy jubileusz skłania nie tylko do odnotowania osiągnięć, które w przypadku omawianego wydawnictwa są niewątpliwe, ale każe przyjrzeć się zamierzeniom na dzień dzisiejszy i na niedaleką przyszłość. Rok bieżący — to dwie znaczące rocznice: 300 rocznica odsieczy wiedeńskiej, oraz 40-lecie powstania Ludowego

Lizanie cukierka przez papierek

Wojska Polskiego. Te rocznice zdominowały plan tytułowy. Niestety, jak już zdążyliśmy się przyzwyczaić, książki się ukazują, tylko że nikt ich nie widzi w księgarniach. Ilu szczęśliwców nabyło „Wiedeń 1683" czy „Z dziejów wojen polsko-tureckich" albo „Dyariusz wiedeńskiej okazji Mikołaja Dyakowskiego"? Komu udało się kupić pracę zbiorową poświęconą marszałkowi Polski Michałowi Roli-Żymierskiemu czy pasjonującą publikację o polsko-radzieckim współdziałaniu wywiadowczym na tyłach wroga w czasie ostatniej wojny pt. „Razem na tajnym froncie"? Nie wspominam już o albumach i publikacjach encyklopedycznych, które rozchodzą się nieodgadnionymi kanałami i nie trafiają do przeciętnego zbieracza militariów czy bibliofila.

W Muzeum m. Łodzi zaprezentowano książki, których od dawna nie ma w księgarniach. Natomiast zorganizowany przez wydawnictwo MON kiermasz okazał się raczej skromny: ani jednej pozycji z serii „Bellony" czy z serii „Historyczne bitwy", ani jednej publikacji encyklopedycznej i albumowej. Mimo to ludzi przy stoisku sporo, zainteresowanie duże, bowiem wszyscy liczyli na to, że z tak uroczystej okazji „rzucą" coś ekstra.

Na konferencji prasowej dziennikarze uzyskali informację, że wydawnictwo MON właściwie nie ma kłopotów z realizacją swoich planów czytorskich, że „poślizgi" są wynikiem niedotrzymania terminów przez autorów lub przedłużających się pertraktacji z autorami. Średnio cykl produkcyjny książki trwa od roku do dwóch lat, a usługi poligraficzne dla wydawnictwa świadczą drukarnie wojskowe i państwowe. Nakłady? Takie, jak u pozostałych wydawców, czyli za małe na potrzeby rynku czytelniczego.

Na marginesie tej konferencji nasunęła mi się taka refleksja: dobrze się stało, że Wydawnictwo MON swój jubileusz rozpoczęło od wystawy własnego dorobku w Łodzi. Tylko czy fakt, że odbywa się to w Muzeum m. Łodzi nie sugeruje, iż książki tej oficyny są dostępne raczej w zbiorach zamkniętych, a nie w księgarniach. Bowiem żadna to pociecha, że w roku bieżącym ukaże się tyle to a tyle tytułów, skoro ja, przeciętny czytelnik i miłośnik słowa drukowanego, nie będę mógł do nich dotrzeć? Jest to ciągłe lizanie cukierka przez papierek.

E. IW.

Wasyl Kocznow

Mur

Wychodziłem całą ziemię
Po każdej podróży
czułem
że coraz dalej jestem od ludzi
których uczyłem dobra i pokoju
Na moją drogę
wchodził mur obronny
Kiedy mówiłem
mur się rozstępował
i przejście otwierał na oścież przede mną
A kiedy milkłem
szczelnie się łączył
uzbrojony w dzidy i baszty
Czasem
troskliwie brano mnie pod rękę
i wyprowadzano za więzienną bramę
Łamałem się
ostatnim kawałkiem chleba
Mówiłem —
poprzez mur
niepoprawny gaduła

Dramat

Czas nagli
wszystko na ziemi pędzi za Czasem
od wykwitu roślin
do rodzenia dzieci
Czas spieszy
jak wrzeciono w niecierpliwych rękach
Nić jest tak długa
jak wielki jest kokon
który ją rozwija
Świat nie ma
poczucia końca
jak widz nie ma pewności
że dramat jest zamknięty
Historia jest dramatem
O — nie
nie w teatrze
autor
nie bawi widowni
klasycznym końcem
jest geniuszem
jeśli wie
że musi zabić
by wznieść swój dramat
do Prawdy

Los twórcy

Dotarłem tu przez mrok
zatrzymałem się
Na porannej polanie ujrzałem kamienną bryłę
przywołałem rodaków
tęgie plemię
o mocnych jak korzenie
dłoniach
Utoczę im wojownika albo kobietę —
pomyślałem —
i uderzyłem w bryłę siekierą
i zawtórowało mi dwadzieścia oddechów
zamigotało żelazo —
siekiery
beztrosko
jak kruki dziobały
kamień ochrypłe kaszlał i pluł mi
bólem w pierś
O zachodzie słońca bryła odmieniła się
w postać
nagle urosła jej gniewna głowa
wytoczyły się z piersi ogromne półkule
i ręce nabrzmiały jak węże
Zdyszane żelazo rozjaśnia już
wschodząca twarz Ognia
co chciwie liże
ofiarne bydło —
coraz łagodniejsze
coraz bojaźliwsze są ciosy

Już wyłaniają się biodra i uda
zawirowało koło taneczne
Nagle uklękły nogi tłumu
i przerażone ręce rzuciły siekiery
na ziemię
Z szyderczym uśmiechem stałem nad nimi
nie usłyszałem
jak ktoś
wymierzył mi cios
Zapadłem w ciemną ciszę
pod stopy kamienne bóstwa

JERZY WILMAŃSKI

Bez ładu i składu

Minął rok, dwa lata, cała epoka... A może — tak dokładnie — to minęło trzydzieści miesięcy? Ale czy m i n ę ł o? Słuchasz właśnie komunikatu: „W kilku miastach Polski podjęto próby zorganizowania kilkusetosobowych, nielegalnych zgromadzeń i manifestacji. Do akcji tych usiłowano wykorzystać osoby wychodzące z nabożeństw kościelnych..."

Więc może n i e m i n ę ł o nic?

I może właśnie dlatego musisz podjąć tę podróż w czasie — zatrzymywać się w drodze, wysiadać na przystankach pamięci, wskakiwać do ruszającego pociągu zdarzeń?

Więc wyrzuć rozkład jazdy, jeśli go w ogóle masz. Program podróży nie został napisany, a jeśli nawet ktoś go opracował, to nigdy nie zostanie zatwierdzony. Ty także nie akceptujesz żadnego programu podróży, bo wiesz, że pociąg może się zatrzymać w dowolnym miejscu, że może zabraknąć paliwa, ktoś wyłączy prąd, albo chłopi rozbiorą konstrukcje słupów wysokiego napięcia...

Na twoim stole rośnie góra papierowych teczek. Gromadziłeś w nich mozolnie ślady minionych miesięcy.

W pokoju cisza, zamilkł nocny program, wypaliły się baterie. Otwierasz teczka po teczce — wyrzucasz na podłogę sterty papierzysk, notatek, wspomnień, snów, listów, wyroków, wyzwisk, haseł, nadziei...

W niepokoju przed podróżą do tych skrawków pamięci, rozrzuconych na podłodze bez ładu i składu — baczysz uważnie, aby ich nie deptać. Bowiem podeptać ich nie wolno, choćby budziły twój najświętszy sprzeciw. Po prostu nie wolno — bo to ślady jakiegoś tragicznego nieporozumienia, w którym udział brało tylu ludzi, jakże ci nieraz bliskich.

Bez ładu i składu, bez starannie opracowanej marszruty, zbierasz się do tej podróży. Bez bedekera na wierzchu podróżnej torby, bez zapasowych, rezerwowych słów... Bez akceptacji — nawet własnej — bez perspektywy i bez fotograficznej głębi ostrości...

Z niepokojem tylko...

☆

Niepokój przed podróżą. A jednak trzeba będzie wrócić do jakiegoś kamyka na drodze, do kępy traw potarganych lipcowym deszczem... A jednak trzeba będzie wrócić, aby raz jeszcze przejść przez tę ulewę, skwar, przez szum wiatru i pomruk tłumu, aby odszukać tę pierwszą minutę, ten moment, kiedy to się zaczęło d z i a ć.

Zdenek Benesz, kelner restauracji na campingu Veltrusy koło Pragi zapukał do bungalowu o godzinie piątej rano. Przyniósł dwie pękate butelki „Myśliweckiej" i bez słowa odkręcał kapsle.

— Wszechno szajs — powiedział nalewając wódkę do szklanki. Mówił zabawnym Volapikiem, jakiego używają wszyscy kelnerzy świata, ale to co powiedział potem nie było zabawne. W jego nieskładnej relacji powtarzało się słowo „strejk".

☆

Rok wcześniej szedłeś rozsłonecznionymi Alejami z Czyścioszkiem. Szliście w dół w stronę Agrykoli i Łazienek, a Czyścioszek z podnieceniem opowiadał najnowsze sensacje... Podniecał się zawsze każdą willą zbudowaną przez Kogoś, obliczał skrupulatnie cudze zarobki, które nie trafiały do jego kieszeni, a przecież mogły, przecież p o w i n n y...

Niezgoda Czyścioszka na gnój tego świata wypływała z zawiści, z marzeń o dużej forsie, o dużej sławie, o dużym znaczeniu... Z takich młodych buntowników wyrastają później stare kanalie — wiedziałeś od początku, że Czyścioszek nie zaskoczy cię żadnym szwindlem. Jakiż to prawdziwy luksus psychiczny — nie wierzyć w lojalność i hałaśliwie demonstrowaną przyjaźń — być przygotowanym na najgorsze, na każdy cios, donos i kopniak...

Czyścioszek kręcił się przy tobie, zwijał jak fryga, pewny twojej naiwności. I miał oczywiście rację — ty jesteś naiwny, ale twoją tarczą jest druga strona natury. Jesteś nieufny.

☆

Można się wypisać z pracy, można się wypisać z partii... Można się także wypisać z tego Kraju. Chociaż jest w tobie wiele sprzeciwów, frustracji i zahamowań, żadne z tych rozwiązań ci nie odpowiada. Możesz się tylko w y p i s a ć ostatecznie, kiedy już trudno będzie znieść te skoki ciśnienia, napięcia i wewnętrzne dygotanie.

Takie masz wyjście. Najtrudniejsze ze wszystkich, więc czasem — nocami — czekasz, aż Natura i Biologia załatwią za ciebie decyzję, której podjąć nie masz odwagi. Wsłuchujesz się w ssąco-tłoczący mięsień i czujesz, że bije miarowo. Natura — jeszcze teraz — nie chce ci pomóc. Musisz sam pozostać z tym całym bagażem niepokojów, lęków i zmęczenia. Wielkiego zmęczenia.

☆

Na twoim stole puste pudełko po zapałkach. Czarna zapalniczka błyska bez płomienia, wypisany flamaster, srebrzysta folia „Meprobamatu", postrzępiona i pogięta — tylko w trzech ostatnich gniazdkach tkwią białe tabletki... Sąsiadka obiecała przynieść jutro dwa pudełka zapałek, znajomy lekarz obiecał z d o b y ć jeszcze jedno opakowanie białej chemii: zapalniczka nadal bezużyteczna, bowiem propan-butan przestał realnie istnieć...

Dzisiaj przyniosłeś z miasta szarą torebkę połamanych papierosów marki „Orient" — rzecz trudnopalna, ale jedyna — już ochrzczona powszechnie mianem „zmiotków". Na wszelki wypadek kupiłeś butelkę atramentu: jest fioletowy jak okładka książki Stefana Garczyńskiego „Śmiechu naszego powszedniego". Co sprawiło, że na twoim stole leży dziś akurat ta książka? Przypadek? Złośliwość rzeczy martwych? Śmiech stał się rzeczą martwą?

Co się stało na twoim stole? A przecież głupstwo ma to do siebie, że gdy jest mierne — mierzi, ale gdy straci miarę, gdy przechodzi ludzkie pojęcie — śmieszy. Ale czasem przeraża.

Psychologom sześciu wielkich uniwersytetów amerykańskich polecono zbadać wpływ wychowawczy filmów sensacyjnych. Po wyświetleniu filmu „Mały mściciel" policja otrzymała wiadomość o czterdziestu morderstwach, których ofiarą padli ojciec, matka, starszy brat, siostra lub cała rodzina.

Przenosisz wzrok z twojego stołu, gdzie tyle bezużytecznych rzeczy — na szklany ekran telewizora. Codziennie wieczorami wyświetlają tu programy sensacyjne... Mały buntownik, maleńki historyk, mały niszczyciel grobów, zupełnie malutki polityk i jeszcze mniejszy ekonomista...

* * *

Nie istniejąca już dzisiaj drewniana Hala Sportowa na Widzewie huczała od braw. Mieliśmy wówczas po dwadzieścia lat i tak zupełnie nie umieliśmy zrozumieć tych, którzy ostrzegawczo wołali, aby nie wychodzić na ulicę, nie formować pochodu do centrum miasta. A była to Jesień owego październikowego przełomu — Jesień, z której tak naprawdę niewiele rozumieliśmy, ale chcieliśmy pokazać naszą z b i o r o w o ś ć w marszu poprzez miasto. Skutków, jakie mógł wywołać nasz marsz, nie umieliśmy sobie wyobrazić..

Nie poszliśmy jednak i może dzięki temu do tragicznych polskich dat nie przybyła ta jeszcze jedna — łódzka.

Chłopczykowaty student reżyserii o ostrej, ptasiej twarzy nawoływał z trybuny do ukamienowania swojego kolegi — zetempowca. Co by się stało gdybyśmy usłuchali tych wezwań?

Zapewne nie byłoby tych głośnych filmów, które student o ptasiej twarzy nakręcił potem w Polsce, Francji, Anglii i Ameryce... Z całą pewnością nie byłoby tych filmów, które potem nakręcił jego napiętnowany kolega.

Wówczas pierwszy raz zobaczyłem innego studenta. Był to Głóg, wypowiadający z wielkim przejęciem i ogromną sugestywnością oskarżenia — nie pod adresem jednostek — lecz pod adresem H i s t o r i i.

Nic się nie zmienił przez te lata. Dotykały go osobiste tragedie, nękały nocne wizyty, ale on pozostał wierny swojej niezgodzie na H i s t o r i ę. Wybrał sobie ideę, która ofiarowała mu same klęski, niewygody, trudy i szykany. Nie mogę się z nim zgodzić, ale szanuję trwałość jego przekonań.

Nie popłynął w kremowym garniturze w rejs dookoła świata. Inny minister, niż dobroczyńca Charengusa, mógł mu ofiarować tylko szary ubiór z granatowym kołnierzem. Nie otrzymywał stanowisk — przeciwnie, trudno było mu otrzymać zwykłą pracę. Komentatorzy zagranicznych agencji zarabiali na jego niezgodzie tysiące dolarów.

Odrzucam treści zawarte w memoriałach i pismach Głoga, ale szanuję jego czystość moralną.

Dlatego nie potrafię zrozumieć, co mogło łączyć upartego Głoga z Charengusem wciąż zrzucającym łuski i zmieniającym kolory przekonań.

Zupełny paradoks. Konsekwentnie gromadzący dobra Charengus i konsekwentnie tracący wszystko Głóg.

Kunktator i mistyk.

A jednak tego upalnego lata znaleźli się obok siebie. Lub raczej: Charengus przyssał się do Głoga, aby karmić się jego wybuchłym z nagła blaskiem.

Potem — kiedy minął stan podgorączkowy — Głóg nadal pozostał ze swoją niezgodą, ale Charengus i Charengusowa odpłynęli. Ku swoim dywanom, meblom — wyżebranym rentom i półetatom. Ale wkrótce wypłyną — tacy zawsze wypływają.

☆

Niedawno spotkałem na ulicy Głoga.

— Co robisz? — spytałem.

— Trwam — odpowiedział.

Potem zarzucił mnie lawiną argumentów, dowodów, cytat i opinii... Nie miałem ochoty, nie chciałem, nie umiałem przerwać mu tej tyrady.

— Słuchaj — rzekłem — idę w m o j ą stronę.

— Idź — odparł.

Rozeszliśmy się w przeciwne strony.

Fragment książki „Bez ładu i składu" przygotowanej dla Krajowej Agencji Wydawniczej

Kronika kulturalna

W MINIONĄ sobotę w Łodzi odbył się IV Ogólnopolski Przegląd Filmów Stomatologicznych. Przedstawiono pięć filmów konkursowych. Cztery z nich zaprezentowały Państwowe Zakłady Wydawnictw Lekarskich, a piąty Wytwórnia Filmów Oświatowych.

Odbył się także pozakonkursowy pokaz filmów nagrodzonych na I Łódzkim Przeglądzie Filmów Stomatologicznych.

Imprezą towarzyszącą Przeglądowi był pokaz materiałów stomatologicznych oraz aparatury.

W TEATRZE Wielkim 15 bm. odbyło się przedstawienie **„Cyganerii"** Pucciniego w wersji włoskiej. W partii Rudolfa wystąpił **Paulos Raptis**, a w partii Mimi — **Alicja Barańska**, Musety — **Jadwiga Papieruik**, Marcelego — **Tadeusz Piszek**. Orkiestrę prowadził **Antoni Duda**.

W DK „Lutnia" czynna jest wystawa malarstwa okresu Renesansu.

W DK „Na Żubardzkiej" 18 bm. pokazano spektakl teatru „Wiem" pt. „Mniszki".

---

18 BM. w Kościele Katedralnym (ul. Piotrkowska) odbył się I koncert z cyklu „Klasycy muzyki organowej". Wykonawcami pierwszego koncertu byli: **Maria Szczucka**, — sopran, **Mirosław Pietkiewicz** — organy. W programie utwory takich autorów jak: Johann Pachelbel, Francois Coupenin, Flor Peeters.

---

19 PAŹDZIERNIKA zainaugurowano Łódzkie Spotkania Jazzowe. Koncerty odbywają się kolejno: pierwszego dnia w Liceum Muzycznym, drugiego w Łódzkim Klubie Jazzowym i trzeciego w Teatrze Muzycznym. Wystąpią m. in. „Heawy Metal Sextet", Elżbieta Mielczarek, „Tie Break", „String Connection" z Andrzejem Olejniczakiem i Krzysimirem Dębskim, „Night Jazz Orchestra", „Beale Street Band" oraz bułgarski kwartet Simeona Sterewa.

---

11 PAŹDZIERNIKA w gmachu Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, otwarta została wystawa **„40 lat Ludowego Wojska Polskiego"**. Organizatorami wystawy jest Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. L. Waryńskiego w Łodzi i Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi.

---

17 PAŹDZIERNIKA z okazji Dnia Nauczyciela odbył się w Muzeum Historii Miasta Łodzi barwny koncert estradowy „Parada Gwiazd". Organizatorem koncertu było Towarzystwo Przyjaciół Łodzi.

TAKŻE 17 października otwarta została wystawa z okazji Dnia Edukacji Narodowej oraz powstania Muzeum Oświaty Łódzkiej — „Nauczyciele łódzcy w walce o polską, demokratyczną szkołę". Organizatorami wystawy są: Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Łodzi, Wydział Zbiorów Specjalnych i Wojewódzkie Archiwum w Łodzi.

W MIĘDZYNARODOWYM Dziecięcym Konkursie Malarskim, który z inicjatywy indyjskiego grafika Shankara Pillai, odbywa się co roku w Delhi, uczestniczka z Polski — 12-letnia **Anna Knas** z Pałacu Młodzieży w Katowicach — zdobyła jeden z 22 złotych medali Jawaherlala Nehru. Oprócz Anny Knas laureatami imprezy zostało 30 innych uczestników z Polski.

XXII FESTIWAL MONIUSZKOWSKI W KUDOWIE ZDROJU

Pan Moniuszko może spać spokojnie

BOHDAN GADOMSKI

Po raz dwudziesty drugi w Kudowie Zdroju, po raz szósty pod kierownictwem artystycznym **Marii Foltyn**, odbył się Festiwal Moniuszkowski, którego naczelnym założeniem jest propagowanie muzyki naszego wybitnego kompozytora i wielkiego patrioty w społeczeństwie.

Na tegorocznym festiwalu akcentowana była nie tylko muzyka Moniuszki. Z okazji jubileuszu 70-lecia dwóch polskich kompozytorów współczesnych: Witolda Lutosławskiego i Witolda Rudzińskiego, wykonywano ich utwory. Akcentowana też była rocznica urodzin i śmierci Ryszarda Wagnera przez wykonanie jego uwertury „Polonia".

Novum festiwalu były finały Ogólnopolskiego Konkursu Moniuszkowskiego dla śpiewaków amatorów. Poza wieczornymi koncertami w Teatrze Zdrojowym, odbyło się wiele imprez towarzyszących, a także sesja popularnonaukowa poświęcona roli Moniuszki w polskim teatrze operowym oraz muzyce religijnej kompozytora.

Na XXII Festiwal w Kudowie pojechałem jako gość kierownika artystycznego Marii Foltyn oraz jako specjalny wysłannik „Odgłosów". Towarzyszyły mi dziennikarki z „Gromady Rolnika Polskiego", „Trybuny Ludu", „Ruchu Muzycznego" i ekipa wrocławskiej TV. Zauważyłem, że festiwal miał skromną oprawę reklamową, a środki masowego przekazu bardziej akcentowały jego „bycie" na mapie kulturalnej kraju aniżeli eksponowały poszczególne koncerty, wśród których zdarzały się wydarzenia artystyczne.

KRĘTĄ DRÓŻKĄ W GÓRACH KU GRANICY POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ...

...jedzie pociąg relacji Łódź-Kaliska — Kudowa Zdrój. Jedzie długo, w nocy, ale warto się pomęczyć, aby nad ranem obejrzeć bajeczne widoki wspaniałych krajobrazów górskich z poszczególnymi kurortami-uzdrowiskami w Górach Stołowych.

Kudowa Zdrój. Niewielkie miasteczko, ładnie położone, ze źródłami leczniczej wody, z pięknym, zadbanym Parkiem Zdrojowym, salą koncertową o przepastnej akustyce i Teatrem Zdrojowym, czyli odpowiednimi miejscami na festiwal muzyczny.

W pociągu poznałem **Ignacego Kujszo**, najstarszego śpiewaka-amatora na tegorocznym festiwalu. Tego samego, o którym pisano w prasie, mówiono w radio jeszcze przed festiwalem, bo rzeczywiście 83-letniego pana Kujszo można zaliczyć do prawdziwych ewenementów na imprezie tego typu i podawać jako przykład rzadkiej w tak zaawansowanym wieku pasji śpiewania, muzykowania, bycia w sztuce.

— Na co dzień zajmuję się pszczelarstwem, do Kudowy jadę w wyniku zaproszenia do pozakonkursowego udziału w finale Ogólnopolskiego Konkursu Moniuszkowskiego dla śpiewaków amatorów. Wie pan, ogromnie się cieszę, że będę miał okazję zaprezentować się w Kudowie.

— Skąd u pana zainteresowanie muzyką Moniuszki i śpiewaniem jego pieśni?

— Powiem panu szczerze. Otóż moja żona lekceważyła mnie, wzięła pod pantofel, więc postanowiłem udowodnić, że stać mnie na coś więcej od chodzenia wokół pszczelich uli lub przy krowach.

— Żona była zaskoczona pana powodzeniem podczas elimiacji w Warszawie?

— Tak. Tym bardziej, że sama też śpiewa w kościelnym chórze.

— A może zamiast kłócić się, trzeba było razem pojechać na konkurs do Warszawy, a później na finał do Kudowy?

— A kto by doił krowy?

— Czy nie jest pan zbyt surowy dla żony?

— Może, ale teraz jestem kimś, a przedtem byłem jej niewolnikiem.

— Czy macie dzieci?

— Sześcioro i dziewięcioro wnucząt.

— Oni też śpiewają?

— Oczywiście.

Pan Ignacy Kujszo zdumiał wszystkich współpasażerów, kiedy to po wyjściu z pociągu zaczął biec ze swoją tekturową walizką do postoju taxi, a później kłusem przez Kudowę do hotelu. Bez zadyszki.

PROGRAM ARTYSTYCZNY

2 lipca 1983 r. w Teatrze „Pod Blachą" nastąpiła inauguracja XXII Festiwalu Moniuszkowskiego. W programie „Śpiewnik domowy" Ernesta Brylla do muzyki Stanisława Moniuszki. Prapremiera. Wersja plenerowa. Wśród wykonawców aktorzy: **Jadwiga Skupnik i Piotr Kurowski** oraz wokaliści: **Elżbieta Hoffman, Joanna Mika, Agata Młynarska, Antoni Bogucki, Tadeusz Galczuk, Zygmunt Kryczka, Mieczysław Hautz, Janusz Monarcha, Tadeusz Piszek.**

Również w wersji plenerowej zaprezentowano operę w jednym akcie: „Verbum nobile" z udziałem solistów, chóru, baletu i Orkiestry Państwowej Opery we Wrocławiu. Inscenizacja i reżyseria **Marii Foltyn**

Szczególnie reklamowany był „Poranek symfoniczny" w wykonaniu Centralnej Orkiestry Reprezentacyjnej WP pod dyrekcją **Igora Krzemińskiego**. W programie: Fryderyk Chopin, Stanisław Moniuszko, Witold Lutosławski, Henryk Wieniawski, Ryszard Wagner.

W kościołach parafialnych w Kudowie-Czermnej, Lewinie Kłodzkim i Szczytnej zaprezentowano „Śpiewnik kościelny" Stanisława Moniuszki. Wykonawcami m.in. byli: **Teresa May-Czyżowska, Krystyna Kujawińska, Barbara Mądra, Bogna Sokorska, Romuald Tesarowicz, Zygmunt Zając**

W Teatrze Zdrojowym odbyły się Konfrontacje Młodych Talentów, wśród których znalazły się: **Grażyna Ciopińska, Barbara Rusin-Knap** z Teatru Wielkiego w Łodzi, **Renata Rentowska** z Teatru Muzycznego w Łodzi oraz znakomicie zapowiadający się tenor Teatru Wielkiego w Warszawie — **Piotr Wnukowski**

Nie przyjechała mimo zapowiedzi seniorka polskiej opery Wanda Wermińska i małżeństwo Ładyszów oraz aktorski duet Elżbieta Wojnowska i Krzysztof Kolberger.

Maria Foltyn miała wiele takich nieplanowanych nieobecności, ale nie traciła głowy, załatwiała zastępstwa i program festiwalu nie miał luki. Całość w dobrym tempie mknęła do przodu.

Niestrudzona i godna podziwu Maria Foltyn wystawiła z cyklu „Opera rapsodyczna" — „Halkę" z **Barbarą Rusin-Knap** w tytułowej roli, **Józefem Stępniem** w roli Jontka i **Feliksem Gałeckim** w roli Janusza.

W kinie „Capitol" odbyła się prezentacja filmu „Warszawska premiera" z **Barbarą Kostrzewską**. Znakomitą śpiewaczkę można było podziwiać nie tylko na ekranie, ale i na miejscu w Kudowie. To autentyczna gwiazda!

Nie udała się sesja popularnonaukowa, którą prowadził prof. **Witold Rudziński**, a uczestniczyli w niej muzykolodzy, krytycy muzyczni i dziennikarze. Temat sesji: „Znaczenie Stanisława Moniuszki dla polskiego teatru operowego" (z okazji jubileuszu 150-lecia Teatru Wielkiego w Warszawie) oraz „Muzyka religijna Stanisława Moniuszki". Specjalistyczne referaty przygotowane przez muzykologów w wąskim zakresie danego tematu interesowały niewielkie grono uczestników sesji. Merytorycznie nie można im niczego zarzucić, ale sposób podania był zbyt akademicki i często po prostu nudny.

5 lipca w Teatrze Zdrojowym odbył się „Koncert rodzinny i Listy Moniuszki", który miał wspaniałą oprawę scenograficzną z róż. Koncert miał wyjątkowy nastrój, klimat, a firmował go jako autor scenariusza i reżyser **Marcel Kochańczyk**. Gwiazdą koncertu była **Bogna Sokorska**, która zajaśniała na scenie wielką urodą i wdziękiem oraz przepiękną suknią w miodowym kolorze. Znakomitej sopranistce koloraturowej towarzyszył na fortepianie **Jerzy Sokorski**. Nieobecnych Ładyszów zastąpili **Pola Lipińska** i **Romuald Tesarowicz**. Lipińska brawurowo zaśpiewała znaną arię o podartej sukni z „Hrabiny", a Tesarowicz zaprezentował wspaniały bas i ogromną swobodę w operowaniu głosem. Listy Moniuszki czytane przez parę aktorską z Warszawy (nie przygotowaną do swoich ról) okazały się nieciekawym dodatkiem dla pięknych arii i pieśni. Szkoda.

W kościele parafialnym w Kudowie-Czermnej odbyła się prapremiera czterech „Litanii Ostrobramskich" Stanisława Moniuszki, która zgromadziła tłumy wiernych i sympatyków twórczości kompozytora. Wykonawcami byli: Orkiestra Państwowej Opery we Wrocławiu pod dyr. **Edmunda Kajdasza**, chór i soliści: **Pola Lipińska, Barbara Zagórzanka, Józef Homik i Jerzy Kulczycki**. „Litanie Ostrobramskie" zabrzmiały w tym wykonaniu wyjątkowo pięknie i dostarczyły słuchaczom wielu artystycznych przeżyć.

Obok tych głównych koncertów wieczornych, warto też odnotować „Spotkania z autografem", które polegały na bliższym niż zwykle kontakcie śpiewaków ze słuchaczami. Red. **Jerzy Bida** omawiał w krótkim zarysie artystyczne drogi poszczególnych śpiewaków (krajowych i zagranicznych), a tego, czego nie dopowiedział, można się było dowiedzieć poprzez zadawane pytania od bohaterów opowieści. I tak można było poznać bliżej **Barbarę Zagórzankę, Polę Lipińską, Józefa Homika, Teresę May-Czyżowską, Zygmunta Zająca, Teresę Klimuszko, Williama Oberheltzerna, Kristin Theisen, Richatte Manager, Vincenze Pumę.** Szczególnie ciekawie zaprezentował się baryton z USA **William Oberheltzern**, który studiował śpiew na Uniwersytecie w Indiana. W Ameryce występował z wieloma orkiestrami symfonicznymi, radiowymi i telewizyjnymi. Obecnie śpiewa z wielkim powodzeniem w RFN. Jego popisowe partie to: Don Giovanni i Figaro w „Cyruliku sewilskim". **Richatte Manager** z USA studiowała śpiew na trzech uniwersytetach. Śpiewała z amerykańskimi orkiestrami symfonicznymi. Obecnie występuje w RFN, gdzie można ją obejrzeć i posłuchać w partii Kleopatry w „Juliuszu Cezarze", Hrabiny w „Weselu Figara" i Fiordillici w „Cosi fan tutte". **Vincenze Puma** z Włoch występował w Kudowie w 1982 roku. Był wykonawcą partii Jontka we włoskiej premierze „Halki" w Trieście. Obecnie występuje w mediolańskiej La Scali. **Kristin Theisen** z Norwegii to bardzo miła, ale jeszcze nie w pełni ukształtowana śpiewaczka. Za to jaki ma wdzięk! **Teresa Klimuszko** z Kanady to również sam urok na scenie, ale bardziej operetkowej, estradowej niż operowej, czego ma świadomość i kompleksy. Niedawno prezentowała swój recital w Łodzi.

A rodzime gwiazdy?

Barbara Zagórzanka zdaje się obecnie przeżywać najlepszy okres w swojej karierze. Śpiewa dużo i bardzo pięknie. Była solistką Opery w Bydgoszczy, Poznaniu, od 1979 roku jest gwiazdą Teatru Wielkiego w Warszawie. Na spotkaniu dowiedzieliśmy się, że Zagórzanka debiutowała na I FPP w Opolu. W Japonii była „Madame Buterflly".

Pola Lipińska kształciła swój mezzosopran w Warszawie i w Los Angeles. Śpiewa nie tylko w operze, ale w filharmoniach (oratoria, od muzyki starocerkiewnej po współczesną). Pola Lipińska nie tylko dobrze śpiewa, ale równie interesująco opowiada (o sobie).

Józef Homik, laureat I nagrody Festiwalu Arii i Pieśni im. Jana Kiepury w Krynicy. W 1977 roku debiutował na scenie Opery Śląskiej w Bytomiu. Śpiewał na wielu polskich scenach, także we Francji, Włoszech, USA, Kanadzie, Czechosłowacji i Rumunii. Ma nagrania w kraju oraz Stuttgarcie i Budapeszcie.

Najdłużej trwało spotkanie z **Teresą May-Czyżowską** i **Zygmuntem Zającem**, którzy w tym dniu mieli najwięcej czasu na rozmowy z publicznością. Szczególnie pani Teresa okazała się świetną rozmówczynią z dużym poczuciem humoru. Red. Bida nie omieszkał wypomnieć Zygmuntowi Zającowi, że jest najlepszym tenorem wśród lekarzy. Czego pan Zając nie lubi. I słusznie.

KONKURS DLA ŚPIEWAKÓW AMATORÓW

Został zorganizowany w 1983 roku. Wzbudził ogromne zainteresowanie. Do konkursu zgłosiło się ok. 250 kandydatów, ludzie w różnym wieku, o różnych zawodach. Najmłodsza kandydatka liczyła lat 9, najstarszy kandydat — lat 83. Zgłoszenia napłynęły z całego kraju. Zgłosili się m.in. rolnicy, technicy różnych specjalności, chemicy, lekarze, inżynierowie, pracownicy umysłowi i fizyczni, uczniowie szkół podstawowych i średnich, emeryci.

Eliminacje I i II etapu odbyły się w Warszawie — w salach Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków 6, 7, 8 czerwca 1983 r. Jury pod przewodnictwem **Eugeniusza Sąsiadka**, a z udziałem m.in. **Witolda Rudzińskiego, Marii Foltyn, Barbary Kostrzewskiej, Bogny Sokorskiej i Romana Węgrzyna**, przesłuchało w I etapie stu kilkudziesięciu kandydatów. Do drugiego etapu wytypowano 49 kandydatów, zaś do finału 13. Finał odbył się w Kudowie Zdroju. Uczestników obowiązywało wykonanie dwóch pieśni Stanisława Moniuszki oraz pieśni ludowej lub pieśni innego kompozytora polskiego. W Kudowie obejrzałem wraz z jury ostatnie przesłuchania, w wyniku których wybrano najlepszych, przyznano nagrody, choć właściwie wyróżniono wszystkich finalistów. Zaglądając w wykazy-listy uczestników, potwierdzam dużą rozpiętość wiekową, różne zawody i... różne głosy.

Stefania Deska, 58 lat, rolniczka z Piławy. Występując na festiwalu naraziła się mężowi, który musiał w tym czasie sam prowadzić duże gospodarstwo. Nagroda pieniężna jaką otrzymała pani Deska od redakcji „Gromady Rolnika Polskiego" będzie jakąś rekompensatą. Stefania Deska była przykładem czystego amatorstwa, nieskrępowanego niczym. Sposób śpiewania — kościelny, ale jakże świeży i prosty, że wywoływał pewne wrażenie estetyczne.

Barbara Miecznik, 44 lata, Kraków, doktor biologii. Repertuar operowy: aria Broni ze „Strasznego dworu", „Halka". Występ pseudo-profesjonalny, a to nie o to chyba chodzi w takich konkursach jak ten.

Jacek Nosalski z Gliwic, 24 lata, technik, na przepustce wojskowej. Maniera i starczy głos, duża pewność siebie.

Wojciech Radomski, 42 lata, pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej. Ogromna pasja śpiewania, przy solidnej posturze wątlutki, trzęsący się tenorek. Po co to wszystko, panie inżynierze, po co?

Janusz Ratajczak, 21-letni uczeń ze Szczecinka, obecnie student I roku Wydziału Wokalno-Aktorskiego AM w Bydgoszczy. Autentyczny talent! I dobrze, że będzie zawodowym śpiewakiem. Pierwsza nagroda będzie dla niego pierwszą zachętą do wielkiej pracy i wiary w siebie.

Janina Sarecka, 53 lata, Warszawa. Radca gabinetu prezesa NIK. Kogoś z tak poważnego szczebla w zawodowej hierarchii nie było.

Elżbieta Sarama, 43 lata, nauczycielka wychowania muzycznego. Repertuar karkołomny, ambitny, ale od natury pani Ela otrzymała sopraniątko.

Tomasz Szumiński, 27 lat, rzeźbiarz z Warszawy. Niezbyt często można spotkać śpiewającego plastyka i to tak poprawnie.

Jacek Szymański, 17-letni uczeń z Łomży. Śliczny chłopiec o ładnym głosie z przyszłością.

Helena Urbaniak, 47 lat, z Gdyni. Niewidoma rencistka, która śpiewając wywołuje duże wrażenie na słuchających. Zdobywa nagrodę.

Wieczorem koncert laureatów połączony z wręczeniem nagród. Koncert prowadzą **Małgorzata Bloch** i **Jan Suzin**. Robią to wyjątkowo dobrze, dokonują krótkiej prezentacji — kto jest kto i dlaczego śpiewa. Dobra atmosfera, dużo uśmiechu i żadnych oznak konkurencji — kto wygra, a kto przegra.

Zwyciężył — **JANUSZ RATAJCZAK** ze Szczecinka, drugie miejsce **HELENA URBANIAK**, trzecie — **TOMASZ SZUMIŃSKI**. Wyróżnienie otrzymał **JACEK SZYMAŃSKI**. Poza konkursem wystąpił nasz znajomy z pociągu **IGNACY KUJSZO**, który tuż przed występem pytał mnie — czy śpiewając o koniku, może pokazać jak konik grzebie nóżką, czy raczej nie pokazywać tej umiejętności.

— Może pan pokazać, ale zaledwie zamarkować, nie ogrywać zbyt dosłownie.

Pan Kujszo przeszarżował i wzbudził swoim występem salwy śmiechu, ale czy właśnie o taki śmiech chodziło?

Prywatną nagrodę Marii Foltyn otrzymali: **JANUSZ SZYMAŃSKI i EDYTA GOMOŁKA.**

Konkurs dla śpiewaków amatorów był wspaniałą imprezą, nader potrzebną i pożyteczną. Zdumiewali ci śpiewający arie i pieśni ludzie, ich zarażenie pasją śpiewania polskiej muzyki, przy czym bez żadnej pretensji do bycia gwiazdą. Odkryto dwa talenty, które z powodzeniem mogą zostać śpiewakami i wszystko wskazuje na to, że zostaną.

Na zdjęciu: Pola Lipińska, Jerzy Sokorski i Bogna Sokorska

WSTYDLIWE KULISY SPOŁECZEŃSTWA DOBROBYTU (1)

Home, sweet home

Morderstwa, rozbój, napady i inne tego rodzaju akty przemocy szybko przenikają do wiadomości publicznej. Sygnalizują je krzykliwe nagłówki informacji prasowych, zajmują się nimi specjaliści od ankiet i statystyk. Gwałty popełniane w czterech ścianach domów, często przez ludzi, którzy się wzajemnie kochają, to dziedzina mroczna, tajemna, koszmar, o którym dopiero teraz zaczynamy się czegoś dowiadywać. Koszmar tym straszniejszy, że ofiarami okrucieństw są ludzie najbardziej bezbronni, niezdolni przeciwstawić się tym, którzy ich atakują. Ci, którzy torturują własne dzieci, biją żony i gwałcą córki na ogół nie kierują się takimi motywacjami jak zazdrość, gniew czy chęć zemsty. Jak więc wytłumaczyć te przejawy przemocy, tak bardzo niepokojące właśnie dlatego, że wynikają z pobudek osobistych?

Według danych FBI, w 1981 roku popełniono w Stanach Zjednoczonych 22.516 morderstw, z czego jedną piątą stanowią zabójstwa w rodzinie. Zapewne nie są to dokładne dane, dotyczą bowiem tzw. spraw prywatnych, które znacznie trudniej jest objąć statystyką. Jeśli np. w roku 1981 zarejestrowano 1.073.998 kradzieży samochodów, to jest to najprawdopodobniej liczba dokładna, gdyż okradzeni muszą zgłosić kradzież na policję, aby uzyskać odszkodowanie. Natomiast w przypadkach morderstw i gwałtów w rodzinach dane mogą być tylko szacunkowe. Oficjalne statystyki mówią, że w ciągu roku zdarza się 650.000 przypadków znęcania się nad dziećmi, ale takich przypadków może być równie dobrze milion, a nawet 6 milionów. Według statystyk, co roku 2 miliony kobiet jest pobitych przez mężów, ale takich przypadków może być 6 milionów, gdyż nie każda poszkodowana składa skargę na brutalnego małżonka. Statystyki departamentu sprawiedliwości wykazują 178.000 przypadków zgwałcenia kobiet w 1981 r., ale trzeba wziąć pod uwagę, że zapewne tylko co dziesiąta — a może nawet co dwudziesta kobieta — zgłosiła swój przypadek na policję. Niemniej jest rzeczą bezsporną, że bardzo wiele kobiet i i dzieci jest torturowanych przez mężów i ojców.

Brak dokładnych danych wynika stąd, że są to na ogół sprawy wstydliwe, które każdy woli przemilczeć. Ofiary bójek na ulicy czy w barze czują się obrażone i znieważone w swej godności, natomiast ofiary awantur rodzinnych odczuwają przede wszystkim upokorzenie. Żona, którą mąż systematycznie bije, cierpi wprawdzie, ale wstydzi się do tego przyznać publicznie. Metody wychowawcze w stosunku do dzieci — nawet te najbardziej brutalne — były zawsze sprawą ściśle prywatną.

Dzisiaj już nie jest tak. Ofiary domowych oprawców opowiadają o swoich niedolach funkcjonariuszom policji, prokuratorom, adwokatom i przyjaciołom — i społeczeństwo stara się im pomagać. Akty przemocy popełniane w czterech ścianach domu przestały być sprawą prywatną. I tu znów warto zacytować statystyki. Liczba przypadków znęcania się nad dziećmi na Florydzie wzrosła z 35.301 w 1981 roku do 45.704 w roku 1982, ale tego wzrostu zapewne nie zdołano by odnotować, gdyby ludzie nie mówili bardziej szczerze o swych nieszczęściach. Znana pisarka feministyczna Betty Friedan twierdzi, że liczba napaści na kobiety wcale się nie zwiększyła, ale po prostu ofiary częściej o tym teraz mówią. *Kobiety nie tolerują już tego stanu rzeczy, ponieważ wiedzą, że trzeba to ujawniać.*

Gwałty w rodzinach i kazirodztwo to wciąż sprawy wstydliwe i krępujące. Ale to o czym się nie mówi musi być ujawnione, mimo wszelkich zastrzeżeń. *Dopóki kazirodztwo utrzymane jest w tajemnicy posiada ono moc, na którą wcale nie zasługuje* — mówi Miriam Ingebritson, lekarz z Minneapolis — *Trzeba je tej mocy pozbawić.* Obecnie jest wiele placówek, do których można się zwrócić o pomoc. W całym kraju powstały kliniki dla ofiar gwałtów, schroniska dla kobiet bitych przez rodziców. Nowe procedury prawne ułatwiają postępowanie prokuratorskie. Warto przy tym podkreślić, że najwięcej problemów występuje w miejscowościach cieszących się reputacją „spokojnych". I tak np. w miasteczku Salina w regionie Plains, liczącym 42.600 mieszkańców, Stowarzyszenie do Walki z Przemocą rejestruje co miesiąc około 100 skarg.

Przemoc szerzy się przede wszystkim w domach rodzinnych. Zarówno w ciasnych mieszkaniach blokowych, jak i luksusowych rezydencjach mężowie i kochankowie biją swe kobiety bez opamiętania. I tak np. przed paroma laty w Houston absolwent wyższej uczelni Daniel Brownell (nazwisko zmienione), był systematycznie bity przez ojczyma do utraty przytomności, aż wreszcie całkowicie go sparaliżowało. 38-letnia pani Carol (nazwisko również zmienione), występująca jako honorowy adwokat gwałcicieli przebywających w więzieniu, przyznaje, że dom rodzinny, nie jest bynajmniej rajem na ziemi W dzieciństwie była ofiarą kazirodztwa, w latach młodzieńczych została zgwałcona przez 6 mężczyzn w domu przyjaciół, a gdy wyszła za mąż, małżonek bił ją regularnie w dzień i w nocy.

Ci, którzy napadają na przechodniów na ulicy czynią to po prostu w celu zdobycia pieniędzy i niewiele ich obchodzi, że napadnięty jest także człowiekiem. Dom natomiast powinien być dla każdego bezpiecznym schronieniem, ogniskiem, przy którym można się ogrzać. Akt przemocy dokonany przez kogoś, kogo się uważa za strażnika owego ogniska (a więc przez męża, ojca czy matkę) jest szczególnym rodzajem zdrady, nadużycia zaufania. A gdy już okrucieństwo staje się rutyną, trudno postawić mu tamę. Richard Gelles, socjolog z uniwersytetu w Rhode Island, tak oto opisuje środowisko rodzinne, w którym panuje przemoc:

— Mąż bije żonę, ta zaś może wkrótce zacząć bić dzieci. Z kolei starsze dzieci dojdą do wniosku, że mogą bić młodsze.

Przebywający w więzieniu oprawcy żon (większość z nich trafia do więzienia za inne przestępstwa), pogardzają na ogół gwałcicielami, ci zaś odwracają się ze wstrętem od tych, którzy katują dzieci. W istocie jednak między tymi trzema grupami przestępców istnieje pewien związek Ci, którzy znęcają się nad żonami i dziećmi są często nałogowymi alkoholikami lub narkomanami. Przedstawicieli wszystkich trzech kategorii łączy wspólny kompleks niższości. Zdaniem psychoanalityków, dopuszczają się aktów przemocy, ponieważ daje im to swego rodzaju poczucie władzy. Podobnie jak większość przestępców są niedojrzali i impulsywni. Chcą wszystko mieć zaraz, natychmiast. Przeważnie żyją w odosobnieniu, nie mają przyjaciół, są izolowani od tych, którzy wiodą życie bogatsze, szczęśliwsze lub po prostu spokojniejsze.

Najgorszym aspektem przemocy w środowisku rodzinnym jest jej naturalna reprodukcja. Przemoc w rodzinie rozgałęzia się i rozmnaża niczym trująca roślina Większość gwałcicieli to ofiary gwałtu w dzieciństwie, a ludzie katujący swe rodziny wychowali się przeważnie w domach, gdzie robiono to samo Dzieci bitych i kopanych kobiet, przyzwyczajone do załatwiania wszelkich sporów rodzinnych za pomocą pięści, są potencjalnymi kandydatami na katowane żony i agresywnych mężów. Co gorsza, dzieci które były bite w rodzinie są już predysponowane do tego, aby gdy dorosną bić własne potomstwo. Chłopcy, którzy zostali zgwałceni przez zboczeńców mogą w przyszłości stać się pedofilami i gwałcicielami, zaś dziewczęta, które uległy przemocy będą zapewne ofiarami mężów brutali. Oto co mówi katolicki ksiądz Bruce Ritter, który prowadzi schronisko dla młodocianych uciekinierów na Manhatan Times Square:

— *Dziewczęta, które wałęsają się po ulicy z niemowlętami na ręku często je katują. Gdy dwutygodniowe niemowlę płacze, matka je bije. Staramy się odzwyczajać je od tego*

Są jednak poważne różnice między trzema głównymi rodzajami przemocy w środowisku rodzinnym Bicie żony to co innego niż znęcanie się nad dzieckiem, bowiem dorosła osoba może odpowiedzieć tym samym lub uciec przed swym katem Spośród wspomnianych wyżej trzech kategorii gwałt jest zapewne tym przestępstwem, które podlega karze ustawowej. Ale przecież ojciec, który łamie dziecku rękę lub mąż, który kopie ciężarną żonę również jest przestępcą.

W wielu przypadkach jednak są to sprawy trudne do rozwikłania. Co np. zrobić z mężczyzną, który gwałci swoją żonę? Jak ustosunkować się do małżonków, którzy systematycznie się biją? Jaką karę należałoby wymierzyć pastorowi baptystów Danielowi Truebloodowi, który bił swego syna linijką i w końcu trzeba mu było dziecko odebrać? Trueblood twierdzi, że *po prostu normalnie karcił syna i że ludzie rozsądni powinni umieć odróżnić katowanie od zwykłego uderzenia.*

Jednakże ludzie rozsądni nie zgadzają się z tym poglądem. Jak więc ocenić kiedy przemoc w środowisku rodzinnym powinna stać się przedmiotem bezpośredniej interwencji społecznej?

W niektórych miastach mężczyzna, który zaatakował kobietę musi być aresztowany i postawiony przed sądem nawet jeśli poszkodowana wycofa skargę; w Anchorage na Alasce żona, która nie chce zeznawać przeciw swemu mężowi może być skazana na karę grzywny lub uwięziona. Niegdyś były trudności z sądzeniem gwałcicieli, ale obecnie w wielu stanach wystarczy oświadczenie zainteresowanej osoby, że została zgwałcona. W stanie Waszyngton uchwalono w ubiegłym roku ustawę zezwalającą na uznanie zasłyszanej informacji jako wystarczającego dowodu winy m.in. w przypadkach katowania dzieci.

Ta gorliwość, kontrastująca z dotychczasową biernością nie jest niczym zaskakującym. Nic dziwnego, że adwokaci pobitych kobiet namawiają swe klientki, aby wystąpiły o rozwód i zaskarżyły brutala do sądu zamiast się z nim godzić. Gdy w rodzinie dochodzi do rękoczynów często lepiej odejść. Niekiedy jednak zawodowi doradcy starają się wyperswadować kobietom małżeństwo w ogóle.

— *Kobiety często mają takie złudne nadzieje* — mówi Mary Marecek, radca prawny schroniska dla staruszek w Massachusetts. — *Chcemy im wytłumaczyć, że nie ma idealnego małżeństwa.*

Ale kobieta, która chce uczynić coś dobrego z niezbyt udanego małżeństwa nie zawsze grzeszy brakiem rozsądku. Nie każda skłonna jest podzielać opinię feministki Ellen Jamesians, która w biciu żon dopatruje się potwierdzenia brutalnej męskości, uciskającej płeć słabszą.

Niektóre bardziej specyficzne rodzaje przemocy zaczyna się dopiero zaliczać do kategorii „problemów społecznych". Najostrzejszym problemem jest „bicie babci" jak Anglicy nazywają maltretowanie ludzi starych, przeważnie rodziców lub dziadków. Jak twierdzi Murray Straus, socjolog z uniwersytetu New Hampshire, około 5 proc. obywateli amerykańskich w podeszłym wieku jest katowanych przez dzieci lub wnuków. Czy to zajwisko będzie się rozszerzać? Można się obawiać, że tak, skoro nawet w spokojnej skądinąd i szanującej swych starców Japonii zanotowano 1099 przypadków maltretowania rodziców przez dzieci.

W innych krajach świata przemoc w środowisku rodzinnym nie jest uznawana za pierwszoplanowy problem społeczny, co nie znaczy, że jest tam mniej awantur domowych. Raczej przeciwnie — jak mówi pewien pracownik społeczny z Tajlandii — *jest to zjawisko tak powszechne, że już nikt nie nazywa go problemem.* W innych krajach jednak ofiary przeważnie milczą, a systemy prawne i medyczne często ignorują ich sytuację. W większości krajów dom jest prywatną twierdzą mężczyzny, do której nikt z zewnątrz nie ma wstępu. W Stanach Zjednoczonych jest znacznie więcej placówek, gdzie poszkodowani mogą znaleźć pomoc i opiekę. Zarazem jednak amerykańska kobieta ma 5, a nawet 10-krotnie więcej szans, aby zostać zgwałconą niż kobiety w Zachodniej Europie.

Nie wszystkie jednak ofiary przemocy w Ameryce otrzymują pomoc czy doznają współczucia. „Jako społeczeństwo śmiejemy się z przemocy w środowisku rodzinnym" — mówi socjolog Gelles. Nie powinniśmy się z tego śmiać. Ale na drugim biegunie znajdują się ludzie, którzy niemal dostają obłędu, gdy mówią o tym zjawisku. Według nich każdy gwałciciel powinien być wykastrowany. Nie popadając w żadną skrajność zastanówmy się, co rozsądni ludzie mogą w tej dziedzinie zrobić.

KATOWANIE DZIECI

Mary ma 34 lata, mieszka na przedmieściu Nowego Jorku. W swym dobrze skrojonym beżowym kostiumie i różowej bluzce ozdobionej naszyjnikiem z pereł sprawia wrażenie osoby, która zawsze miała wygodne, wolne od trosk życie. Gdy zaczyna mówić, słowa jej brzmią dziwnie, jakby wypowiadał je zupełnie ktoś inny.

— *O matce mogę powiedzieć przede wszystkim to, że zawsze mnie biła. Biła mnie pantoflami na wysokich obcasach, paskiem ojca, tłuczkiem do kartofli. Gdy miałam osiem lat tak posiniaczyła mi nogi, że powiedziałam, iż pójdę na policję. Odpowiedziała „idź, zobaczysz że cię tam wsadzą do najciemniejszego więzienia". Więc nie poszłam. Kiedy miałam 13 lat i zaczęły mi rosnąć piersi, matka biła mnie po klatce piersiowej dopóki nie zemdlałam. Potem tuliła mnie do siebie i przepraszała. Kiedy skończyłam 16 lat, nie było dnia, żeby mnie nie wyzywała od dziwek; dzieci przeważnie boją się, aby ktoś nie zabrał ich rodzicom. Ja marzyłam, aby uciec gdzieś daleko i znaleźć inną matkę.*

Jeszcze gorzej matka traktowała mojego młodszego brata. Gdy miał dwa lata próbowała powiesić go na firance albo utopić w ubikacji. Do tej pory ma ślady oparzeń na piersiach, gdyż nieraz trzymała go nad rozżarzonym piecem. Matka, stale namawiała brata, aby zabił naszego ojca. Gdy ojciec przychodził do domu kazała nam mówić mu, jak bardzo go nienawidzimy. Każdego wieczoru modliłam się, aby w to nie uwierzył. Byłam już od dwóch lat mężatką, kiedy matka i brat zabili ojca w piwnicy. Zapakowali zwłoki do bagażnika samochodu i wywieźli do śródmieścia, a tam zostawili je po prostu na ulicy.

Zaczęłam bić mojego syna, ponieważ był dzieckiem przypadkowym i bardzo krzyczał. Kiedy miał cztery miesiące uderzyłam go tak mocno, że obrączka pozostawiła krwawy ślad na jego buzi. Krzyk małego rozdzierał mi serce. Rzuciłam się na ziemię i przeklinałam siebie. Potem ściskałam go mocno w ramionach, aż się zrobił siny. Mówiłam mu — dlaczego nie możesz przestać krzyczeć? Zdawałam sobie sprawę, że on tego nie rozumie, ale czasem myślałam, że krzyczy umyślnie

Gdy miał 10 lat, tak mnie kiedyś rozgniewał, że chciałam go zabić. Ale kazałam mu iść do swego pokoju, zamknąć się na klucz i nie otwierać choćbym nie wiem co mówiła. Szybko uciekł, był naprawdę przestraszony. Słyszałam jak ciężko dyszał za drzwiami, jak przerażony zając Sprawdziły się przepowiednie mojej matki — byłam nic nie warta i nigdy się nie poprawię. Co niedziela chodziłam do kościoła i za każdym razem obiecywałam sobie, że pójdę do spowiedzi, ale nie poszłam. Gdy się katuje własne dziecko, to tak jakby się widziało kogoś innego robiącego to samo. Ma się poczucie winy, grozy, cierpi się bardzo. Społeczeństwo nie musi nas nienawidzić, bo my sami się nienawidzimy. Nikt nie nienawidzi bardziej takich rodziców niż oni sami.

Oczywiście katowane dzieci nie zawsze zabijają swych ojców i rzadko się też zdarza, aby rodzice zabili dziecko. Ale przypadek Mary, upokarzanej fizycznie i emocjonalnie przez nie panującą nad sobą matkę jest niestety typowy. Mary potrafiła sobie poradzić. Zwróciła się o pomoc do grupy Anonimowych Rodziców i wkrótce pogodziła się z synem. Chłopak studiuje obecnie w liceum, należy do drużyny basaballowej. *Zawsze mi mówi* — opowiada Mary — *że gdy będzie bogaty zbuduje piękny dom i umieści mnie i ojca w mieszkaniu na drugim piętrze z sauną i kominkiem. Teraz jesteśmy szczęśliwą rodziną.*

Nie zawsze jednak historia maltretowanych dzieci kończy się tak dobrze. Większość rodziców, którzy biją dzieci lub nie zapewniają im utrzymania, nie zdaje sobie sprawy, że potrzebuje pomocy lub nie przyznaje się do tego. Kiedy się ich oskarża o katowanie dzieci, zaprzeczają wszystkiemu. Ci nieliczni, którzy pragną pomocy często nie wiedzą, gdzie jej szukać, ci zaś, do których zwracają się o pomoc nie wiedzą jak jej udzielić. Nawet eksperci nie są zgodni co do tego, jak należy pomagać tym ludziom

Jedno jest pewne: liczba przypadków znęcania się nad dziećmi w Stanach Zjednoczonych gwałtownie wzrasta. Według danych American Humane Association w 1976 r. było 413 000 takich przypadków. W roku 1981 liczba ta wzrosła do 851.000 przypadków, a w ubiegłym roku zwiększyła się o 12 proc.

Mimo tych alarmujących statystyk eksperci na ogół nie tracą nadziei. Ich zdaniem, liczby te mogą odzwierciedlać wzmożoną czujność szkół, szpitali, organów prawnych i instytucji społecznych, które z większą gorliwością wykrywają przypadki znęcania się nad dziećmi i sygnalizują je władzom. Krewni i sąsiedzi poszkodowanych również częściej zwracają się do władz z żądaniem interwencji. Mur milczenia zaczyna się wykruszać nawet w przypadkach kazirodztwa, które dawniej były niemal zawsze przemilczane.

Gdy poszkodowane dzieci dorastają, coraz częściej mówią o swej przeszłości, zarówno po to, aby rozwiązać swe własne problemy emocjonalne, jak i po to, aby pomóc innym. Powstają prywatne i rządowe instytucje, które pomagają ofiarom przemocy. Jednocześnie pogłębia się społeczna świadomość problemu. Jak wynika z ankiet, w 1976 roku tylko 10 proc. Amerykanów uważało, że jest to problem poważny. Niedawna ankieta Luisa Harrisa wykazała, że już 90 proc. Amerykanów jest zaniepokojonych tym zjawiskiem.

Eksperci nie są zgodni co do tego czy liczba przypadków katowania dzieci rzeczywiście wzrasta, czy też po prostu przypadki takie są częściej zgłaszane. Przypuszcza się, że dane dotyczą tylko 10 do 25 procent przypadków, ale nikt nie wie dokładnie jak to jest. Eksperci wiedzą jednak, że owych przypadków jest i tak o wiele za dużo i że koszty cierpień fizycznych i psychicznych, zarujnowanego życia i potencjalnych przyszłych przestępstw (badania przeprowadzone wśród więźniów wykazały, że 90 procent było w dzieciństwie ofiarami prześladowań), są zbyt wysokie, aby można było je tolerować w cywilizowanym społeczeństwie. Jeszcze bardziej niedopuszczalna jest reprodukcja przemocy wobec dzieci. W większości przypadków rodzice znęcający się nad dziećmi sami byli w dzieciństwie katowani. Jak mówi porucznik Richard Willey specjalista od spraw katowania nieletnich w urzędzie szeryfa w hrabstwie Los Angeles:

— *Jest to postęp geometryczny: jeśli matka ma czworo dzieci i znęca się nad nimi, to w przyszłości mogą powstać cztery rodziny, gdzie dzieci będą katowane.*

Badania wykazują, że kobiety są bardziej skłonne do katowania dzieci niż mężczyźni. Przyczyna jest oczywista: kobiety zazwyczaj spędzają więcej czasu z dziećmi i częściej mają powody do irytacji. W przypadku matek samotnych stres jest jeszcze większy na skutek ograniczonych środków materialnych i braku oparcia ze strony drugiej osoby. Dzieci niechciane, a także dzieci bądź wyjątkowo zdolne, bądź zahamowane w rozwoju są często ofiarami brutalnego traktowania.

Ojcowie, ojczymowie i konkubini samotnych matek również, aż nazbyt często biją dzieci. Maltretowanie przybiera szczególnie okrutny i odrażający charakter, gdy mężczyźni wykorzystują seksualnie młodziutkie dziewczęta, nieledwie dzieci. Oto kilka przykładów:

Za każdym razem, gdy ojciec chciał ze mną współżyć próbował mnie przekonać, że ja sama tego pragnę, a także mówił mi jakie piękne mam ciało — pisze 36-letnia Linda Halliday w swej autobiografii pt. „The Silent Scream" — (Milczący krzyk). Ojciec współżył z nią przez 9 lat, od czasu gdy skończyła siedem lat — *Z trudem powstrzymywałam torsje* — pisze Linda. — *Chciałam wykrzyczeć całą moją nienawiść jaką czułam do niego za to, co ze mną robił, ale słowa nie przechodziły mi przez gardło. W takich momentach pragnęłam umrzeć.*

Linda wielokrotnie próbowała popełnić samobójstwo, potem stała się alkoholiczką i prostytutką — wreszcie poznała swego obecnego męża, który ją uratował. Przekonała się wówczas, że pewną formą terapii może być napsanie książki o swych przeżyciach, co też uczyniła. Linda współpracuje z innymi ofiarami gwałtów w British Columbia, zachęcając je, aby mówiły i pisały o swych doświadczeniach.

Ojciec 39-letniej obecnie Sherry zaczął ją zmuszać do życia płciowego, gdy miała trzy lata. *Ojcu nie wystarczał sam stosunek seksualny* — pisze Sherry — *chciał mnie także w ten sposób ukarać, gdy zrobiłam coś złego. Za każdym razem mówiłam sobie: tatuś był dla mnie niedobry, ale miał rację, bo byłam niegrzeczna.* Sherry nie miała komu się poskarżyć — jej ojciec był jedynym pastorem w małym mieście środkowego Zachodu. *Nigdy nie miałam nadziei, że ktoś mnie wysłucha* — pisze Sherry — *Po nabożeństwie każdy mówił mi jaka jestem szczęśliwa mając takiego wspaniałego ojca".*

Raz w tygodniu ojciec przyjeżdżał po Sherry do szkoły i zabierał ją do „dyskretnych miejsc", m.in. do różnych hoteli. Przed stosunkiem robił różne „przygotowania" — pozorował wieszanie córki lub też kładł ją na skrzyni przypominającej trumnę. *A jednak ojciec kochał mnie najbardziej z całej rodziny* — twierdzi Sherry. Młoda kobieta ma żal do matki, że nie położyła kresu jej gehennie. Nie wiedząc co ze sobą począć Sherry przerzucała się z jednej skrajności w drugą, wyszła za maż za człowieka, który ją katował (*mówił, że mnie zabije i pewnie by to zrobił*), wkrótce potem się z nim rozwiodła, urodziła syna, który ma obecnie kilkanaście lat, pracuje jako nauczycielka w Los Angeles. Leczyła się dwanaście lat. *Raz w tygodniu musiałam się porządnie wypłakać, tak żal mi było zmarnowanego dzieciństwa i w ogóle życia.*

40-letni John, maszynista z Los Angeles niemal przez całe życie uważał się za „nic nie wartego, niepotrzebnego bękarta". Tak bowiem nazywał go ojciec, który bił go kijem i pasem, dopóki chłopiec nie skończył 13 lat. Po szkole średniej John wstąpił do marynarki, ale nie mógł sobie tam dać rady, gdyż był zbyt niedojrzały. *Nie potrafiłem obcować z dorosłymi. Byłem samotnikiem, którego wszyscy unikali, chyba że zdarzała się jakaś bójka.* John pił za dużo, ożenił się z rozwódką mającą trzyletnią córeczkę i odkrył, że „pod względem emocjonalnym znajdował się na pustyni".

(„TIME") c.d.n.

W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

Kobiety latały na samolotach

Zmagania bojowe lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii, w drugiej wojnie światowej, to nie tylko bohaterskie walki powietrzne polskich dywizjonów myśliwskich, czy pełne heroizmu, dramatyczne wyprawy bombowe nad cele hitlerowskiej Rzeszy, w których uczestniczyli wyłącznie mężczyźni-lotnicy. Mało znany jest udział kobiet w lotnictwie polskim.

Sławy i popularności, jaką zyskały sobie polskie pilotki, pozazdrościłby im niejeden pilot latający bojowo. Zaś dziewczęta z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet (PLSK), „wafki", pełniły liczne odpowiedzialne funkcje na lotniskach, zdobywając sobie wiele uznania, szacunku i wdzięczności lotników latających bojowo. Po zakończeniu wojny jedne i drugie pozostawały w cieniu, jako bezimienne bohaterki zawieruchy wojennej, jak zwykle skromne, pozbawione zaszczytów i chwały, jakimi darzono ich kolegów lotników.

CZTERY PILOTKI

Zaczęło się wszystko dziwnie i skromnie, gdy hitlerowski najeźdźca napadł na Polskę we wrześniu 1939 roku. Cztery pilotki Aeroklubu Warszawskiego — **Wanda Modlibowska, Anna Leska, Zofia Szczecińska i Barbara Wojtulanis** — zgłosiły się ochotniczo do służby w lotnictwie wojskowym, deklarując swój udział w walce z Niemcami. Przydzielone do Eskadry Łącznikowej Dowództwa Lotnictwa, wykonywały trudne i niebezpieczne loty łącznikowe na nie uzbrojonych aeroklubowych samolotach sportowych, dzieląc przez kilkanaście dni tragicznego września los lotników swojej eskadry.

Polskie pilotki wraz z Eskadrą Łącznikową — na rozkaz dowództwa — przeleciały granicę Polski, lądując w Czerniowcach w Rumunii.

Swój pobyt w Rumunii, Wanda Modlibowska, Barbara Wojtulanis i Zofia Szczecińska, wypełniły ryzykowną i niebezpieczną służbą kurierek pomiędzy obozami internowanych lotników polskich a placówką lotniczą polskiej ambasady w Bukareszcie. Po zakończeniu tej odpowiedzialnej misji opuściły Rumunię i po wielu perypetiach dotarły do Francji.

Rozkazem Naczelnego Wodza Wojska Polskiego, gen. Władysława Sikorskiego, otrzymały nominację na podporuczników lotnictwa czasu wojny. Pobyt lotników polskich we Francji trwał zaledwie kilka miesięcy. Po klęsce Francji lotnictwo polskie wszystkimi dostępnymi środkami i drogami ewakuowało się do Wielkiej Brytanii. Wanda Modlibowska jeszcze przed kapitulacją Francji zmieniła plany, powracając do Polski, aby służyć krajowi. Natomiast ppor. Anna Leska i ppor. Barbara Wojtulanis odpłynęły na pokładzie „Batorego" wraz z personelem lotniczym z portu St. Jean de Luz do Wielkiej Brytanii. Zofia Szczecińska, po przybyciu na Wyspy Brytyjskie innym statkiem, wyszła za mąż, zmieniając nazwisko na Szczecińska-Turowicz.

W ANGLII

W Wielkiej Brytanii istniała już paramilitarna organizacja transportu lotniczego: **„Air Transport Auxiliary"** — ATA (Pomocniczy Transport Lotniczy), będący początkowo wojskową komórką komunikacyjną, przemianowaną później na organizację **„Ferry"**, czyli dostaw samolotów drogą powietrzną na lotniska szkolne i bojowe, z fabryk i montowni lotniczych. Do ATA przyjmowano przede wszystkim mężczyzn, pilotów komunikacyjnych i sportowych z dużą ilością wylatanych godzin oraz pilotów wojskowych, których wiek lub zdrowie nie pozwalały na wykonywanie lotów bojowych.

Pierwszą komórkę pilotek-kobiet w Air Transport Auxiliary założyła na początku 1940 roku **brytyjska pilotka Pauline Gower**, mająca już na swym koncie około dwóch tysięcy godzin wylatanych na samolotach. W sekcji kobiecej początkowo latało osiem Angielek, przeprowadzając małe samoloty szkolne „Tiger Moth" na lotniska szkolne i treningowe RAF. Kiedy wykonały ponad dwa tysiące lotów bez uszkodzeń powierzonych im samolotów, postanowiono przeszkolić je w trybie przyśpieszonym na przejściowych typach samolotów dwusilnikowych. Udało się. Latały poprawnie, ale od tego czasu loty ich stawały się trudniejsze i o wiele niebezpieczniejsze. Po pewnym czasie do sekcji kobiecej ATA przyjmowano również pilotki-cudzoziemki.

POLKI W ATA

Po przybyciu do Wielkiej Brytanii — w czerwcu 1940 roku — polskie lotniczki: ppor. Anna Leska i ppor. Barbara Wojtulanis, znudzone już pracą za biurkami sztabów lotniczych, postanowiły powrócić do latania. Jednak w formujących się polskich dywizjonach bombowych nie było dla nich miejsca. Szanse latania mieli tylko mężczyźni. Wtedy właśnie przypomniały sobie, że podczas pobytu w Paryżu słyszały o powstającej w Anglii formacji lotniczej, przeprowadzającej samoloty z fabryk na lotniska szkolne i bojowe, do której przyjmowano również pilotki-kobiety. Przy okazji dowiedziały się, że kobieca sekcja tej formacji znajduje się na lotnisku fabrycznym zakładów lotniczych De Havilland, w Hatfield pod Londynem. Pojechały więc tam i po załatwieniu licznych, ale niezbędnych formalności oraz wykonaniu lotów kontrolnych na lekkich samolotach szkolnych, obie Polki zostały przyjęte do Air Transport Auxiliary.

Zanim zostały pilotkami „ferry" (rozprowadzającymi samoloty), loty ich ograniczały się tylko do najbliższych okolic Hatfield. Musiały bowiem zaliczyć potrzebne godziny lotu dla uzyskania angielskiej licencji pilota. Służbę swoją rozpoczęły rozprowadzaniem samolotów szkolnych „Moth" (Tiger, Fox, Puss, „Queen Been" i „Magister") do odległej Szkocji, gdzie w owym czasie było najwięcej lotnisk szkolnych RAF. Niezwykle mroźna i wyjątkowo śnieżna zima 1940/1941 dawała się naszym pilotkom szczególnie we znaki. Wtedy samoloty szkolne nie posiadały jeszcze krytych kabin załogi, a kilkugodzinny lot w otwartej kabinie powodował często przemarznięcie pilotki. W dodatku intensywność lotów w tym okresie była tak duża, że na przykład ppor. Anna Leska w ciągu siedmiu dni była aż pięć razy na szkockim lotnisku Prestwick.

Po niedługim pobycie na lotnisku Hatfield, część sekcji kobiecej ATA przeniesiono na lotnisko Hamble pod Southampton.

TRUDNA SŁUŻBA „FERRY"

Chociaż służby pilotów „ferry" nie zaliczano do latania bojowego, nie była ona łatwa, szczególnie dla kobiet. Pilotki pracowały intensywnie bez przepustek i urlopów, musiały pokonywać liczne niebezpieczeństwa. Loty odbywały się bez względu na warunki atmosferyczne — w deszczu, śnieżycy, we mgle i w chmurach. Raz nad morzem, to znów nad górami, co przy limitowaniu pilotkom wysokości lotu — 2.000 stóp, czyli około 700 metrów, stwarzało dodatkowe niebezpieczeństwo. Samoloty musiały być pośpiesznie dostarczane do dywizjonów bojowych, ponieważ każde opóźnienie dostawy zmniejszało potencjał bojowy tych jednostek. Pilotka musiała bezbłędnie nawigować, polegając jedynie na busoli, mapie, punktach orientacyjnych w terenie i na własnym sprycie. Była to naprawdę trudna „szkoła" latania, w nieznanym kraju oraz w niezwykle trudnych warunkach. Niebezpieczeństwo czyhało na pilotkę niemal przez cały czas lotu. Ileż to razy przy złej widoczności trzeba było omijać ciągle przemieszczane strefy balonów zaporowych nad miastami i obiektami przemysłowymi, a nieraz unikało się stalowych linek balonowych w ostatniej chwili. Zdarzało się też, że pilotka nie zdążyła ich ominąć i wtedy samolot przecięty na pół, jak nożem, walił się na ziemię. Prawdą jest również, że podczas ostatniej wojny o zapory balonowe w Anglii rozbiło się znacznie więcej samolotów własnych, niż nieprzyjacielskich. Należało również omijać poligony i strefy zakazane, gdzie artyleria przeciwlotnicza strzelała bez ostrzeżenia. Wiele kłopotu pilotkom „ferry" sprawiały też lotniska, które w minionej wojnie powstawały w Wielkiej Brytanii, jak grzyby po deszczu i było ich tak wiele, że Anglię nazywano „lotniskowcem". Niektóre z nich były tak starannie zamaskowane, że odnalezienie ich z powietrza nastręczało niemało trudności. Bywało czasem, że mniej doświadczona pilotka podchodziła do lądowania na lotnisku pozornym, odpowiednio „ucharakteryzowanym", dla zmylenia nieprzyjaciela. Jeżeli samoloty posiadały radiostacje pokładowe, nie wolno było z nich korzystać, aby nie przeciążać radiostacji naziemnych, pracujących wyłącznie dla dywizjonów bojowych. Jednak najgorsze było spotkanie na trasie lotu nieprzyjacielskiego „Messerschmitta". Wtedy pilotka była bezradna, ponieważ rozprowadzane samoloty pozbawione były amunicji. Od umiejętności pilotażowych zależało życie pilotki, jeżeli potrafiła uciec przeciwnikowi — ocalała.

Wczesnym rankiem na lotnisku „ferry" odbywała się odprawa, na której dowódca wyznaczał pilotom zadania: lotnisko, z którego pilotka odbierała samolot, typ maszyny, jej numer oraz lotnisko docelowe. Dla skrócenia czasu operacji rozprowadzania maszyn, zgrupowania „ferry" dysponowały własnymi „taksówkami" powietrznymi. Były to przeważnie stare, wycofane z dywizjonów bojowych dwusilnikowe bombowce Avro-632 „Anson", przystosowane do przewozu pasażerów. Pilot „taksówki" rozwoził kolegów i koleżanki na odpowiednie lotniska, zbierając ich potem z lotnisk docelowych.

NA WSZYSTKICH TYPACH SAMOLOTÓW

Pilotki Air Transport Auxiliary przesiadały się z jednego typu samolotu na inny i musiały umieć prowadzić każdy typ maszyny, począwszy od jednosilnikowych samolotów szkolnych Tiger Moth, poprzez szybkie i zwinne myśliwce: Hawker „Hurricane" albo Supermarine „Spitfire", do wielkich dwusilnikowych bombowców Armstrong-Vickers „Wellington", czy olbrzymich bombowców czterosilnikowych jak Short „Stirling", Handley Page „Halifax" albo Avro „Lancaster". Nie było mowy o wykonaniu jakichkolwiek lotów treningowych przed startem na jakimś nowym, nie znanym pilotowi typie samolotu. Pilotka „ferry" otrzymywała książeczkę z wyrysowanymi tablicami przyrządów pokładowych oraz danymi o podstawowych parametrach lotu poszczególnych samolotów. Przejrzała pośpiesznie tę „instrukcję" i siadając w kabinie samolotu, przez kilka minut dotykała dla wprawy różnych dźwigni i przełączników, po czym startowała.

Nowe samoloty, pobierane z fabryk albo montowni nie sprawiały pilotom kłopotów, za to gorzej bywało z maszynami już „przelatanymi", odbieranymi z dywizjonów bojowych. Wiele z nich często wymagało już zmiany silników, czy nawet generalnego remontu i podczas lotu do warsztatów trzymały się na „słowo honoru", a pilotka nigdy nie była pewna, czy taki samolot zdoła jeszcze wykonać swój ostatni lot do naprawy. Często zdarzało się, że doprowadzenie takiego „grata" do celu stawało się dla pilotki nie lada problemem.

Zdarzało się, że warunki atmosferyczne „zablokowały" pilotkę na odległym lotnisku albo nie dopisała „taksówka" i wtedy powracała do bazy macierzystej koleją. Bywało i tak, że pilotki całymi dniami nie powracały do własnej bazy, szczególnie wtedy, kiedy otrzymywały zadania „wiązane". Polegały one na starcie z własnego lotniska na jednym samolocie, aby zdać go na lotnisku w Walii, gdzie pilotka otrzymywała inny samolot, który musiała przeprowadzić do Szkocji, a tam wsiadała znów do innej maszyny, w celu przeprowadzenia jej pod Londyn. Ileż to razy podczas bombardowania stolicy przez hitlerowską Luftwaffe, pilotki przez wiele nocnych godzin oczekiwały na połączenie kolejowe w Paddington. Gdy nadszedł zatłoczony pociąg, pilotka trzymając w jednej ręce ciężki worek z ekwipunkiem, a w drugiej nie lżejszy spadochron, wciskała się do wagonu. Kiedy zmęczona podróżą nad ranem zgłaszała się na lotnisku macierzystym, czekał już na nią samolot, który miała zaprowadzić do odległej Szkocji. Mimo tych wszystkich trudów pilotki polskie radziły sobie doskonale, zdobywając sławę najlepszych pilotek „ferry" w Air Transport Auxiliary. Były nimi: por. pil. Anna Leska i por. pil. Barbara Wojtulanis.

POLKA NA CZELE KOBIECEJ ESKADRY ATA

W lipcu 1942 roku przyjęto do Air Transport Auxiliary trzecią polską pilotkę: ppor. **Jadwigę Piłsudską** (młodszą córkę marszałka). Przedtem była pilotką szybowcową, a dopiero w ATA wyszkolono ją na samolotach silnikowych. Nie latała jednak długo. Po dwóch latach zrezygnowała ze służby pilotki „ferry". Wyszła za mąż i kończyła studia architektoniczne.

Od wiosny 1943 roku, najdłużej latająca w charakterze pilotki „ferry" w ATA, por. pil. Anna Leska została dowódczynią eskadry kobiecej, w której latało osiem pilotek: pięć Angielek Amerykanka, Argentynka i Chilijka. Anna Leska należała do tych pilotek, które rozprowadziły najwięcej maszyn na lotniska szkolne i bojowe podczas wojny. W wojnie na czterdziestu typach samolotów wylatała 1.241 godzin, przeprowadzając lotem ponad tysiąc dwieście samolotów, w tym 557 myśliwskich „Spitfire" różnych wersji, 100 dwusilnikowych De Havilland „Mosquito", 75 amfibii „Walrus" oraz wiele innych maszyn dwusilnikowych, jak: „Wellingtony", „Dacoty", „Mitchelle" i „Hudsony". Za wyjątkowe zasługi w służbie lotniczej otrzymała liczne odznaczenia polskie i brytyjskie oraz przyznaną rozkazem dowództwa lotnictwa polskiego, polską odznakę pilota wojskowego. Po zakończeniu działań wojennych Anna Leska wyszła za mąż za oficera polskiego 300 dywizjonu bombowego im. Ziemi Mazowieckiej — **Mieczysława Daaba** i wraz z mężem powróciła do kraju. Natomiast Barbara Wojtulanis i Jadwiga Piłsudska pozostały poza granicami Polski.

Trzy polskie pilotki latające w ATA rozprowadziły podczas wojny na lotniska około 60 typów samolotów, w ilości ponad 1.500 maszyn i wylatały około 2.500 godzin.

„WAFKI"

Odrębną grupę lotniczek polskich w Wielkiej Brytanii podczas II wojny światowej stanowiły „wafki" (WAAF — **Women's Auxiliary Air Force**) — dziewczęta z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet (PLSK).

W 1941 roku rząd brytyjski rozpoczął nabór kobiet do wojska, organizując Pomocnicze Wojskowe Służby Kobiet, również i w lotnictwie brytyjskim. 25 maja 1941 roku zgłosiła się do Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet (WAAF) pierwsza ochotniczka polska — **Helena Anna Paszkiewicz**, która w brytyjskiej służbie WAAF przeszła wszystkie stopnie wyszkolenia, osiągając stopień dowódczyni eskadry — majora. W 1943 roku przeszła do organizującej się polskiej służby PLSK, szkoląc polskie ochotniczki i będąc ich dowódczynią do końca wojny.

30 lipca 1941 roku podpisano umowę polsko-radziecką o zorganizowaniu Wojska Polskiego na terytorium Związku Radzieckiego, dla wspólnej walki przeciw hitlerowskim Niemcom. Już w pierwszych dniach września zgłaszali się ochotnicy — Polacy przebywający w Związku Radzieckim po wrześniu 1939 roku. Zgłaszały się również ochotniczo dziewczęta i kobiety. Wobec tego zorganizowano Ośrodek Zborny dla Kobiet w miejscowości Bałzuk (ZSRR) i w ten sposób powstała w Związku Radzieckim **Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet** (PWSK), która w późniejszym okresie przekształciła się w trzy odrębne organizacje wojskowe: w armii — Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet (PWSK), w marynarce wojennej — Pomocnicza Marynarska Służba Kobiet (PMSK) i w lotnictwie — Pomocnicza Lotnicza Służba Kobiet (PLSK). Większość ochotniczek tych służb pochodziła z Kresów Wschodnich, które po 1939 roku znalazły się na terytorium Związku Radzieckiego. Później losy rzuciły te dziewczęta do Indii, Persji, Afryki i na Środkowy Wschód. Niektóre z nich w czasie tej tułaczki zaciągały się do brytyjskiej służby WAAF w Afryce Wschodniej i Nairobi, pracując na tamtejszych lotniskach brytyjskich.

Jesienią 1942 roku, kiedy lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii poniosło największe straty w personelu, Inspektor Lotnictwa Polskiego w Wielkiej Brytanii — gen. bryg. pil. Stanisław Ujejski zaproponował 28 listopada 1942 — utworzenie **Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet w Polskich Siłach Powietrznych.** Kobiety miały zastąpić mężczyzn na lotniskach, w warsztatach i i w innych specjalnościach. Jednocześnie sugerował, aby służbę tę zorganizować z kobiet polskich przebywających na Środkowym Wschodzie. O swoim projekcie poinformował również dowódcę Armii Wschód — gen. Władysława Andersa oraz przebywającego w Kairze płk pil. Macieja Iżyckiego. Minister Obrony Narodowej zgodził się na propozycję gen. Ujejskiego, wszczynając jednocześnie starania na wyrażenie zgody przez brytyjskie Air Ministry (Ministerstwo Lotnictwa), które po długotrwałych i bardzo opornych pertraktacjach zgodziło się na utworzenie w lotnictwie polskim Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet.

KOBIETY W LOTNICTWIE

Pierwsza komisja poborowa do polskiej Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet odbyła się w Londynie w kwietniu 1943 roku. Zgłosiło się 36 kandydatek, zamieszkujących w Anglii, dla których już 1 maja 1943 zorganizowano pięciotygodniowy kurs rekrucki w Ośrodku Wyszkolenia PWSK w Falkirk (Szkocja), po czym kandydatki zostały skierowane na kurs instruktorski PLSK, który odbył się w brytyjskim WAAF. Na kursie tym wyszkolono 12 kobiet-oficerów PLSK oraz 24 kobiety-kaprali, mających stanowić kadrę instruktorską dla przyszłych ochotniczek przybywających ze Środkowego Wschodu.

Już w listopadzie 1943 roku rozpoczęto kursy rekruckie dla napływających ochotniczek w ośrodkach szkoleniowych, w miejscowościach North Berwick (Szkocja) oraz w Wilmslow opodal Manchesteru. Pomocnicza Lotnicza Służba Kobiet w lotnictwie polskim wzorowana była na brytyjskiej WAAF, a ochotniczki kierowano do angielskich ośrodków szkoleniowych, dla przeszkolenia ogólnego, podoficerskiego i oficerskiego oraz dla zdobycia specjalności zawodowej. Po uzyskaniu odpowiedniej specjalności na kursach, ochotniczki przydzielano do jednostek lotniczych. Pierwszą Polką posiadającą stopień sierżanta w PLSK była **Anna Ujejska.**

Nieustannie przybywały transporty ochotniczek-Polek ze Środkowego Wschodu, z Afryki, Indii, Japonii, Stanów Zjednoczonych. Do PLSK zgłaszały się Polki z Belgii, Francji i Holandii. Ostatnim transportem przybyłym do Anglii były dziewczęta ze Szkoły Młodszych Ochotniczek w Nazarecie (Palestyna), których 169 przybyło do Wilmslow 13 lipca 1944 roku. Część ochotniczek kierowano do **Polish Technical Training School** (Polskiej Szkoły Technicznej) w Locking koło Somerset, gdzie zdobywały specjalność: pomocników mechaników płatowcowych, pomocników mechaników silnikowych, pomocników mechaników precyzyjnych oraz pomocników elektrotechników.

NAD MAPA PLASTYCZNĄ

W taktyczno-operacyjnej sali lotniczej, tzw. „Operations-room" wielki prostokątny stół z namalowaną mapą, a przy nim „wafki" ze słuchawkami na uszach, cicho przesuwające metalowymi grabkami różne znaczki, przy których stawiały kolorowe tabliczki z cyframi i liczbami, oznaczającymi wykryte samoloty nieprzyjacielskie, ich ilość i wysokość lotu. Potem naprowadzały w te rejony polskie dywizjony myśliwskie.

Jedne w przestrzennych spadochroniarniach składały spadochrony dla lotników latających bojowo, inne pomagały pilotom ubierać się w spadochrony i zajmować miejsca w ciasnych kabinach samolotów myśliwskich. Ich koleżanki taśmowały amunicję do pokładowych karabinów maszynowych i działek. Jedne dziewczęta napełniały benzyną zbiorniki samolotów i pchały wózki z agregatami rozruchowymi silników. Niektóre, pełniąc funkcję „driverek" (kierowców samochodowych), jeździły po lotniskach samochodami osobowymi, ciężarowymi, sanitarkami i autocysternami. Polskie „wafki" pracowały też w radiostacjach i centralach telefonicznych, stacjach meteorologicznych i w kantynach lotniskowych, pisały na maszynach w biurach sztabowych, szyły mundury i bieliznę dla lotników oraz wykonywały jeszcze mnóstwo innych czynności.

NA LOTNISKU

Na lotnisku Faldingworth — bazie 300 dywizjonu bombowego — „inteligence officerem" była **Alicja Kaliniecka**, obecna przy wszystkich odprawach załóg przed startem do nocnego lotu. Potem czekała na powrót tych załóg — nieraz całą noc — aby zebrać od nich meldunki o bombardowanych obiektach nieprzyjaciela. W tym samym dywizjonie **Janina Nowak** pracowała w sekcji uzbrojenia, taśmując amunicję do pokładowych ciężkich karabinów maszynowych. Zaś dwie urocze „driverki" rozwożące lotników przed startem do samolotów, cieszyły się uznaniem wszystkich lotników dywizjonu.

W sekcji spadochronów, w Hucknall pracowała **Magdalena Murawska**, składając spadochrony dla lotników, co było pracą nadzwyczaj odpowiedzialną. Zaś **Zofia Szulińska** była zatrudniona w Newton, w chrakterze mechanika instrumentów pokładowych, a **Antonina Mitana** na tym samym lotnisku była mechanikiem silnikowym.

W Pomocniczej Lotniczej Służbie Kobiet w Wielkiej Brytanii przeprowadzono podczas wojny dziewięć zaciągów polskich ochotniczek, z których 1.436 służyło w lotnictwie, a w tym 50 kobiet-oficerów i 110 kobiet-podoficerów. Stanowiło to dziesięć procent personelu Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie. Jak z powyższego wynika, polskie dziewczęta i kobiety odegrały poważną rolę w działaniach lotnictwa polskiego podczas II wojny światowej, przyczyniając się swoją trudną, odpowiedzialną i niebezpieczną służbą i pracą do sukcesów naszych lotników.

Nie należy również zapominać o Polkach w okupowanym Wilnie, które z dr **Zofią Świdową** na czele, przy pomocy Sióstr Benedyktynek, całymi nocami haftowały sztandar dla lotników polskich w odległej Anglii. Sztandar przekazywany był z pietyzmem z dywizjonu do dywizjonu polskiego i do końca wojny był w posiadaniu wszystkich polskich dywizjonów w Wielkiej Brytanii.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Od redakcji:

Rozpoczynamy druk wspomnień Karola Tomporka, łodzianina, dziennikarza, socjologa. Urodził się w Łodzi w 1922 roku, zmarł w roku 1982. Po wojnie, od 1948 roku, pracował jako dziennikarz w Polskim Radio we Wrocławiu. Po ukończeniu WSNS jako socjolog we wrocławskich fabrykach.

Rodzina Karola Tomporka, udostępniając jego wspomnienia, wyraziła życzenie, aby honorarium przekazać na budowę Centrum Zdrowia Matki.

Jednocześnie publikujemy list Ryszarda Kapuścińskiego zawierający pochlebną opinię o wspomnieniach Karola Tomporka:

„Tekst piękny, wzruszający, pełen prostoty, nastroju, entuzjazmu.

Świetny dokument, zarazem — więcej niż dokument, bo reportaż literacki, o wielkim ładunku wrażliwości i liryzmu.

Szkoda, że zbyt małe objętościowo, by można wydać w książce.

Bardzo polecałbym do druku (może w prasie łódzkiej — ze względu na realia?).

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI"

Warszawa
18.4.1983

Poznajmy dawną Łódź (1)

Ulice mego dzieciństwa

„TIVOLI"

Parę kroków od Piotrkowskiej, obok cukierni Gomolińskiego (z wytwórnią wód gazowych), w okazałym gmachu, mieści się restauracja Tivoli z dancingiem i programem rozrywkowym. Do sal konsumpcyjnych wchodzi się po szerokich schodach z białego marmuru. Wejścia bronią cerberzy w okazałych liberiach. Mnie frapuje to, co jest mi wzrokowo dostępne, mianowicie mieszczące się w suterenie kuchnie. Zaglądać doń można poprzez okna, znajdujące się we wnękach poniżej poziomu chodnika, dla bezpieczeństwa pieszych (ulica tu wąska) przykryte siatką drucianą o oczkach gęstych, ale nie na tyle, by utrudniać obserwację wnętrza.

A jest co oglądać. W kuchni na dole, w różnych pomieszczeniach kłębi się rój postaci w białych kitlach. Kucharze, kuchciki i kuchty. Tu widać poglądowo, jak sporządza się kremy, melby, torty i inne ciasta. Tu rozbiera się tusze cieląt, świń, wszelkiego rodzaju drobiu. Na płytach ogromnych pieców kuchennych smażą się najprzeróżniejsze delicje, których zapach wydostający się przez otwarte okna przyprawia o zawrót głowy. Zapachy te przyciągają bezdomne psy i... bezdomnych w ogóle. Zimą, wraz z płynącymi z dołu zapachami wydobywa się także życiodajne ciepło. W zimowe wieczory w tych piwnicznych wnękach śpią włóczędzy lub bezdomni mali gazeciarze zmożeni całodzienną bieganiną. Wprawdzie opodal przed głównym wejściem stoi granatowy policjant z paskiem pod brodą, ale jego rola jest inna. Jego obowiązkiem jest odganianie notorycznych żebraków szturmujących wysiadających z drożek gości w wieczornych toaletach. Policjant toleruje co najwyżej okutaną w chustę kwiaciareczkę, która z niewielkim powodzeniem próbuje sprzedać wiązankę kwiatów. Co najwyżej, gdy na ulicy nic się nie dzieje, granatowy chowa się przed słotą we framugę drzwi wejściowych, a gdy próbuje to również uczynić kwiaciarka, pogania ją monotonnym „spieprzaj stąd", „no spieprzaj — mówię ci".

Latem, cała działalność „Tivoli" przenosi się do ogródka sąsiadującego z budynkiem głównym. Czasem, gdy otwierają bramę w wysokim, masywnym murze, zobaczyć tam można scenę i ażurowe altanki oraz symetrycznie rozstawione stoły i krzesła ogrodowe. Całość otoczona zielenią ogrodową, tujami i rzędem nastrojowych lampionów. Wieczorem, aż na ulicę, dobiegają stąd tony skocznej muzyki, wybuchy śmiechu i gwar rozbawionej publiczności. A za parkanem, na ulicy, życie płynie swoim torem. Toczą się dorożki, terkoczą wozy węglowe, gazeciarze biegną i wykrzykują swoje „Ekspress Ilustrowaaa...".

SPRZEDAJĘ DROPSY

Po nieudanej próbie z handlowaniem w kiosku z lodami i cukierkami „stary" wymyślił coś nowego. Postanowił uruchomić handel dropsami na wielką skalę. Wielką, bo do tego celu postanowił wykorzystać całą naszą trójkę.

Dropsy kupowało się całymi kartonami w hurtowni. Rabat był tym większy im większą ilość kartonów zakupywano. Stary szybko sobie wykoncypował, że wobec tego należy zakupić maksymalnie dużo towaru i... władował w ten interes cały odebrany zasiłek dla bezrobotnych. Było tego ok. 30 złotych. Obładowani kartonami wracaliśmy do domu. Staremu świeciły się oczy z podniecenia. Już widział siebie w roli potentata, odbierającego codzienne krociowe utargi od „personelu". Tego dnia była sobota. Stary podniecony wizjami nie mógł nawet zjeść obiadu. Rychło też postanowił, że nie ma co czekać i wydał konkretne dyspozycje. Tego samego zatem popołudnia zaopatrzeni w 2 kartony dropsów każde, udaliśmy się na swoje posterunki. H. stanęła na rogu Niskiej i Rokicińskiej w pobliżu naszego domu. Ja miałem „operować" w dość ruchliwym miejscu przy Monopolu Spirytusowym, róg Rokicińskiej i Zagajnikowej, a Z. już nie pamiętam.

Karierę „handlowca" rozpoczynałem ze straszliwymi oporami. Gardło miałem ściśnięte tremą i jakimś irracjonalnym uczuciem wstydu. Wiedziałem z autopsji, że towar trzeba reklamować. Widziałem przecież wiele razy wyrostków wykrzykujących hałaśliwie „tu dropsy miętowe, owocowe" i „dropsy miętowe, owocowe do wyboru i koloru".

Teraz stanąłem na wskazanym mi przez Starego posterunku, zdjąłem wieko z jednego kartonu odsłoniwszy dropsy i z zakleszczonym gardłem stanąłem jak oferma obserwując w milczeniu końce moich zniszczonych butów. Przechodzili koło mnie ludzie śpieszący gdzieś i zaaferowani. Nie budziłem najmniejszego zainteresowania. Wiedziałem, że powinienem zaakcentować swoją obecność, ale przemóc się nie mogłem. Po dwóch godzinach, nie sprzedawszy ani jednego dropsa dałem dyla i znalazłem się w parku Źródliska.

Dużo tu było dzieciarni większej i mniejszej, przebywającej pod opieką bon i służących, szczególnie na centralnym miejscu w pobliżu muszli koncertowej. W bocznych alejach siedziały parki, emeryci grali w domino, bezrobotni spali na ławkach przykrywszy twarze czapkami lub gazetami. Idącego z otwartym kartonem dropsów dopadły mnie dzieci. One też okazały się najbardziej fartowne. Rozległy się dziecięce sopraniki: Pani Jolu! Pani Kasiu! — niech mi pani kupi dropsa. W głosikach dzieci był imperatyw kategoryczny. Wracałem do domu sprzedawszy 30 dropsów. Zważywszy na 3-groszową marżę zarobkową zarobiłem tego dnia 90 groszy, zaś cała nasza trójka 2 i pół złotego. Staremu zrzedła mina. Wszystko było nie w takich różowych kolorach. Następnego dnia była niedziela.

Udaliśmy się całą trójką do parku 3 Maja, który po części był dla łodziaków tym, czym dla warszawiaków Bielany. W letnie niedzielne dni gromadziło się tu na pikniku parę tysięcy osób. Rozkładano koce, wydobywano z koszyków jadło, biesiadowano, grano w karty, w gry ruchowe oraz na sprężynowych gramofonach z tubami.

Tu poszło już lepiej. Przemogłem też wstyd i tremę. Nauczony wczorajszym doświadczeniem podchodziłem przede wszystkim do stadeł rodzinnych, w których była młodzież i dzieci. „Dropsy owocowe i miętowe! Dropsy owocowe i miętowe!" — reklamowałem swój towar bez nachalnej krzykliwości, ale za to z większą niż wczoraj skutecznością. Sprzedaliśmy tej niedzieli wspólnie około 300 sztuk dropsów i zarobiliśmy 9 złotych. To już było coś, ale.. zdarzyć się to mogło tylko raz w tygodniu, w niedzielny dzień i to pod warunkiem, że sprzyjała pogoda.

Stary szybko pozbył się złudzeń i zaczął budować nowy gmach iluzji i marzeń. Postanowił uruchomić loterię fantową. Cena jednego losu 1 złoty. Główną i jedyną wygraną miał być nasz domowy gramofon z kompletem 50 płyt „Syrena Elektro" — nasza rodzinna duma i radość.

JAK NIE ZOSTAŁEM MASARZEM

Skończyłem szkołę powszechną i stanąłem przed dylematem — co dalej?

Perspektywę, sądząc po ojcu i sąsiadach, miałem niewesołą. W znalezieniu dla mnie szans zawodowych zadeklarowało się wiele znajomych osób. Cechowała ich dobra chęć i... tylko to. Wywodzili się bowiem z tego samego środowiska co moja rodzina, nie mieli zatem żadnych wpływowych znajomości i możliwości poparcia. Przez krótki okres świtała mi nadzieja na obranie kariery gońca w Polskiej Akcyjnej Spółce Telefonicznej (złożyłem tam podanie), niestety odpadłem, gdyż kandydatów było zbyt wielu.

Z tym samym skutkiem ubiegałem się o przyjęcie do szkoły podoficerskiej dla małoletnich w Nisku. Zdyskwalifikował mnie brak jednego trzonowego zęba (!).

Któregoś dnia zadecydował za mnie ojciec. Pewnego letniego dnia rankiem na ul. Wólczańskiej ucałowałem rękę mojej przyszłej chlebodawczyni i uścisnąłem z nabożeństwem szeroką jak łopata dłoń jej męża — masarza.

Miałem rozpocząć naukę masarstwa. Ten dzień przebiegał następująco. Zaraz rano dostałem kawy zbożowej z mlekiem i zjadłem parę maślanych rogalików z masłem. Następnie szefowa ubrała mnie w zbyt obszerne dla mnie białe ubranie robocze oraz gumowy fartuch i sprowadziła do znajdującej się pod sklepem piwnicy, która była i magazynem-chłodnią i warsztatem przetwórczym. Na początek zatargałem do sklepu pół wieprzka wagi około 50 kg, a potem kręciłem w piwnicy korbą ogromnej maszynki do mielenia mięsa. Zmielone mięso zanosiłem w wanience do sklepu i poganiany wracałem na dół do tej samej czynności. Po trzech godzinach, zapach mięsa i krwi przygotowanej do wyrobu kaszanki zemdlił mnie do tego stopnia, że wymiotowałem do zlewu, po czym zrzuciwszy z siebie przydzielony ekwipunek uciekłem do domu dławiąc się łzami. W domu nie mogłem nic z siebie wydobyć. Stary milczał również i więcej do tego tematu nie wracaliśmy.

MAM WRESZCIE PRACĘ

Brat mojego szwagra przybiegł kiedyś z wiadomością, że jego chlebodawca skłonny jest zatrudnić dodatkowo jeszcze jednego chłopaka. Pobiegliśmy tam zaraz i następnego dnia rozpocząłem pracę z uposażeniem 6 złotych tygodniowo.

Była to wytwórnia artykułów kosmetycznych „Holox". Właściciel inż. Stanisław Gepner produkował tu przy pomocy 3 młodocianych pracowników pomadki do ust i lakier do paznokci, z tym że oprawki do szminek produkowaliśmy również na miejscu. Pracowałem tu aż do wojny właśnie przy oprawkach. Zarobione pieniądze oddawałem matce. Z Widzewa na ul. Gdańską było bardzo daleko i nie było mnie stać na pokonywanie tej odległości tramwajem. Z domu do pracy wyprawiany byłem przez matkę, która dawała mi półlitrową butelkę herbaty słodzonej sacharyną i dwie pajdy chleba ze smalcem lub tanią podrobową wędliną (najczęściej z okrawkami). Zdarzało się, że chleb dostawałem bez omasty, którą za wręczone mi 20 groszy miałem sam sobie kupić po drodze.

Chęć przejechania się tramwajem powodowała wiele razy, że wydawałem 20 groszy na tramwaj, jedząc w zamian chleb bez omasty i popijając herbatą. Hugo pracujący ze mną, do takiej samej porcji chleba dostawał w domu kawałek kiełbasy na tyle mikroskopijny, że nie można go było pokroić na ilość plasterków wystarczającą do pokrycia dwóch kromek chleba. Jego technika spożywania posiłku była następująca. Brał kromkę chleba i na jej koniec kładł posiadany kawałek kiełbasy. Jadł kromkę wpatrzony w ów kawałek kiełbasy leżący na końcu. Przed zjedzeniem całej kromki przenosił kiełbasę na następną kromkę i znowu kęs po kęsie, hipnotycznie wpatrzony w ów ponętny kawałek kiełbasy, żuł chleb, popijając łykami herbaty z butelki. Kulminacyjnym momentem posiłku była konsumpcja ostatniego kęsa kromki już razem z leżącą na nim kiełbasą. Był to finał widowiska. Pamiętam, że i ja, i zatrudniona z nami Heńka, oglądaliśmy za każdym razem to misterium jedzenia z nieustającą emocją i zainteresowaniem. Hugo często nas zresztą zaskakiwał swoimi numerami. Często otwieraliśmy szeroko oczy, kiedy kończąc ostatnią kromkę zdejmował z niej ów kawałek kiełbasy — odkładał na papier z wyraźnym brakiem zainteresowania. Przeżuwał spokojnie resztkę chleba, studiował uważnie pod światło przejrzystość herbaty w butelce, błądził gdzieś zamyślonymi oczami, a kiełbasa? Kiełbasa leżała spokojnie na przetłuszczonym papierze i jak gdyby przestała go w ogóle obchodzić. W jego postępowaniu był i swoisty masochizm, i robienie nas w „konia".

Długo zresztą to nie trwało. Hugo w pewnym momencie „wracał z dalekiej podróży", oczy mu się ożywiały, nabierały figlarnego blasku. Jeszcze przez krótką chwilę wpatrywał się w trzymany kawałek kiełbasy, po czym pakował go w całości do szczerbatej gęby, zamykał oczy i trzymając ręce na brzuchu, żuł z lubością, balansując całym ciałem na krześle tam i z powrotem, tam i z powrotem. Był to finał finałów.

WOZY WĘGLOWE Z ASYSTĄ

Niedaleko Zagajnikowej, na tyłach Monopolu Spirytusowego i równolegle do ulicy Rokicińskiej znajdowały się obszerne błonia, zabudowane na obrzeżu ul. Rokicińskiej szopami i składami węglowymi. Codziennie kursowały tu długie szeregi wozów węglowych zaprzężonych w ciężkie konie rasy belgijskiej. Pachniało przyjemnie świeżym nawozem końskim. W powietrzu krzyżowały się soczyste przekleństwa furmanów, rżenie koni i świst batów. Każdy wóz z węglem miał swoją stałą asystę od chwili wyjazdu ze składu aż do miejsca przeznaczenia: staruszka, babinę lub usmarkanego wisusa. Wozy wypełnione po brzegi kolebały się na brukowanych ulicach i wpadały w wyrwy. Za każdym przechyłem wozu spadały zeń na ulicę mniejsze lub większe kawałki węgla. Były też natychmiast zbierane do worków. Procederem tym zajmowały się całe rodziny.

ŁYŻWY — MOJA MIŁOŚĆ

Vis a vis mojego domu znajdował się obszerny plac. Na jednej jego części ogrodzonej wysokimi topolami mieściły się zabudowania „Union Touring Club" zrzeszającej łódzkich przemysłowców i fabrykantów-właścicieli samochodów lub motocykli. Pozostałą przestrzeń placu zajmowały korty tenisowe oraz niska drewniana chałupa, w której mieszkał pan Próchniewicz — dzierżawca kortów. Jeden z jego synów, Kostek, był moim rówieśnikiem. On też wprowadził mnie na korty w charakterze podawacza piłek. Za godzinę podawania piłek dostawało się 50 groszy. Starałem się być zawsze w dobrych stosunkach z Kostkiem, aby przynajmniej raz w ciągu dnia „podłapać" zajęcie. Chętnych bowiem było wielu i często prawo podawania piłek wywalczać trzeba było pięściami. Najwięcej zatrudnienia na kortach mieli bracia Pietraszewscy, a to z racji fizycznej przewagi nad resztą niedorajdów. Pan Próchniewicz nie wtrącał się do naszych konfliktów. O naszym istnieniu przypominał sobie dopiero przed zmrokiem po zejściu z kortów ostatniej pary tenisistów. Musieliśmy zostawać i zdejmować siatki, solidnie podlewać i walować korty tenisowe, aby były przygotowane do następnego dnia. Wyznaczaniem linii autowych zajmował się osobiście pan Próchniewicz każdego dnia po wschodzie słońca. Za usługi konserwatorskie nie otrzymywaliśmy naturalnie żadnego wynagrodzenia.

Odmówiłem kiedyś — pamiętam — walcowania kortów, bo po prostu miałem obowiązek zameldowania się tego dnia w domu. Pan Próchniewicz zabronił mi wówczas kategorycznie wstępu na korty i do końca tego upalnego lata byłem z kortów systematycznie przepędzany jak odszczepieniec.

Zaszczytu wstępu na dzierżawiony przez pana Próchniewicza teren dostąpiłem dopiero zimą. Na obszarze mieszczącym 6 kortów tenisowych pan Próchniewicz wylewał wówczas wodę tworząc lodowisko. Całość była oświetlona i zradiofonizowana. Tuż przy kortach pani Próchniewiczowa sprzedawała gorącą herbatę, ciastka i kanapki. Z uwagi na centralne położenie w mieście, lodowisko cieszyło się dużą popularnością. Codziennie, szczególnie po południu i wieczorem, pełno tu było ludzi jeżdżących na łyżwach w takt muzyki. Nie miałem na lodowisku żadnej możliwości zarobkowania, nie mogłem również jeździć na łyżwach, bo ich nie miałem. Pan Próchniewicz amnestiując mnie z grzechu popełnionego latem, wiedział jednak co robi. Lodowisko przecież również wymagało konserwacji. Przed nadejściem nocy, należało lodowisko dokładnie oczyścić łopatami i wylać na noc wodę. Wprawdzie nie codziennie, ale dosyć często musiałem pomagać przy tych czynnościach za obietnicę prawa zbierania piłek tenisowych w nadchodzącym lecie. Miałem zatem wolny wstęp na lodowisko, ale profitu żadnego, ani jakiejkolwiek rozrywki. Bo też jak długo można słuchać muzyki i przyglądać się wywijającym piruety łyżwiarzom. Wymyśliłem więc zdobyć łyżwy. Mój plan był następujący.

Pan Próchniewicz, który miał głowę do interesów jak mało kto, założył przy lodowisku wypożyczalnię łyżew (a także ostrzalnię). Łyżwy znajdowały się w szopie przyległej do ściany szczytowej mieszkania rodziny Próchniewiczów. Zorientowałem się, że szopa nie jest specjalnie strzeżona, a drzwi do niej zamykane są jedynie na skobel. Aby się jednak do niej dostać, trzeba było przepełznąć pod wszystkimi oknami parterowego domu i minąć drzwi wejściowe. Sforsowanie samych drzwi szopy byłoby drobnostką, gdyby nie mała przeszkoda. Mianowicie drzwi do szopy od dawien dawna nie smarowane przeraźliwie skrzypiały. Wszedłem kiedyś do ostrzalni, aby wykonać jakieś drobne zlecenie p. Próchniewicza. Przyglądałem się chwilę ostrzeniu łyżew — ludzie wchodzili i wychodzili z naostrzonymi łyżwami, a drzwi raz po raz skrzypiały. Zagrałem va banque.

— Że też pana nie boli głowa od tego skrzypienia — powiedziałem — mnie aż w piętach świerzbi od tego.

Pan Próchniewicz spojrzał na mnie, sięgnął na półkę po puszkę ze smarem, dał mi do ręki, a sam wyszukał z rupieci połamany kij hokejowy. Podważył nim drzwi do szopy na tyle, że obnażyły się zardzewiałe trzpienie zawiasów. Smaruj — mruknął. Za chwilę drzwi pracowały bezszelestnie. I o to mi chodziło. Teraz trzeba było czekać na sposobny dzień, tzn. taki, kiedy lodowisko było nieczynne. W mroźne, pogodne dni, kiedy ślizgawka była otwarta do godziny 22 szans nie miałem żadnych, bo o tej godzinie dawno już leżałem w łóżku. Nie mogłem przecież wstać z łóżka i powiedzieć starym, że idę „organizować" łyżwy.

Sposobność nadarzyła się dopiero wiosną. Sezon zimowy był już się zakończył, na otwarcie kortów poczekać trzeba było ładne parę tygodni. Chodziłem mimo to na posesję Próchniewiczów, bo wykryłem, że w topniejących na obrzeżu lodowiska zaspach śniegu znaleźć można monety pogubione przez łyżwiarzy w czasie sezonu zimowego. Kiedyś nawet znalazłem zegarek naręczny — niestety przerdzewiały na wylot. Dla rodziny Próchniewiczów był to okres odpoczynku po zimowej harówce, toteż wcześniej kładli się do łóżek.

NA GAPĘ

Na Sienkiewicza, parę kroków za kościołem Świętego Krzyża (w którym byłem chrzczony i bierzmowany) znajdowało się kino (letnie). Była to zadaszona ażurowa konstrukcja. Ściany były brezentowe, a całość otoczona ogródkiem — palarnią. Bilet do kina kosztował od 50 gr do 1,25 złotego. Oczywiście nie stać mnie było nawet na ten najtańszy. Najczęściej więc do kina wprowadzał mnie mój kumpel Zbyszek Szulc, który wykrył narożne miejsce w kinie, szczególnie pofałdowane brezentem. Przy pewnej dozie szczęścia można tu się było bezpiecznie wśliznąć i kryjąc się w fałdach brezentu delektować akcją na ekranie. Jedynym mankamentem było to, że cały czas trwania filmu trzeba było stać. Pamiętam, że na „Powrocie Frankensteina" z Borysem Karloffem byłem kilkakrotnie. Okupiłem to bolesnym kopniakiem zadanym przez biletera w kość ogonową.

Czasem przecież dostawałem od matki na kino 10 groszy. Za te pieniądze można było się dostać tylko do jednego kina w Łodzi. Był nim Kinematograf Oświatowy prowadzony przez Magistrat, a zlokalizowany na terenie parku Źródliska, tuż przy Wodnym Rynku. Wyświetlano tu przeważnie filmy mało wartościowe, przeważnie kowbojskie z Tomem Mixem lub składanki filmów krótkometrażowych. Kino mieściło się w straszliwej ruderze. Nie było krzeseł, tylko ławki drewniane. Publika była również prymitywna. Na sali palono papierosy, pito gorzałę, pluto, śmiecono, a w czasie wyświetlania filmu oddawano mocz pod ławki. Po zakończeniu filmu, przed kinem, często, gęsto powstawały bójki na pięści.

Wracałem — pamiętam — kiedyś z kina, idąc na kurs przez Wodny Rynek. We wtorki i piątki było tu targowisko, na którym praktycznie można było dostać wszystko. Było dżdżysto. Na środku targowiska stała sterta skrzyń z jabłkami. Nikt tego nie pilnował. Jedna ze skrzyń miała oderwaną deszczułkę. Poczułem zapach koszteli i nie mogłem się opanować. Wziąłem jedną kosztelę, potem drugą, a stwierdziwszy, że nic się nie dzieje, że nikt nie biegnie z klątwami i batem, ścisnąłem mocniej pasek u spodni i naładowałem za koszulę co najmniej ze 3 kilo jabłek. Tak obładowany poszedłem spokojnie dalej. Po drodze spotkałem dorożkę z opuszczoną budą, jadącą w tym samym kierunku (padało coraz mocniej). Nadbiegłem za nią z tyłu i możliwie jak najdelikatniej przysiadłem na resorach. Proszę zawieźć Pana Hrabiego na ulicę Przejazd — mruknąłem do siebie. Odpowiedzią był świst bata, po którym poczułem piekący ból na policzku. Cwaniak „sałata" pozbył się w ten sposób darmowego pasażera. W domu schowałem jabłka w sieni za drzwiami. Miałem wyżerkę przez parę dni.

KAROL TOMPOREK

W kręgu fantastyki

Zapis pierwszy

Kiedy cała seria programów OZMA, polegających na radiowym nasłuchu nieba w poszukiwaniu cywilizacji pozaziemskich, zakończyła się fiaskiem i kolejną konferencję CETI wobec braku chętnych do dyskusji trzeba było skrócić o dwa dni, egzosocjologia utknęła w martwym punkcie. Oczywiście w prasie nadal ukazywały się sensacyjne notatki o pojawianiu się w różnych częściach globu pozaziemskich pojazdów kosmicznych, cytowano wypowiedzi naocznych świadków; nie brakowało również blagierów twierdzących z uporem godnym lepszej sprawy, iż systematycznie odbywają wycieczki na obce planety w towarzystwie mieszkańców Saturna, ale świat naukowy milczał. W tym samym mniej więcej czasie uczeni zniechęceni brakiem niepodważalnych wyników zarzucili badania w dziedzinie parapsychologii i innych paranauk, pozostawiając również ten obszar działania maniakom i szarlatanom najróżniejszego autoramentu. Zgodnie z podstawowym prawem ekologii, które głosi, że każda nisza zwolniona przez jeden gatunek, zostaje natychmiast zajęta przez gatunek inny jak epidemiczna wysypka zaczęły rozrastać się szkoły pseudofilozoficzne głoszące przedziwne teorie. Przez parę lat poważna część opinii publicznej traktowała to z pobłażliwą obojętnością, lecz kiedy guru Światłość wszechrzeczy w jednym z wywiadów telewizyjnych oświadczył, że fale elektromagnetyczne podobnie jak eter są wymysłem fizyków, gdyż jedynym promieniowaniem realnie istniejącym we Wszechświecie jest odkryte przez niego promieniowanie spirytodynamiczne i zgłosił swoją kandydaturę do Nagrody Nobla, przez prasę przeleciał tajfun sprzecznych opinii. Jedni publicyści z politowaniem kiwali głowami, lecz znaleźli się i tacy, którzy zarzucali uczonym, iż strusią metodą chowają głowy w piasek przed nieznanym. Aby położyć temu kres, Akademia Nauk powołała do życia samodzielną placówkę naukową w randze laboratorium — której według kolejności zakładów już istniejących przypadł numer trzynasty — do badania problemów „śliskich" to znaczy takich, jakimi żaden poważny instytut nie chciał się zajmować, aby nie narażać na szwank swojego autorytetu. Zakres działania laboratorium nie został precyzyjnie określony: Prezydium AN ograniczyło się do wyznaczenia limitu finansowego, wychodząc z założenia, iż w dziedzinie badań naukowcy sami sobie coś ciekawego znajdą. Zresztą nikt nie oczekiwał sukcesów — chodziło przede wszystkim o to, aby zapełnić próżnię powstałą w ciągłym obszarze nauki i uciszyć napastliwy głos opinii publicznej.

Dyrektorem XIII Laboratorium został docent Fus: wszechstronnie wykształcony człowiek, któremu na drodze do wybitnej kariery stanął jego własny charakter. Kiedy już wszyscy profesorowie i docenci stołecznego uniwersytetu obrażeni śmiertelnie zaczęli bojkotować zebrania, w których Fus miał uczestniczyć, rektor uczelni stanął przed trudnym zadaniem pozbycia się kłopotliwego pracownika. O zesłaniu na prowincję nie mogło być mowy, bo Fusa z uczelni nowo wszędzie i unikano go jak ognia. Dopiero powołanie nowego zakładu stworzyło szansę usunięcia z uniwersytetu konfliktowego docenta metodą „kopniaka w górę", oferując mu dyrektorski fotel. Jak twierdzą złośliwi, nie obeszło się przy tym bez butelki francuskiego koniaku, z którym jakoby rektor miał udać się do przewodniczącego AN, aby załatwić awans Fusa, ale to chyba plotka, bo jego magnificencja znany jest z organicznego wręcz wstrętu do alkoholu.

Docent proponowany mu awans przyjął z umiarkowanym zadowoleniem. Krzywił się wprawdzie trochę na niski budżet laboratorium i szczupłą obsadę kadrową, ale zaraz po letniej sesji egzaminacyjnej w czasie której ku zdumieniu i uciesze studentów nikogo nie oblał, bez pożegnania opuścił mury uczelni. Do organizowania laboratorium przystąpił z niespożytą energią i już w kilka miesięcy po uroczystym otwarciu wszystkie działy nowej placówki miały szczegółowo opracowane programy badań naukowych i rozpoczęły ich realizację.

Kasandryczne przepowiednie, że z Fusem nikt nie wytrzyma, nie sprawdziły się. Nie wiadomo, czy spowodował to awans, czy zmiana środowiska, w każdym razie z mrukliwego malkontenta mającego pretensje o wszystko i do wszystkich docent stał się możliwym do zniesienia szefem. W chwilach lepszego humoru wdawał się nawet w krótkie pogawędki ze swymi podwładnymi. W rozmowach tych poruszał aktualne problemy zakładu, roztaczał perspektywiczne wizje; lubił porównywać laboratorium do Instytutu Maxa Plancka czy Cavendish Laboratory, chociaż nikt inny takich porównań nie czynił.

Na trop pierwszego sensacyjnego odkrycia w dziejach XIII Laboratorium wpadł doktor Platinstein. W czasie nasłuchu radiowego peryferyjnego obszaru gwiazdozbioru Byka przy pomocy gigantycznego radioteleskopu zamontowanego w kraterze wygasłego wulkanu na Puerto Rico zarejestrowano kilkudziesięciogodzinny ciąg sygnałów o bardzo słabej mocy, porównywalnej z promieniowaniem tła, ale różniący się nieco od kosmicznego szumu. Taśmę z nagraniem przesłano do XIII Laboratorium i Platinstein podjął się jej analizy. Przez parę miesięcy sprawa wyglądała beznadziejnie. W całym nagraniu nawet potężny system komputerowy IBM nie potrafił uchwycić żadnych periodycznie powtarzających się fragmentów, które mogłyby świadczyć o sztucznym pochodzeniu sygnałów, nie mówiąc już o jakiejkolwiek ukrytej w nich logice, ale doktor nie rezygnował. I w końcu jego zmagania z informacyjnym bełkotem zostały uwieńczone sukcesem: znalazł klucz do zagadki i po załadowaniu do pamięci komputera programu, którego algorytm na zawsze pozostał tajemnicą Platinsteina, na monitorze ukazały się przetłumaczone na język LINCOS pierwsze słowa posłania z gwiazd. Doktor w pełni świadomy przełomowego charakteru chwili w dziejach ludzkości ze wzruszeniem wpatrywał się w ekran, dyskretnie przecierając oczy.

Na uroczystym posiedzeniu rady naukowej laboratorium, które odbyło się następnego dnia, gratulacjom, jakie zebrał Platinstein, nie było końca. Długo debatowano nad tym, czy ogłosić epokowe odkrycie, czy też zachować je w dyskrecji, aż do zakończenia badań kosmicznego listu. Przeważył drugi pogląd: nie ogłoszono żadnego komunikatu, a doktor na długie tygodnie zamknął się w sali komputerowej, skąd wychodził tylko na posiłki i krótkie chwile odpoczynku.

Obraz cywilizacji, jaki zakodowany był w posłaniu, ukazywał mądrość, szlachetność i potęgę istot, które ją stworzyły. Pod wieloma względami podobne do ludzi istoty te rozwijały swoją cywilizację wielokrotnie dłużej, dzięki czemu nie tylko energię jądrową i termojądrową, ale nawet nieokiełznaną, zdawałoby się, anihilację antymaterii zdołały opanować. Choroby w ich świecie były nieznane, śmierć nie zaskakiwała nikogo swym niespodziewanym nadejściem; starcy odchodzili w niebyt, kiedy sami uznawali, że już czas po temu. Wojny? Owszem były kiedyś: ostatnią stoczono przed kilkuset wiekami. W kronikach zachowała się informacja, iż dwadzieścia siedem istot straciło wtedy życie, a sześćdziesiąt trzy zostały ranne. Widząc ten ogrom nieszczęść obie walczące strony czym prędzej zawarły pokój, którego od tamtej pory nic nie zakłóciło. Nic więc dziwnego, że w takim świecie wolnym od trosk i niepokojów nauki humanistyczne, kultura i sztuka osiągnęły poziom niewyobrażalny dla mieszkańców Ziemi.

Platinstein im lepiej poznawał ów daleki świat, tym częściej uświadamiał sobie wady i przywary ludzkości. W innym świetle widział teraz jej szczytowe osiągnięcia, dostrzegał proste w gruncie rzeczy rozwiązania problemów, z którymi nasza cywilizacja nie zdołała się dotychczas uporać. A przecież wystarczy chociaż na chwilę wyzbyć się antropocentryzmu, egoizmu czy zwykłej zachłanności, aby bez żadnych nakładów pracy i kosztów, wykazując jedynie dobrą wolę, wymazać ze zbioru pojęć ludzkich takie słowa jak wojna, nędza, głód... Dlatego też w jego rozprawie poświęconej posłaniu z gwiazd pojawił się dodatkowy rozdział: w nim zawarł doktor spojrzenie na cywilizację Ziemi nie zza biurka, jak to dotychczas czyniono, a z kosmicznego dystansu.

Praca miała się ku końcowi, gdy zaszedł wypadek, który zniweczył jej wyniki. Pewnego marcowego poranka docent Fus przechodząc przez hall usłyszał odgłosy awantury z lewego skrzydła budynku, gdzie mieścił się dział elektronicznej techniki obliczeniowej. Gdy udał się w tamtym kierunku, już z korytarza rozpoznał pełen wściekłości głos doktora Platinsteina.

— Zabiję! — pienił się doktor. — Obedrę łotra ze skóry! Gdzie się podział ten łobuz! — krzyczał Platinstein biegając od pokoju do pokoju.

Przyczyna tego gniewu była uzasadniona. Jak się bowiem okazało jeden z pracowników XIII Laboratorium, który był programistą maszyn cyfrowych, a miał ambicję zostać pisarzem science-fiction, w wolnych chwilach układał sobie plan powieści fantastycznej. Zaczął od stworzenia obrazu cywilizacji, z którą ludzkość miała nawiązać kontakt, aby potem zespolić się z nią w unii międzyplanetarnej. Ponieważ zaś w pierwszym okresie pracy laboratorium komputer był słabo obciążony, więc ów niedoszły pisarz modelował obraz cywilizacji na taśmach magnetycznych przy pomocy maszyny cyfrowej. Kiedy skończył tę pracę, zapisał wszystko na jednej taśmie, pozostałe wymazał i pojechał na zimowy urlop w góry. Tam na nartach złamał nogę. Przeleżał sześć tygodni w szpitalu, potem przez miesiąc przebywał w sanatorium i do pracy wrócił po niemal trzech miesiącach. Nie mógł więc wcześniej wyjaśnić Platinsteinowi, że przez pomyłkę do swojej literackiej zabawy użył taśmy przysłanej z Puerto Rico.

Doktor był kompletnie załamany. Naukowcy z XIII Laboratorium, którzy zostali wtajemniczeni w sprawę kosmicznego listu, podzielili się na dwie grupy: jedni ze złośliwą satysfakcją twierdzili, że Platinstein wykazał się dziecinną wprost naiwnością i brakiem kompetencji, bo przecież nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby zorientować się, iż tak sielankowa cywilizacja po prostu istnieć nie może. Inni milczeli albo próbowali jakoś pocieszyć nieszczęśnika. Fus usiłował wszystko puścić w niepamięć, ale gdy rozeszła się pogłoska o samobójczych zamiarach Platinsteina, docent uznał, że musi przeprowadzić z nim męską rozmowę.

— Przecież to jest największa kompromitacja naukowa stulecia — biadał rozgoryczony Platinstein.

— Własne porażki zwykle widzi się w zbyt ciemnych barwach — spokojnie odparł Fus.

— Gdzie pan tu widzi chociażby jeden jaśniejszy punkt? — doktor był niepocieszony. — Zapis z Puerto Rico został zniszczony, a ja przez pół roku harowałem jak wół, aby w efekcie otrzymać analizę fantastycznych wizji jakiegoś grafomana. Przecież moja rozprawa od pierwszej do ostatniej strony jest całkowicie bezwartościowa.

— A ja jestem innego zdania.

Zdumiony Platinstein poprawił okulary i przez chwilę wpatrywał się w docenta

— Jak mam to rozumieć?

— Panie kolego, pracą naukową obaj zajmujemy się od lat i obaj doskonale wiemy, że wyjątkowo niewdzięcznym i pracochłonnym zajęciem jest formułowanie na papierze wyników swoich badań i przemyśleń. Hipotezy rodzą się w mgnieniu oka, teorie wymagają większego nakładu pracy, ale potem przychodzi chwila, w której trzeba napisać artykuł czy referat na konferencję naukową i wtedy zaczyna się gehenna. Myśli, tak pięknie układające się w logiczny i przekonywający ciąg argumentów, zapisane wydają się płaskie, pozbawione polotu, wręcz trywialne; nie sposób nimi udowodnić swoich racji. Więc zbulwersowany tym uczony stronę za stroną wyrzuca do kosza, pisze, kreśli, aż w końcu poddaje się. Wysyła do redakcji dzieło, z którego jest szczerze niezadowolony, ale nie ma już sił ani cierpliwości, żeby spalić je i rozpocząć pisanie od nowa.

Platinstein pokiwał głową

— Ma pan rację, dyrektorze, ale jaki to ma związek z moją sprawą?

— Ależ kolego, przecież pan ma ten etap już za sobą. Napisał pan doskonałą rozprawę naukową, którą bez wahania przyjmie każda redakcja. Musi pan tylko trochę poczekać, aż nadejdzie autentyczny list z kosmosu. I kiedy po jego rozszyfrowaniu dziesiątki uczonych będą męczyć się nad artykułami, pan do swojego wprowadzi tylko niezbędne poprawki i z całą pewnością przypadnie panu pierwszeństwo publikacji.

— No tak — Platinstein rozpogodził się nieco. — Ale czy ten list z kosmosu nadejdzie? — dodał po chwili.

Fus spojrzał na niego z dezaprobatą.

— Pan, egzosocjolog, w to wątpi...?!

Doktor zawstydził się; przypomniał sobie, że przecież sam jest autorem wzoru, z którego niezbicie wynika, iż pierwszy kontakt z pozaziemską cywilizacją ludzkość nawiąże w niedługim już czasie.

ANDRZEJ MERCIK

Niefrasobliwy programista
(z Raptularza XIII Laboratorium)

WSTĘP

Kiedy w piątek, trzynastego listopada przed siedmiu laty, zaraz po północy z nieustalonych dotychczas przyczyn gwałtowny wybuch zmiótł z powierzchni ziemi gmach XIII Laboratorium tak, iż część dachu przeleciała nad miastem burząc przy tym szczyt wieży zabytkowego ratusza — nawiasem mówiąc, nieliczni świadkowie tego wydarzenia zaklinali się na wszystkie świętości, że nie był to kawał dachu, a pozaziemski pojazd kosmiczny — w ruinach budynku znaleziono nadpalony rękopis, będący, jak się okazało, kroniką w tak dramatycznych okolicznościach zlikwidowanego zakładu naukowo-badawczego. Rękopis przekazano do Działu Manuskryptów Archiwum Narodowego i już po pobieżnym jego przewertowaniu można było stwierdzić, że negatywna decyzja Akademii Nauk o przyznaniu funduszu na odbudowę laboratorium, umotywowana jakoby brakiem jakichkolwiek osiągnięć tej placówki, była nieprzemyślana.

Pracownicy laboratorium — na szczęście nikomu nic się nie stało, bo w nocnej porze budynku pilnował tylko dwugłowy robot skonstruowany przez dyrektora zakładu — zostali przeniesieni do innych instytutów, teren wykupiły władze miasta i po uprzątnięciu gruzów urządzono tam plac zabaw dla dzieci z pobliskiego przedszkola. I tak XIII Laboratorium przestało istnieć — miejmy nadzieję, że tylko chwilowo, bo pochopna decyzja Prezydium AN jest coraz głośniej krytykowana i, być może, w niedalekiej przyszłości laboratorium zostanie odbudowane.

Nie udało się zidentyfikować autora kroniki: nie ujawnił się on mimo licznych apeli ogłaszanych w prasie i telewizji. Miejsce, w którym znaleziono rękopis (na parterze, w pobliżu wejścia do hallu głównego), sugeruje, iż kronikarzem mógł być pewien programista maszyn cyfrowych, przez długie lata pełniący funkcję portiera w XIII Laboratorium. Ale ów człowiek wyjechał w nieznanym kierunku i wszelkie poszukiwania go spełzły na niczym. Tak więc na razie zagadka nie została rozwiązana, co w niczym nie umniejsza wagi dokumentu.

Wiele dyskusji wywołała forma zapisów, jako że w odróżnieniu od innych kronik raptularz nie ujmuje dziejów laboratorium chronologicznie, a tematycznie. Znaleźli się nawet tacy badacze, którzy z nieuzasadnionym uporem twierdzili, iż rękopis jest apokryfem o wątpliwej wartości historycznej. Jednak wobec faktów ujawnionych w pamiętnikach docenta Fusa większość sceptyków zmieniała zdanie i obecnie autentyczności raptularza żaden prawdziwy znawca przedmiotu już nie neguje.

Wychodząc naprzeciw zainteresowaniu szerokich mas społeczeństwa sprawą XIII Laboratorium — które, jak to zwykle bywa, należną mu sławę zdobyło dopiero wtedy, gdy przestało istnieć — oddajemy do rąk czytelników pierwszą część kroniki; dalsze tomy będą się ukazywać w miarę ich opracowania.

z upoważnienia Zespołu Redakcyjnego
A. M.

P.S. Redakcja uprzedza P.T. Czytelników, iż doszukiwanie się jakichkolwiek podobieństw między XIII Laboratorium, a innymi placówkami naukowo-badawczymi jest zajęciem jałowym, jako że XIII Laboratorium było fenomenem nie mającym żadnego odpowiednika.

„Na Orbicie"

„Pozycja fantastyki we współczesnej literaturze i filmie" — pod tym hasłem przebiegało zorganizowane w Poznaniu w dniach 17 i 18 września br. ogólnopolskie seminarium. Przygotowali je, wespół z Osiedlowym Domem Kultury „Orbita", działacze Poznańskiego Oddziału Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, aby w ten sposób uczcić piątą rocznicę powstania swego fan-clubu.

Impreza sprowadziła do stolicy Wielkopolski reprezentacje zdecydowanej większości krajowych klubów SF, zarówno tych należących do PSMF, jak i tych działających na własną rękę, przeczące w ten sposób pojawiającym się czasami opiniom, jakoby jedynie zlikwidowany w kwietniu 1981 r. Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki i Science-Fiction był w stanie tworzyć płaszczyznę współpracy dla wszystkich ośrodków fanów w Polsce. Zakończone niedawno seminarium wykazało należycie, że amatorski bądź co bądź, ruch miłośników fantastyki w naszym kraju jest zwarty i dobrze zorganizowany.

Do Poznania przybyli przedstawiciele ośrodków: częstochowskiego (oddział PSMF), gorzowskiego (Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej), krakowskiego (fan-club przy Klubie „Zaułek"), lubelskiego (oddział PSMF), łódzkiego (oddział PSMF), śląskiego (śląski Klub Fantastyki), świnoujskiego (klub „Wąż Morski" i warszawskiego (klub SFERA Rady Głównej PSMF oraz SFAN- Club). Obecni byli także reprezentanci obu poznańskich klubów (gospodarzy: oddziału PSMF i „Nostromo").

Pierwszą część spotkania wypełniły referaty specjalistów od literatury SF, dr Antoniego Smuszkiewicza („Rola rekwizytu w utworze SF", referat wywołał długotrwałą i burzliwą dyskusję zakończoną dopiero gromkim okrzykiem z kuchni: „... bo obiad stygnie!") i red. Andrzeja Stoffa („Filozofia przypadku — szansa fantastyki naukowej, czy śmierć literatury?", tu „lemowcy" mieli o czym porozmawiać). Z kolei, poprzedzone projekcją filmową, wystąpienie red. Andrzeja Kołodyńskiego, autora książki „Filmy fantastyczno-naukowe", poświęcone było „recepcji filmu SF w Polsce" i sprowokowało ostrą wymianę zdań między zwolennikami kina popularnego (space-opera) a zwolennikami filmów o nieco głębszej treści. Było gorąco...

Późnym wieczorem rozpoczęło się forum autorów (w seminarium uczestniczyli: Janusz A. Zajdel, Andrzej Trepka, Maciej Parowski i Andrzej Krzepkowski), które — jak to bywa na takich imprezach — szybko przeistoczyło się w kuluarowe „każdy z każdym".

Drugi dzień seminarium wypełniła prezentacja poszczególnych klubów (właściwie autoprezentacja) oraz dyskusja z redaktorem rozwijającej się dynamicznie serii SF Wydawnictwa Poznańskiego, Bronisławem Kledzikiem. Potwierdził on plany Wydawnictwa zmierzające do sprezentowania polskiemu czytelnikowi „Fundacji" Isaaca Asimova.

W sumie imprezę należy uznać za udaną, tym bardziej, że była pierwszym od Konwentu w Krakowie w 1980 r. — a więc po trzyletniej przerwie — spotkaniem fanów z całego niemal kraju. Bydgoski MASKON, który odbył się w maju tego roku, gościł bowiem jedynie Łódź i Warszawę. Można sądzić, że rosnące zainteresowanie SF i powszechna nobilitacja tego gatunku, sprzyjać będą organizowaniu coraz większej ilości tego typu imprez. Na razie przed nami POLCON'83 w Dzierżoniowie i Walny Zjazd Delegatów Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki.

ROMUALD SZOKA

1 Lewym okiem

Póki co...

Przeczytałem w prasie wezwanie, aby odpowiednie instytucje i organizacje zgłaszały kandydatów do nagrody miasta Łodzi na rok 1984. I przypomniały mi się przygody z tą nagrodą sprzed bardzo wielu lat. Otóż w roku 1927 nagrodę literacką Łodzi przyznać miano Wacławowi Berentowi, ale laureatem został nieoczekiwanie Aleksander Świętochowski bo — jak motywowano — przemawiał za nim jego sędziwy wiek.

W rok później miano uwieńczyć Berenta, i wyrównać niejako w ten sposób zaległość. Nagrodę otrzymał jednak Tuwim, a motywowano ją... młodym wiekiem poety.

Dopiero w 1929 r. Berent został laureatem, ale w Warszawie. Łódź nagrodziła wówczas Nałkowską. Nasze miasto było jednym z trzech, przyznających doroczne nagrody literackie (Warszawa, Poznań, Łódź). Dziś miast takich jest znacznie więcej, i dobrze szkoda tylko, że wymierna wysokość nagród nie wytrzymuje żadnego porównania z tamtymi sprzed wojny. Dla przykładu: nagroda państwowa, przyznana w roku 1930 Jerzemu Szaniawskiemu za sztukę „Adwokat i róża", wyniosła 20 tysięcy złotych, za taką sumę można było wówczas kupić w Warszawie czteropiętrową kamienicę i do śmierci utrzymywać się z pobieranych czynszów.

Odmiennym obyczajom hołdowała i nadal je podtrzymuje Francja, gdzie nagrody są czysto symboliczne, ale ich znaczenie ogromne: dzieło (lub autor) wyróżnione staje się natychmiast rynkowym szlagierem, jest wydawane w wielkich nakładach, tłumaczone na wiele języków. Wydawca i autor stają się z dnia na dzień zamożnymi ludźmi. U nas wydawcy nie są w ogóle zainteresowani marketingiem swych „wyrobów", t.j. książek. Reklama nie istnieje w tej branży absolutnie, recenzji nikt nie czyta, książka przebija się sama i jak gdyby na złość wszystkim.

Niedawno pisałem o tym, że dobrze by było, aby publicyści i dziennikarze też trochę bardziej zadbali o jakość swej produkcji, co pozwoliłoby uniknąć niedobrych błędów i fałszów. Nie zawsze jednak wiadomo, czy chodziło o błąd autora, czy o błąd korekty. W moim felietonie o satyryku austriackim można było przeczytać, że urodził się on w roku 1827, a umarł w 1945. Byłby to więc najdłużej żyjący satyryk w dziejach świata: sto osiemnaście lat! Ale to korekta nie ja, przestawiła cyfry w dacie urodzenia: Roda Roda urodził się w roku 1872.

A Mieczysław Niedziałkowski? W „Odgłosach" z 1 października czytamy, że przyszedł na świat 19 września 1903 roku. W 1909 (a więc mając sześć lat) był uczniem 6 klasy gimnazjum. W 1910 wszedł w skład Biura Wykonawczego ZMPN (w wieku siedmiu lat, jako uczeń siódmej klasy) — i tak dalej. Znów jakieś dat pomieszanie, a najpewniej — błąd korektorski. Zajrzałem do encyklopedii — no tak. Niedziałkowski urodził się o dziesięć lat wcześniej, w roku 1893. To są drobiazgi, ale po co dostarczać bezpłatnie materiału na krotochwilną ostatnią stronę „Przekroju"?

A tymczasem jest jesień i znów czytamy w prasie o wielkim urodzaju grzybów; znów lasy zapełniły się tłumem rozmiętnionych zbieraczy. Całe rzędy autokarów stoją na podleśnych drogach. A byłem niedawno w RFN, gdzie nikt grzybów nie zbiera. Nie zbiera, bo nie rosną. Lasy są puste. Stoją w nich gęsto duże białe prostokąty — pytałem, co to jest? Okazało się, że to jakieś przemyślne pułapki na owady, szkodzące lasom. Pułapki tak skuteczne, że owadów nie ma, a więc nie ma też i ptaków. Nic nie kuka, nie ćwierka, nie popiskuje. Nie słychać pracowitych dzięciołów. Nic nie słychać. Przez dwa tygodnie pobytu w środku lasów, w górach Harzu, nie widziałem ani jednego ptaka. Ludzi też w lesie nie ma. Zatrzymują swe samochody na drodze, rozstawiają przy nich krzesła i stoliki nakryte fantastycznym serwisem turystycznym, puszczają małe telewizorek i „współżyją z przyrodą".

„Widzi pan te rozczapierzone czubki jodeł? — pytał mnie uczony ekolog, profesor uniwersytetu z Hannoweru. — To oznaka choroby. Jeśli w ciągu kilku lat nie wynajdziemy leku na tę chorobę, te lasy znikną z całej okolicy."

Zostaną samochody, krzesła, stoliki i telewizory. Póki co — chodźmy na grzyby!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Powinienem się zastrzelić?!

Być może czytelnicy pamiętają mój ostatni felieton telewizyjny. Napisałem go kilka miesięcy temu i dałem tytuł: TvP kontratakuje". Cały w optymistycznych skowronkach pochwaliłem w nim nasza tv, która oto po okresie programowego zastoju i — co tu mówić — nudy zaczęła się zalecać dobrym kinem, interesującymi audycjami i godnym uwagi teatrem. Miałem więc prawo sądzić, że i ekran telewizyjny wspomaga światełko w tunelu.

Ledwo przyschła farba drukarska na tamtym moim tekście gdy okazało się, że ów kontratak był tylko markowany a TvP wycofała się na głębokie — z góry upatrzone — tyły: zawieszono program drugi! Kiedy uświadomiłem sobie tę straszną pomyłkę, zacząłem dumać co dalej? Co robi się w takich sytuacjach: podać się do dymisji? złamać pióro? strzelić do siebie? czy też napisać o świeżych bułeczkach które obiecywał minister Krasiński? Na szczęście przyszły wakacje, telewizory pozostały w domach, a abonenci wyjechali na wczasy, kierując swoje krytyczne spojrzenia ku talerzom. To mnie uratowało.

Prezes Radiokomitetu dobrze wiedział, że jego widownia po okresie urlopowych zsyłek przypnie się do telewizorów z nową determinacją. Wystąpił więc co rychlej zapowiadając wznowienie dwójki tymczasem w sobotnio-niedzielne weekendy. Przy okazji przedstawił najbliższe plany i programowe intencje.

Teraz, bawiąc się w profetę, będę ostrożniejszy, tym bardziej, iż nasza tv w ciągu ostatnich lat przechodziła różne kuracje, które ożywiały ją na moment, acz nigdy nie doprowadziły do stanu kwitnienia. Obecnie Prezes powiedział: „W myśl przyjętych założeń, zawartość treściowa Jedynki, zarówno w warstwie publicystyczno-informacyjnej, jak i artystycznej, bazować będzie na wydarzeniach". Tu przerywam na chwilę ten cytat, bo Bogiem a prawdą, nie wiem jak to rozumieć. Co znaczy „bazować na wydarzeniach"? Spójrzmy do słownika języka polskiego: „wydarzenie — to co się stało, wydarzyło; zbieg okoliczności powodujący coś; wypadek, przypadek, zdarzenie. Wydarzenie historyczne, dziejowe. Dramatyczne, przełomowe wydarzenia. Łańcuch wydarzeń. Ważne albo wybitne osiągnięcia w jakiejś dziedzinie: doniosłe wydarzenie. Wydarzenie artystyczne, kulturalne, teatralne". I tak dalej. Jeśli tak, to określenie „bazować na wydarzeniach" nie jest żadnym nowym założeniem programowym, tylko podstawowym obowiązkiem każdego środka masowego przekazu. Gdzie tu specyfika? Prezes mówi dalej: „Reasumując, II program powinien być pogłębieniem, uzupełnieniem tego, co oferuje I, starzeniem pewnej alternatywy, zważywszy na zróżnicowanie zawartości i adresata, nie wyklucza się też elementów konkurencyjności". Żebym tak wygrał 50 tysięcy w „Wielkiej grze", jak wiem teraz na czym będą polegać różnice między Jedynką a Dwójką: pierwszy będzie bazować na wydarzeniach, a drugi je pogłębiać. Mniejsza. Przecież program nie składa się z wypowiedzi Prezesa, i jaki on (program, nie Prezes) w rezultacie będzie pokaże czas.

Tymczasem program ten charakteryzuje nadmiar publicystyki, i to przeważnie okazjonalnej, obracającej się wokół wciąż tych samych spraw, głównie ekonomiczno-handlowych. Nie bardzo wierzę w ich perswazyjną rangę. Cóż z tego, że zbiorą się czterej panowie i jedna pani, która jest krytyczna — ale umiarkowanie — i narzeka. Panowie mają swoje argumenty, lub czasem wydaje się im, że je mają, potem coś obiecują a pani trzyma ich za słowo. Czasem grozi, że jeszcze do tych spraw powróci.

Zresztą i mój felieton prezentuje tego rodzaju publicystykę. Cóż z tego, że będę narzekał na serialе — jakie one są każdy widzi: bądź powtarzane, bądź nie całkiem udane. Te ostatnie to też publicystyka, tyle że rozpisana na dydaktyczne fabuły z wciąż tymi samymi twarzami mówiącymi po czesku. O serialu Bohdana Poręby można powiedzieć słowami Żeromskiego, które z ekranu padły: „mniej Te Deum, więcej oleum". Przecież nie najpowszechniej znane wydarzenia z naszej historii mogły liczyć na bardziej składną konstrukcję scenariusza, a realizatorzy prezentują nam żywe obrazy z chorałowymi pieniami Czesława Niemena w pompatycznej stylistyce.

No tak: z próżnego i Salomon nie naleje, chociaż coś tam kapie. Dwa czy trzy filmy i to amerykańskie — mogę je pochwalić, bo powstały na długo przed kadencją prezydenta Reagana, serial o Verdim, konkurujący z meczem ZSRR — Polska (chcieliśmy konkurencji, no to ją mamy!), angielskie „Powstawanie człowieka", i całkiem dobry teatr. Coś więcej? A tak! Irena Dziedzic, prowadząca wywiad z Krystyną Zielińską. Czyżby zapowiadały się powroty? Ten był wcale udany i — jak sądzę — przez widownię zaakceptowany. Kto następny?

GRZEGORZ GAZDA

3 Zdarzenia i zwierzenia

Przyboś

W październiku mija kolejna rocznica śmierci wybitnego poety Juliana Przybosia. Nie należałem co prawda do Jego wielbicieli, których legion zmieniał się zresztą w miarę upływu czasu, ale doceniam ogromną rolę Przybosia-poety i Przybosia-teoretyka poezji. Nawiasem mówiąc Przyboś-poeta wyłamywał się często ze sztywnych reguł tworzonych przez Przybosia-teoretyka i wówczas powstawały Jego najpiękniejsze wiersze.

Jak większość nowatorów w sztuce zaczynał Przyboś od próby burzenia ustalonych wartości. Rozgłos zdobył nie swoimi młodzieńczymi wierszami, na początku lat dwudziestych, lecz brutalnym atakiem na poezję Jana Kasprowicza — publikując w czasopiśmie „Zwrotnica" artykuł pt. „Chamuły poezji". Nawiasem mówiąc gwałtowna filipika Przybosia przeciwko Kasprowiczowi (a także przeciwko Zegadłowiczowi i Wittlinowi) spowodowała bojkot księgarzy, co podkopało materialny byt „Zwrotnicy", której księgarze nie chcieli przyjmować w komis i sprzedawać.

Później, kiedy tzw. Awangarda Krakowska przestała formalnie istnieć, Przyboś pisywał do redagowanego w Paryżu przez Jana Brzękowskiego czasopisma „L'Art Contemporain" oraz do czasopisma „Linia" redagowanego przez Jalu Kurka.

W latach 1930-1935 notujemy pierwszy związek Przybosia z Łodzią — mianowicie przyłącza się do powstałej w naszym mieście grupy a.r. (artyści rewolucyjni). Jako pierwszy z serii „Biblioteki a.r." ukazał się właśnie tomik wierszy Przybosia „Sponad" w opracowaniu graficznym Władysława Strzemińskiego.

Nikt jednak nie jest prorokiem we własnym kraju. W liście do Jalu Kurka Przyboś żali się na powszechne niezrozumienie Jego wierszy. Podobnie rzecz się ma z twórczością Strzemińskiego. Jako oryginalne dzieło graficzne tomik „Sponad" wywarł duże wrażenie za granicą. Strzemiński otrzymuje gratulacje wybitnych artystów francuskich m.in. Mondriana — natomiast w Polsce krytycy ośmieszają graficzną szatę tej książki.

Na dwa lata przed wybuchem wojny Przyboś wyjeżdża jako stypendysta na studia do Paryża. Jest to niezwykle płodny artystycznie okres — powstaje wtedy tom „Równanie serca", uznany przez krytykę za jedno z największych osiągnięć poezji dwudziestolecia międzywojennego.

Okupację spędził Przyboś w swojej rodzinnej wsi, dokąd zbiegł ze Lwowa poszukiwany przez gestapo. W Gwoźnicy pracował całą wojnę jako robotnik rolny.

Po wyzwoleniu poeta udał się najpierw do Rzeszowa, a potem do Lublina, gdzie zajmował się kolportażem prasy. W styczniu 1945 brał udział w wyzwalaniu Krakowa. Po wojnie został pierwszym prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich i posłem do Krajowej Rady Narodowej. Był członkiem PPR i PZPR. Opublikował wiele tomów wierszy, esejów i niezwykle cenne antologie poetyckie: „Wzięli diabli pana" — wybór utworów o tematyce społecznej na przestrzeni czterech wieków, oraz „Antologię polskiej pieśni ludowej" zawierającą 700 najpiękniejszych pieśni ludu polskiego.

Oryginalna twórczość Juliana Przybosia jak chyba żadna inna zrewolucjonizowała potoczne wyobrażenia o poetyckości, narzuciła inne formy wyrazu i obrazowania.

Bez poznania twórczości Przybosia zrozumienie tego wszystkiego co nastąpiło potem w polskiej poezji, będzie zawsze niepełne. Jak każdy wybitny twórca miał i ma Julian Przyboś swoich przysięgłych admiratorów — ma również przeciwników, są również tacy do których ta poezja po prostu nie przemawia... Ale nawet ci ostatni przyznają, że poeta ten wniósł do polskiej literatury nowe widzenie świata, wprowadził poezję na nowe obszary obrazowania i wytyczył drogi, po których wędrują dziś nowe pokolenia polskich poetów.

JERZY WILMAŃSKI

4 Przejście podziemne

Krótki kurs

Ani szmukier Mareczek, ani małolat Zenio, ani Beatka góralka, ani pisuardessa Metowa, ani nawet ajent Mrówka pewnie nie uświadamiają sobie, że my tu wszyscy, w przejściu podziemnym, stanowimy sui generis (kiedy ja się od tej łaciny odzwyczaję?) „proletariat", a nawet lumpenproletariat wewnątrz klasy neoburżujów polskich. Jesteśmy na dnie skomplikowanej hierarchii kasty czcicieli pieniądza. Robimy gówniane, groszowe interesy, kręcimy się w kółko za byle czym i dla byle czego. I takież — gówniane, groszowe i pokręcone — jest nasze całe życie...

Nie, nie uskarżamy się tu, w przejściu podziemnym, na nic — taki fason. Najwyżej w marzeniach — Mareczek pewno jest jubilerem w Amsterdamie, Zenio — ajentem stacji benzynowej, Metowa — dyrektorką toalet na międzynarodowym lotnisku, Beatka — właścicielką wesołego pensjonatu na skalnym Podhalu, Mrówka — szefem motelu „Holiday Inn" a ja — szanowanym antykwariuszem. Byłyby to piękne marzenia, gdyby nie pewien niemiły fakt: codziennie koło nas przechodzą (albo przejeżdżają górą, nad naszymi głowami) faceci i facetki, którzy autentycznie są postaciami z naszych rojeń. Ten świat bowiem istnieje i jest o wyciągnięcie ręki, tyle, że nie gołej jak nasza.

Zresztą wszystko zaczęło się od rąk. W początkach mej politycznej edukacji, gdy dzieła elementarne stanowiły: „Krótki słownik filozoficzny" Tarlego i — dla pewności w języku oryginału — również krótki „Kratkij kurs istorii WKP (b)", przeczytałem o pewnym epizodzie politycznym, gdy w okresie tragicznej sytuacji ekonomicznej władza pozwoliła obywatelom na własną rękę wychodzić z kryzysu. Obywatele ochoczo kupili tę inicjatywę władzy i tak zaczęli — przy pomocy własnych rąk zresztą — uzdrawiać gospodarkę, że po kilku latach wskaźniki wprawdzie co nieco się poprawiły, ale — by prawdą było to, co wtedy głoszono w sferze ideologii — zastępy nepmanów karnie i w sposób zorganizowany pomaszerowały na wielkie budowy, różne kanały, zapory wodne, linie kolejowe by przy pomocy własnych rąk przez tajgę, kopalnie itp..., itd...

Czytałem sobie te dzieje i ani mi przez myśl nie przeszło, że przyjdzie mi niebawem, za głupie dwadzieścia parę lat, przeżywać to samo osobiście (chociaż niekoniecznie z ochotą na powtórkę tamtego finału...). My tu, w przejściu podziemnym, tkwimy niejako w centrum zamętu wywołanego przez nową politykę ekonomiczną. Ze ścian patrzą na nas seksbomby i supermeni z podświetlonych dyskretnie witrynek, reklamujący arcydzieła tzw. firm polonijnych (głównie kosmetyki — poświęciłem się kiedyś i nabyłem ichnią wodę kolońską; znajomy chemik za pół litra wykonał mi analizę tego dziecka zachodniego cwaniactwa i rodzimej głupoty — nieco wody, nieco spirytusu salicylowego, kwasek cytrynowy i odrobina żółtej farby — wszystko za 290 złotych. Niech żyje polonijny cud gospodarczy!). Spekulanci i kolejkowi gangsterzy mają punkt zborny oraz giełdę informacji w barku u Mrówki. Tamże cinkciarze. U Metowej w damskim wymieniają adresy „arabeski", w męskim — ekstrema erotyczna. A środkiem przewala się pstry tłum, oszalały na tle kupowania, kupowania, kupowania. Czegokolwiek, bo pieniądze parzą...

Patrzę tak sobie z boczku na to wszystko, sprzedaję swój towarek (idzie, nie powiem...) a w wolnych chwilach cytuję w celach wyłącznie rozrywkowych eseje o reformie gospodarczej. Jeden taki autor z „Polityki", Szeliga, jak się zdaje, szczególnie mnie cieszy. Powiada ci on na przykład, że wszelkie problemy wiążące się z kryminalną otoczką reformowanej ekonomiki — owe spekulacje, afery korupcyjne i mnogie świństwa — znikną, jak ręką odjął, gdy tylko na rynku pojawi się obfitość dóbr.

A gówno prawda! Fantaści, żywiący to przekonanie, nie uwzględniają tzw. czynnika ludzkiego. Przecież na kryzysie, a właściwie na naszych, proletariackich łbach i brzuchach, utuczyły i tuczą się nadal miliony (amatorsko szacuję, że około 1,5 miliona dorosłych i małoletnich obywateli obsługuje drugi obieg wymiany towarowej w naszym kraju). Czy oni dopuszczą kiedykolwiek do obfitości dóbr na legalnym rynku? Nigdy! Skorumpują, odkradną, zorganizują co swoje i dopiero rzucą po cenach najdokładniej umownych... Publicyści ekonomiczni nie doceniają głębi demoralizacji, gangsteryzacji i korupcji, jaką zrodził kryzys. Nie doceniają sił obronnych podziemia gospodarczego. Politycy natomiast bardziej się przejmują podziemiem politycznym. Może i słusznie — tylko żeby potem nie było budzenia się z ręką w nocniku.

Chętnie rzuciłbym w diabły swój kramik, odpracował za grzech pasożytnictwa rok na Żuławach i wrócił na państwową posadę, gdyby ziściły się marzenia Baki i jego paki — taki już jestem. Ale coś mi mówi, że mogę tu, w podziemnym przejściu dalej stać. To coś to doświadczenie i intuicja.

I tylko gdy tak sobie stoję i patrzę z boczku na to wszystko, co pewien czas, ostatnio jakby częściej, ściska mnie w dołku jakaś nieokreślona chandra. Wsiadam wtedy w pociąg do Warszawy, idę na Nowy Świat, tam na rogu Foksal albo Wareckiej kupuję za całe 200 zł jedną różę, potem dalej Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem; wypijam kawę w „Europejskim". Potem na ukos przez Plac Zwycięstwa, Ogród Saski — i ląduję na placu przed stołecznym magistratem. Tam kładę różę wysoko na pomniku, siadam na kamiennym słupku, zapalam fajkę i tak sobie myślę: „Feliksie Edmundowiczu — dobry biczu boży na kolejarzy, spekulantów, kontrę i wszelaką swołocz — a gdyby tak zacząć jeszcze raz?".

I. ROTACYJNY

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiecinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol I. Strzelski, Janusz Szymanski (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Wiodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauszewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczynski, Jerzy Wilmanski.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44, sekretarz redakcji 680 89. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala, Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny, — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36763. Zam. 2747. L.5.

ZBIGNIEW NIENACKI

O szczupłych pośladkach pani Aldony i o tym, jak pisarz Lubiński zbójował aż w czterech językach

Bogumił Porwasz obudził się około południa w drugie święto Wielkiej Nocy z ogromnym, wszechogarniającym go uczuciem nienawiści do kobiet. Uczuciu temu mógł się poddać z największą swobodą, a także czerpać z niego jakąś bolesną przyjemność, jak z rozdrapywania jeszcze nie zasklepionej rany, ponieważ wiedział na pewno, że za godzinę lub cztery pani Aldona wsiądzie w swój samochód i opuści Skiroławki. Wprawdzie jeszcze leżała obok niego na tapczanie i śpiąc sapała przez nos, Porwasz miał jednak świadomość, iż gdy się zbudzi, nie starczy jej czasu na miłość; od wtorku czekała ją praca w stolicy. Złote włosy pani Aldony przepięknie wyglądały na poduszce, ale twarz tej kobiety, bez makijażu i szminki, wymęczona namiętnością, wydawała się starą i brzydką. W ledwo zauważalnych zmarszczkach koło oczu, w głębszych nieco bruzdach blisko ust dostrzec można było cienie uśpionych na moment żądz. Spała na plecach, z rozrzuconymi nogami i podkurczonymi kolanami, jakby żądze, jakie kotłowały się w jej wnętrzu, w rzeczywistości nigdy nie zasypiały. Ciało tej kobiety zdawało się być zrobione z jakiegoś niezwykłego metalu, nagrzewało się błyskawicznie i wytrzymywało nadludzkie trudy. Nawet gdy wypoczywała, Porwasz starał się nie dotykać jej choćby naskórkiem, ale odsuwał się na brzeg tapczanu w obawie, że dotknięcie to stanie się iskrą, która ją rozbudzi. Albowiem w życiu swoim miał malarz Porwasz wiele kobiet, lecz nigdy dotąd nie zetknął się z istotą o tak wygórowanych żądaniach, tak bezwzględną w powolnym dochodzeniu do rozkoszy. Po sześciu dniach i pięciu nocach współżycia z tą niewiastą odczuwał ból nie tylko w członku, w mosznie, w mięśniach brzucha, ramion, lecz nawet w karku. Miał nie tylko pogryzione wargi i opuchnięty język, ale bolały go nawet włosy na głowie. Silniejsze jednak od owego bólu były męki jego sponiewieranej godności męskiej. Porwasz odnosił wrażenie, że znalazł się na dnie głębokiej jamy, pełnej błota i brudu, z przerażeniem myślał, że być może nigdy już nie zdoła podnieść na żadną kobietę pożądliwego wzroku. Nie dziwił się teraz, że aż trzech mężów uciekło od pani Aldony. Mimo swej urody i prezencji nie potrafiła chyba na dłużej znaleźć kochanka, skoro, zaledwie poznawszy Porwasza, podjęła trud przyjazdu do dalekich Skiroławek. Chwilami, a właściwie godzinami, gdy skazany był jedynie na widok jej szczupłych pośladków, budziło się w nim pragnienie, aby udusić ją, rozżarzonym żelazem wypalić jej wiecznie głodne i spragnione mężczyzny wnętrze. Ona zaś jak gdyby odgadując jego myśli, stawała się jeszcze bardziej podniecona i śmiała się gardłowo: „Tak, tak, zrób to, zrób, Bogusiu". A jego przenikało przerażenie, że co najwyżej uczyni martwym jej ciało, lecz nie zdoła unicestwić samej pożądliwości, która była w niej, ale zarazem obok, bo gdy wstawała z łóżka i narzucała na siebie szlafrok, natychmiast stawała się zimną, obojętną, jak gdyby właśnie martwą. Wystarczyło jednak, że go zdjęła, a już na nowo rozbudzały się w niej żądze, poprzez sam gest obnażania uwalniała się z kokonu chłodu i obojętności. Przypominała wówczas cesarzową Teodorę, o której na przyjęciu u pisarza Lubińskiego opowiadał niegdyś, doktor Niegłowicz, powołując się na „Historię sekretną" Prokopa z Cezarei. Lecz jeśli tamta żaliła się na los niewiasty wyposażonej przez naturę tylko w trzy otwory, to ta z zadziwiającą bezwzględnością egzekwowała od mężczyzny zajmowania się wszystkim, co jej natura dała. I to wszystkim naraz, niejako jednocześnie.

A przecież, gdy po raz pierwszy położyła się naga na tapczanie i rozrzuciwszy na boki szczupłe uda ukazała mu swą kobiecość podobną do stulonego nieco kwiatu o bladoróżowych płatkach, nieregularnych i postrzępionych na brzegach (potem ujrzał ów kwiat już rozwinięty, ale jeszcze nie całkiem rozchylony, połyskujący delikatną rosą i wabiący tajemniczą głębią czerwonego kielicha) doznał tak ogromnego pożądania, że w pośpiechu połamał ząbki błyskawicznego zamka w spodniach, byle jak najszybciej znaleźć się na niej. Kielich rozchylił się i wprowadził Porwasza w głębię bez dna, w szczelinę o porowatych i silnych ścianach, w jakąś krtań, która najpierw zacisnęła się z taką mocą, że Porwasz o mało nie jęknął z bólu, potem chciała go wypchnąć i znowu chwyciła, wsysając i wypychając wciąż od nowa i od nowa, w nieregularnym, ale przecież nieustannym rytmie. A kiedy wreszcie Porwasz dał ulgę swej pożądliwości i wyrwał się z niej ze strachem spostrzegł, że owa krtań ciągle pulsuje, poruszają się płatki kielicha, cały ów kwiat otwiera się i zamyka, jak pysk ryby wyjętej z wody. Szare oczy pani Aldony patrzyły na Porwasza z jakąś chłodną ironią on zaś nie mógł oderwać oczu od owego pulsującego kwiatu, który raz po raz pokazywał swoją czerwoną głębię. Aż wreszcie pani Aldona złożyła nogi jak motyl składa skrzydła i odebrała Porwaszowi widok swego wnętrza, powoli podniosła się z tapczanu, narzuciła szlafrok, stając się sztywną, chłodną i odpychającą. „Nie bój się" — powiedziała do Porwasza, głaszcząc go po głowie. — „Zjemy coś teraz, a później nauczę cię, jak trzeba ze mną postępować".

Walizki pani Aldony zawierały mięsa wędzone, chleb, masło, ciasta rozmaite. Coraz nowe porcje nakładała Porwaszowi na talerz, ale sama — jak to wspomniano — jadła mało. Jej długie nogi o szczupłych udach, ledwie zarysowany brzuch z sinymi rozstępami skóry po kiedyś przebytej ciąży, obwisłe piersi z dużymi brązowymi talerzyczkami sutek, wąskie plecy i chude ramiona — zdawały się żądać zupełnie innych pokarmów. Mechanizm tego ciała napędzała żądza poprzez jakieś zadziwiający metabolizm namiętności. Wąskie usta pochłaniały tylko małe kęsy, ale Porwasz wprost fizycznie odczuwał głód owej istoty, ukrytej pod szlafrokiem, przyczajonej w zaciśnięciu ud. Widział na sobie nieruchomy wzrok pani Aldony, niby to zimny i obojętny, a przecież tworzący między nią a nim jakieś ogromne napięcie, niewidoczną iskrę, która przeskakiwała z niego na nią lub też odwrotnie, ładując w niej potężny akumulator żądzy.

Niewiele dała mu czasu na odpoczynek. Bez żenday pokazała mu kilka przedmiotów o dość nieskomplikowanym kształcie i pouczyła, jak ma się nimi posługiwać. W istocie rzeczy potwierdziła tym tylko jego przeczucie, że ciało jej pozostawało jedynie mechanizmem dostarczającym rozkoszy, on zaś miał umiejętnie wprawiać w ruch ów mechanizm. Tak z godziny na godzinę tracił Porwasz poczucie swego człowieczeństwa, a nienawiść, która dodawała mu sił, wzmagała tylko jej przyjemność.

Ile razy dał jej prawdziwe szczęście? Nie pozwoliła mu tego odczuć, bo gdy zmęczona padała wreszcie obok niego na tapczanie, a on udając, że śpi, mocno przymykał powieki, jej palce rozpoczynały mozolną wędrówkę po jego ciele. Wślizgiwały się w splecione na piersiach czarne kędziory włosów, pełzały po jego szorstkich udach, po brzuchu i podbrzuszu. W takich chwilach odnosił wrażenie, że łażą po nim jakieś gady lub stada ruchliwych robaków i zamiast przyjemności odczuwał wstręt. Miał ochotę zerwać się z tapczana, uderzyć ją w twarz, połamać miłosne narzędzia, poranić mechanizm jej pożądliwego ciała, silnym kopnięciem wyrzucić nagą za drzwi swego domu. Ale ona, odgadując chyba jego myśli i pragnienia, szeptała mu do ucha: „jesteś cudowny, Bogusiu, jak żaden mężczyzna, którego dotąd spotkałam". Więc uspokajał swoje pragnienia i dusił nienawiść, liczył dni i godziny do jej odjazdu, rzeczywiście wierząc, że dał jej więcej niż inni. Był bowiem malarz Porwasz próżny w tych sprawach jak prawie każdy mężczyzna. Dawno porzucił wiek młodzieńczy gdy to popada się w ekstazę od dotknięcia dziewczęcych majtek i wiedział, że mężczyzna wiele winien kobiecie, jeśli ze wzajemnego zbliżenia mają osiągnąć podobną korzyść. Lecz chyba istnieją na świecie jakieś granice, które ktoś kiedyś nakreślił, zezwalając mężczyźnie na bunt i rezygnację z męskiej sprawy czynienia kobiecie dobra? Gdzie jednak i na jakich tablicach wyryto prawa mężczyzn i prawa kobiet w drodze do rozkoszy? Pytał się o to siebie malarz Porwasz i nie znajdował odpowiedzi. Dlatego tym większa stawała się jego nienawiść.

Wiele razy w swym życiu myślał Porwasz o związaniu się na stałe z jakąś kobietą, ale decyzję w tej sprawie — choć niejedna dziewczyna namawiała go na małżeństwo — odkładał zawsze aż do chwili, gdy osiągnie finansową stabilizację. Przecież nawet ów kryty eternitem dachowiec w Skiroławkach faktycznie nie był jego własnością, a tylko został zapisany na jego imię i nazwisko. Postawił ten dachowiec — podobnie jak dwie wille w Zakopanem i jedną pod Warszawą — jego daleki krewny, prywatny i niezbyt uczciwy przedsiębiorca budowlany. Świadomy, że kiedyś podwinie mu się noga, nastąpi proces sądowy i przepadek mienia, wille w Zakopanem, dom pod Warszawą i dachowiec w Skiroławkach pozapisywał na nazwiska swoich bliskich. W ten sposób Bogumił Porwasz zamieszkał w dachowcu i notarialnie był jego właścicielem, podobnie jak formalnie stał się właścicielem samochodu marki Ranchrover, gdy w rzeczywistości wszystko to należało do innego człowieka, który zresztą wkrótce, zgodnie ze swymi przewidywaniami, znalazł się w więzieniu. Rzecz w tym, że Porwasz nigdy nie zamierzał zwrócić dachowca i samochodu ani swemu krewnemu, ani nikomu z jego rodziny, usprawiedliwiając się przed sobą, że złodziejowi publicznego mienia odpłaca prywatną kradzieżą, a poza tym, nie ma innego miejsca na mienia. Z czasem, gdy wizyty żony uwięzionego krewniaka stawały się coraz rzadsze i rozmaite jej pogróżki przestawały sprawiać na Porwaszu jakiekolwiek wrażenie, powoli nabierał pewności, że w rzeczy samej jest właścicielem dachowca, co potwierdzały księgi wieczyste u rejenta w Bartach. Łatwo mu było dojść do owej pewności, ponieważ nikt w Skiroławkach nie domyślał się jego sytuacji, a krewny w więzieniu, tudzież jego rodzina starannie ukrywali tę sprawę przed oczami innych ludzi w obawie przed dodatkową karą, a także poniekąd uspokojeni informacją, której udzielił im Porwasz na odczepne. Obiecał im, że gdy się dorobi na swoich obrazach, zwróci równowartość dachowca oraz samochodu. I nawet, co ciekawe, sam uwierzył, że właśnie tak kiedyś uczyni.

Tak więc Bogiem a prawdą, jedynym droższym przedmiotem, który Bogumił Porwasz nabył w swoim życiu za własne pieniądze — była standardowa belgijska strzelba nadlufka. Kupił ją zaś w tym celu, aby ustrzeliwszy od czasu do czasu sarenkę, koziołka lub dziką kaczkę, pozostawać niejako na własnym wikcie, bez konieczności wydawania pieniędzy w sklepie. Niestety, Porwaszowi zabrakło serca myśliwego — ilekroć miał już na muszce jakieś leśne zwierzę, robiło mu się go żal i nie trafiał.

Nie ożenił się jednak malarz Porwasz nie tylko dlatego, że wciąż pozostawał daleki od stabilizacji finansowej, ale dlatego, że kobiety z którymi miał do czynienia, nigdy jakoś nie wydawały mu się godne małżeństwa. Marzył sobie bowiem malarz Porwasz — i to przez długie lata — o istocie pięknej nad wyraz i nie skalanej dotknięciem mężczyzny, a takiej nigdy jakoś nie spotkał. Stąd tak bliską jego sercu stała się postać pięknej Luizy, nauczycielki, którą wyimaginował sobie pisarz Lubiński. Kiedyś zwierzył się Porwasz doktorowi ze swego ideału kobiety-żony, a ten mimochodem napomknął, że kult cnoty kobiecej, czyli hymenu, noszą w sobie zazwyczaj mężczyźni, którzy w dzieciństwie albo w okresie pokwitania spotykali się z rozwiązłością własnych matek lub sióstr. Poraziły te słowa Porwasza, gdyż i z nim tak właśnie było w rzeczy samej. Urodził się w stolicy, w wielodzietnej rodzinie wiecznie pijanego dozorcy, który stręczył swej żonie, a później także i córkom, przeróżnych, przeważnie pijanych mężczyzn. Mieszkali w jednej dużej izbie na parterze starej kamienicy, w izbie znajdowały się trzy duże łóżka, gdzie spał Porwasz, ojciec i matka, dwaj bracia i trzy siostry. Bogumił był najmłodszy, toteż, gdy zjawiał się jakiś chętny do miłości, po prostu przesuwano go na sam brzeg, pod ścianę i uprawiano miłość tuż obok niego, na tym samym łóżku i pod tą samą kołdrą. Dwaj bracia Bogumiła stali się z czasem częstymi gośćmi więzienia, trzy siostry spacerowały po ulicy w poszukiwaniu klientów, Bogumił natomiast nie wszedł w kolizję z prawem, uczył się dobrze, pięknie malował, a dzięki rozmaitym stypendiom oraz darom z Opieki Społecznej, mógł ukończyć liceum ogólnokształcące, a potem Akademię Sztuk Pięknych. Było dla niego oczywiste, że nie spłodził go pijany dozorca, ale któryś klient, obdarzony talentem i inteligencją, stąd też przenigdy nie poczuwał się do silniejszych związków ze swoją rodziną. Dlatego gdy osiadł w dachowcu nie kontaktował się ani z rodzicami, ani z rodzeństwem, nawet im swego adresu nie podał. W dwa lata po fakcie dowiedział się o śmierci matki od przypadkowo spotkanej na ulicy prostytutki, w której rozpoznał swoją średnią siostrę. We własnym przekonaniu czuł się synem jakiegoś wielkiego malarza pejzażysty (bo i tacy odwiedzali mieszkanie Porwaszów). Niekiedy także patrząc nad jeziorem, z układu barw, a także sposobu trzymania pędzla, starał się odnaleźć w sobie więzy krwi z jakimiś wielkościami malarskimi. Niestety, nigdy nie udało mu się trafić na właściwy ślad, a raczej nigdy nie miał dostatecznej pewności, że trop ów jest prawdziwy. Odcinając się zdecydowanie od własnej przeszłości, nosił w sobie jednak ideał kobiety cnotliwej i czystej, co, jak się okazało wedle słów doktora, demaskowało jego przeszłość. Pozbył się więc szybko owego ideału, nie szukał już kobiety cnotliwej i nieskazitelnej, zdobył się nawet na to, aby od czasu do czasu drwić sobie odrobinę z cnotliwości pięknej Luizy.

Pierwszy kontakt erotyczny miał malarz Porwasz w wieku trzynastu lat. Skłoniła go do tego koleżanka siostry, siedemnastoletnia prostytutka. Uczyniła to dla zabawy, a raczej z nudów, bo akurat wraz z siostrą Porwasza leżały w łóżkach, czekając na klientów, Boguś zaś przy stoliku w pobliżu okna odrabiał lekcje. „Daj no go tutaj do mnie" — rozkazała siostrze Bogumiła. — „Jest już duży i niech spróbuje moich smaków". Wtedy siostra wzięła Bogusia za rękę, przyprowadziła go do tamtej, która leżała na łóżku i paliła papierosa. Była w ubraniu, lewą ręką podciągnęła spódnicę, z prawej nawet nie wypuszczając papierosa. Bogumił zdjął spodnie i skończył sprawę, zanim dziewczyna dopaliła papierosa do końca. „Fajnie było, nie?" — zaśmiała się do Bogumiła. — „Ale następnym razem już nie dam za darmo". Tak poznał malarz Porwasz smak kobiety i stwierdził, że jest to coś tak samo przyjemnego, jak malowanie; w tym czasie bardzo lubił malować na kartonach bloków rysunkowych. Rówieśnicy szkolni Bogumiła Porwasza także w tym czasie poznawali tajemnice miłości, ale z ich zwierzeń wiało zgrozą. Opowiadali o dziewczynach, które się broniły, krzyczały, potem najczęściej płakały, gdy tymczasem w wyobrażeniu Porwasza była to sprawa najprostsza w świecie. Po prostu dziewczyna podciągnęła spódnicę i nie musiała nawet do końca dopalać papierosa. Bo i potem udawało mu się za darmo korzystać z usług koleżanek jego siostry, a nawet stał się tak bezczelny, że nie zgadzał się odstępować swego miejsca w łóżku, jeśli nie otrzymał potem odszkodowania w naturze. Nie napotykał wstrętów, płaczów i krzyków, wszystko było jasne, proste, oczywiste i przyjemne. Zaspokojenie młodzieńczej żądzy stawało się dla Porwasza sprawą najłatwiejszą na świecie, jeśli się miało pieniądze. Bywało bardziej skomplikowane, jeśli się tych pieniędzy nie posiadało. On ich nigdy nie miał, więc czasem musiał wysilać głowę, aby koleżankę którejś z sióstr nakłonić do udzielenia mu przyjemności. A owa przyjemność nie kojarzyła się Porwaszowi ani z głębszym uczuciem, ani z żadnym obowiązkiem, koniecznością rozmowy lub spaceru, wspólnoty zainteresowań czy dążeń. Ze zdumieniem, a nawet z obrzydzeniem obserwował na ekranie kin zawiłe perypetie miłosne jakichś obcych ludzi, którzy sprawiali na nim wrażenie idiotów, ponieważ nie mieli pojęcia, że w miastach, gdzie żyli, były zapewne takie same izby jak u nich, a może nawet tych miejsc było więcej i ładniej urządzonych, z ładniejszymi dziewczynami.

Jednakże w miarę upływu lat nawiązanie kontaktu z dziewczyną uczciwą stało się dla Porwasza symbolem wspinania się z dołu ku górze, jak dla Wokulskiego — o czym pamiętał z nauki języka polskiego — wyjście z piwnicy Hopfera. Niestety, udało mu się to dopiero po maturze i po egzaminie na Akademię, gdy znalazł się na plenerze. Tam właśnie dopuściła go do siebie starsza od niego o cztery lata rzeźbiarka — mała, brzydka, umięśniona jak ciężarowiec, ale z opinią kobiety nie do zdobycia, a więc na pewno uczciwej.

C.d.n.

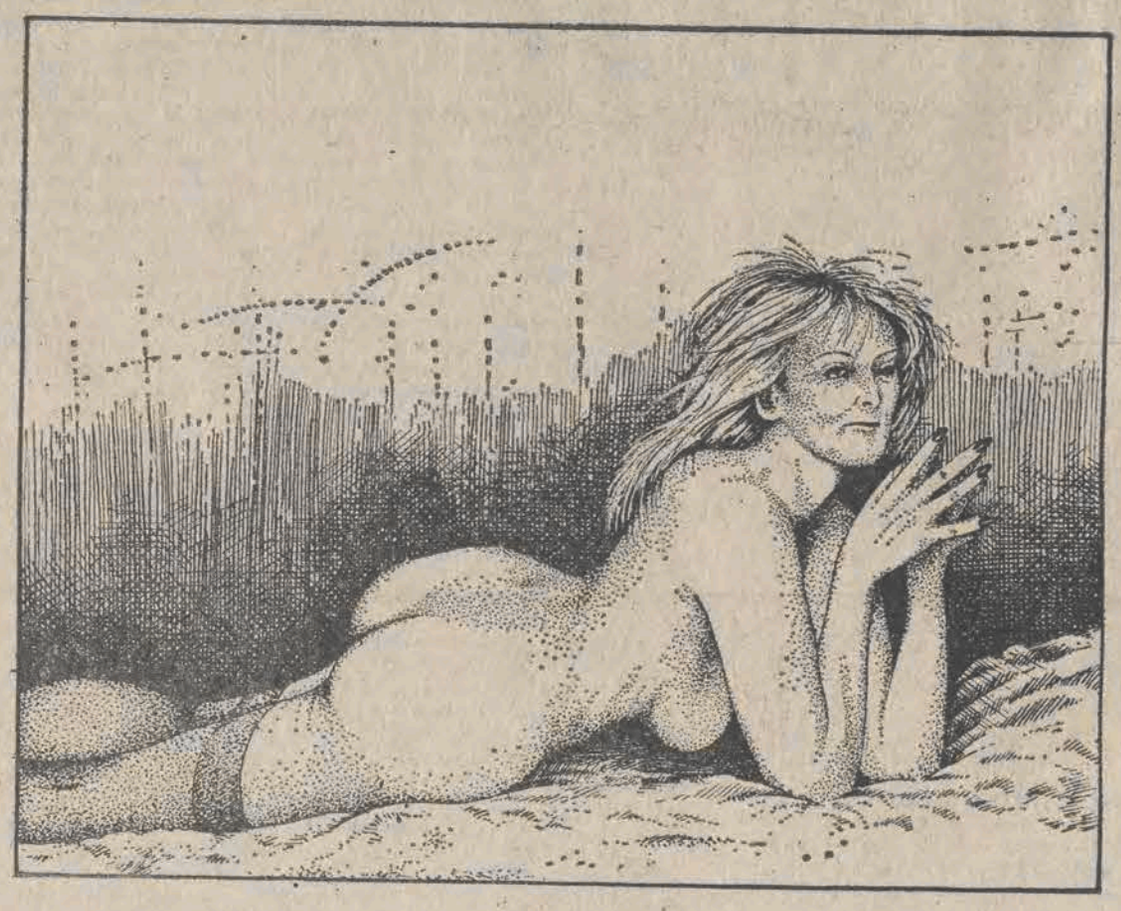

Rys. Janusz Szymański-Glanc